

WOJCIECH NERKOWSKI

EVEREST

Poruszę niebo i ziemię

JAK WIELE JESTEŚ W STANIE ZROBIĆ,
BY URATOWAĆ UKOCHANĄ OSOBĘ?

LIRA
WYDAWNICTWO

WOJCIECH NERKOWSKI

EVEREST

Poruszę niebo i ziemię

L  R A
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2022

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2022

© Copyright by Wojciech Nerkowski, 2022

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora

Redakcja: Małgorzata Piotrowicz

Korekta: Anna Książkowska

Skład: Klara Perepłyś-Pajak

Projekt okładki: Grzegorz Araszewski/garasz.pl

Zdjęcia na okładce i źródła ilustracji: domena publiczna,

Grzegorz Araszewski

Zdjęcie autora: © Maciej Zienkiewicz Photography

Producenci wydawniczy:

Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67388-68-9 (EPUB); 978-83-67388-69-6 (MOBI)

Lira Publishing Sp. z o.o.

al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa

L i R A
W Y D A W N I C T W O

www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

 **publio**

SPIS TREŚCI

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Spis treści

Dedykacja

PROLOG

DZIEŃ PIERWSZY – WTOREK

1. JULIA

2. KRIS

3. JULIA

DZIEŃ DRUGI – ŚRODA

4. KRIS

5. JULIA

6. KRIS

7. JULIA

8. KRIS

9. JULIA

10. KRIS

11. JULIA

12. KRIS

DZIEŃ TRZECI – CZWARTEK

13. JULIA

14. KRIS

15. JULIA

16. KRIS

17. JULIA

18. KRIS

19. JULIA

20. KRIS

21. JULIA

22. KRIS

23. JULIA

24. KRIS

25. JULIA

26. KRIS
27. JULIA
28. KRIS
29. JULIA
30. KRIS
31. JULIA
32. KRIS
33. JULIA
34. KRIS

DZIEŃ CZWARTY – PIĄTEK

35. JULIA
36. KRIS
37. JULIA
38. KRIS
39. JULIA
40. KRIS
41. JULIA
42. KRIS
43. JULIA
44. KRIS
45. JULIA
46. KRIS
47. JULIA
48. KRIS
49. JULIA
50. KRIS
51. JULIA
52. KRIS
53. JULIA

DZIEŃ PIĄTY – SOBOTA

54. KRIS
55. JULIA
56. KRIS
57. JULKA
58. KRIS

DZIEŃ SZÓSTY – NIEDZIELA

59. JULIA
60. KRIS
61. JULIA

DZIEŃ SIÓDMY – PONIEDZIAŁEK

- 62. KRIS
- 63. JULIA
- 64. KRIS
- 65. JULIA
- 66. KRIS

EPILOG. JULIA

EPILOG. KRIS

POSŁOWIE

Przypisy

Historia zainspirowana prawdziwymi wydarzeniami

Jasiowi i Sabinie, in memoriam

PROLOG

Zachodzące słońce patrzy na cztery ludzkie sylwetki na grani Everestu. Podążają w dół, równie mozolnie jak ono. Drobiną życia pośród ogromu skalno-lodowej pustyni.

Himalaiści przemieszczają się w dwóch parach. Pierwsza schodzi kobieta. Huraganowy wicher ściągnął jej z głowy kaptur i odstąpił czerwoną czapkę. Asekuruje ją niewysoki mężczyzna. Oboje są ubrani w identyczne ciemnozielone puchowe kombinezony, opalizujące w odbitych od śniegu promieniach słońca. Drugą parę tworzy dwóch dryblasów w żółto-czarnych kombinezonach.

Czwórka śmiałków znajduje się najwyżej na Ziemi spośród siedmiu miliardów zamieszkujących ją ludzi – nie licząc pasażerów i załóg lecących właśnie samolotami oraz kilkorga astronautów na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Rzadko się zdarza, żeby pod szczytem najwyższej góry świata przebywała tylko jedna ekspedycja. W sezonie wspinaczkowym, który przypada na kwiecień i maj, Everest oblegają tłumy. Czasami między obozem szturmowym a szczytem tworzy się korek, himalaiści tłoczą się, niektórzy umierają w tej kolejce. Ale jest już początek czerwca i sezon się skończył. Kto miał wejść – wszedł, kto nie dał rady – już się poddał. Oprócz ich czworga w rejonie Everestu są jeszcze dwie wyprawy, choć już dużo niżej. Czesi i Kanadyjczycy odpuścili, musieli ukorzyć się przed górą, pakują manatki w obozie bazowym na wysokości nieco powyżej pięciu tysięcy metrów.

Tych czworo maruderów to Polacy. Postanowili zaryzykować i skorzystać z ostatniego okna pogodowego przed nadejściem monsunu. Teraz ścigają się nie tylko z wyczerpaniem, dolegliwościami, ale i nadciągającym załamaniem pogody. Za chwilę warunki na Evereście zmienią się z ekstremalnych na zabójcze.

Idzie im nieźle, choć są wycieńczeni morderczą wspinaczką na szczyt, którą rozpoczęli już o pierwszej w nocy. Od ponad dwóch dni nie spali i nic nie jedli, nie licząc gorącej herbaty i po kubku zupy w proszku, przygotowanych z wody ze stopionego lodu.

Są wrakami na granicy ludzkich możliwości.

Walczą o każdy oddech i o każdy krok, uciekają ze strefy śmierci, gubią kolejne metry i opróżnione z tlenu butle. Wyje wiatr, a wąska, wyekspowana grań nie daje żadnej możliwości osłony. Silne podmuchy wysysają ze wspinaczy resztki ciepła, zadają fizyczny ból.

A będzie tylko gorzej.

Trzeba uciekać, uciekać stąd jak najszybciej.

Od szczytu przez chwilę szło łatwo, teraz zaczynają się wyzwania techniczne. Himalaiści wybrali nietypową i trudną drogę granią zachodnią. Po prawej i po lewej stronie wąskiego grzbietu głęboka na kilometr otchłań. Trzeba zachować ostrożność jak na polu minowym. Jeden fałszywy ruch i można dołączyć do trzystu pechowych śmiałków, których ciała zostały na Evereście na zawsze.

Na szczęście oni są sprawni technicznie i dobrze zaaklimatyzowani. Po miesiącu spędzonym na zboczach góry rozumieją się bez słów. Uskrzydleni sukcesem prą z powrotem w doliny, żeby cieszyć się swoim wyczynem w gronie bliskich, brylować wśród przyjaciół, a przede wszystkim rozkoszować się smakiem zwycięstwa, spełnienia czy też innej przyjemności, której pragnienie pogało ich na szczyt najwyższej góry świata.

- Co jest? - Mężczyzna w zielonym kombinezonie próbuje przekrzyć wiatr, widząc, że jego towarzyszka zatrzymała się i patrzy w dół.

Kobieta odwraca się, jakby nie dosłyszała pytania. Mężczyzna ściąga maskę tlenową. Para dryblasów zbliża się do nich, stawiając niepewne kroki jak zombi.

- Coś nie tak? - dopytuje mężczyzna, łapiąc rozrzedzone powietrze jak wyciągnięta z wody ryba. Dłoni w grubych rękawicach niezdarnie oczyszcza maskę tlenową z lodu.

- Nic - odpowiada kobieta, ale znów odwraca głowę i patrzy w dół.

Mężczyzna podąża wzrokiem za jej spojrzeniem. Powinien dostrzec pomniejsze szczyty otaczające Everest. Wprawdzie na zachodzie

siedmiotysięcznik Pumori nadal rozcina błękit nieba, ale na południu coś się dzieje. Wierchołków Taboche i Cholatse – oba nieco poniżej sześciu i pół tysiąca metrów – już nie widać, a Ama Dablam – o wysokości prawie siedmiu tysięcy metrów nad poziomem morza – właśnie znika w kłębowisku chmur.

– Spierdalajmy – mówi kobieta.

– Myślisz? – Mężczyzna dziwi się, bo według prognozy pogody mają jeszcze czas. Nie za dużo, ale wystarczająco. A w Himalajach nie można wpadać w panikę na widok każdej chmury, bo niemal codziennie wpełzają po południu z dna dolin i suną w górę.

– Spierdalamy! – upiera się kobieta.

Rozmawiają zdawkowo i dosadnie nie tylko dlatego, że są wycieńczeni i przemarznięci do szpiku kości. Powyżej ośmiu tysięcy metrów mózg jest niedotleniony, nawet jeśli himalaista wspomaga się butlą. Przytomność umysłu spada, świadomość zawęża się jak u chorych z demencją. Nie prowadzi się dyskusji filozoficznych, do czego skłaniałaby tak wyjątkowa sceneria. Mózg przetwarza jedynie proste komendy, niezbędne do walki o przetrwanie.

Ręka, lina, ręka, lina.

Kolejny raz trzeba wpiąć karabinek do poręczówki. Dłonie, choć zgrabiące z zimna, sprawnie wykonują wyćwiczone i zapamiętane ruchy. Trudny technicznie odcinek za chwilę się skończy i himalaisci dotrą do dwóch namiotów. Stopią śnieg, wypiją gorącą herbatę i przetrwają piekło lodowatej nocy, by rano kontynuować zejście.

Kobieta znów wysuwa się na prowadzenie. Obóz, upragniona oaza pośród lodowej pustyni, jest na wyciągnięcie ręki. Wspinacze spieszą się, ale nie szarżują, żeby na ostatniej prostej nie popełnić głupiego błędu. Wierzą, że już za chwilę wyrwą się ostatecznie ze szponów śmierci.

Tylko że śmierć nigdy nie odpuszcza. Prędzej czy później, ale zawsze wygrywa. Jest nieuchronna, a bywa złośliwa. Tym razem przyczytała się, pozwoliła na moment o sobie zapomnieć, tak by czwórka śmiałków przeżyła chwile szczęścia i triumfu. Tym mocniej zabolę, gdy nadzieją się na jej okrutny plan.

Słońce znikło. Porzuciło swoich towarzyszy wędrówki. Nie zaszło za horyzont, przesłonił je pchany monsunem wał chmur. Zaczyna padać śnieg, który szybko przemienia się w śnieżną burzę.

Nad Everestem zapada mrok.

DZIEŃ PIERWSZY – WTOREK

1. JULIA

– Czekaj... Everest to który? – spytałam, wpatrując się w monumentalne szczyty na horyzoncie. – Ten z lewej?

– Nie, no coś ty... – mruknął Kris, podnosząc na moment wzrok znad komórki. – To? To w ogóle nie wiem, co to. Mount Psia Kupa chyba? Na pewno nie ośmiotysięcznik, za blisko... Everest jest gdzieś tam. – Machnął ręką, znów wpatrując się w ekran. – W głębi. Stąd nie widać. Podobno jak była pandemia, czasem było widać. Troszeczkę. Może.

– A co ma jedno do drugiego?

– Jak był lockdown, nie było aż takiego smogu.

Głęboko wciągnęłam nosem powietrze, w którym wyczułam zapach kadzidełek, palonych tu na każdym kroku. Choć za smog bardziej odpowiedzialne były chyba spaliny samochodowe.

Jednym z pierwszych zaskoczeń po przylocie do Katmandu było dla mnie wrażenie, że powietrze nie jest krystalicznie czyste, ale takie jakby przydymione. A wydawałoby się, że w stolicy Nepalu musi być rześko, bo mówisz – Katmandu, a słyszysz – Himalaje... Spodziewałam się górskiego powietrza, tymczasem od kiedy przylecieliśmy dwa tygodnie temu, temperatura nie spadła poniżej dwudziestu pięciu stopni, noce też były ciepłe. Katmandu tak ma się do Himalajów jak Kraków do Tatr. Nawet smog w obu miastach, leżących w dolinie, jest podobnie uciążliwy.

Westchnęłam głęboko, próbując się uspokoić. Ten przedziwny dzień powoli dobiegał końca. Dawno nie doświadczyłam tak potężnej dawki emocji, przede wszystkim strachu, który jeszcze długo ze mnie nie wyparuje.

Patrzyłam przed siebie. Wszystko wokół wydawało się nierealne, skąpane w brudnożółtym świetle ostatnich promieni słońca. Miałam wrażenie, że jestem widzem i oglądam przesłodzone, majestatyczne kadry jakiegoś filmu. A może gram w nim, ale co najwyżej jako statystka. W roli głównej występowały Himalaje, wszystko inne pozostawało w ich cieniu.

Kris i ja staliśmy na dachu siedmiopiętrowego hotelu Masala Mansion, na którym urządzono ogród, atrakcję dla gości. Patrzyłam na miasto u moich stóp, na domy o pastelowych fasadach i wyróżniającą się spośród nich buddyjską świątynię – wielką stupę w kształcie dzwonu, białą z pozłocaną iglicą. U jej podstawy namalowano oczy Buddy. Z tej odległości były niewidoczne, ale odwiedziliśmy ją kilka dni temu i zapamiętałam to spokojne, choć uważne spojrzenie.

Między domami wystrzeliwały gdzieś kominy i maszty telefonii komórkowej, dalej rozciągały się łagodne, zalesione wzgórza okalające Katmandu. Dopiero na trzecim planie piętrzyły się gigantyczne, ośnieżone góry o ostrych krawędziach.

Oświetlone zachodzącym słońcem Himalaje lśniły nie biało, ale różowawo. Nie wyglądały posępnie. Wręcz przeciwnie – wydawały się malownicze, przyjazne. I stabilne – jak filary podtrzymujące rzeczywistość. Choć im dłużej patrzyłam, tym bardziej ich róż kojarzył mi się z krwią na śniegu.

– Boże... Jakie one piękne – powiedziałam cicho, z podziwem podszytym zazdrością, a może nawet zawiścią.

Bo przecież to były kochanki mojego Marka, moje rywalki. I ta najbardziej wyjątkowa spośród nich, ta naj, naj... Madame Everest, po tybetańsku Czomolungma, a w języku nepalskim Sagarmatha, czyli „Czoło Nieba”

Pocieszać się mogłam jedynie tym, że nie dręczy mnie pytanie, co ona ma, czego ja nie mam. Nawet nie próbowałam z nią konkurować.

– Piękne – powtórzyłam cicho.

– No, wiadomo, medzik ałer – powiedział Kris, żartobliwie koślawiąc angielskie wyrażenie. – Magiczna godzina. Dobra, dziewczyno, kameruj, kameruj! Tylko żeby było widać i mnie, i góry, i ten taras. Ogarniesz, prawda? Pamiętasz, który profil mam lepszy? Mój prawy, twój lewy.

Palcem zrobił sobie dołeczek w policzku, wiedziałam, że się zgrywa.

– Cyk, cyk, bo zaraz będzie po ptokach – ponaglił mnie.

Rozgadany, narwany facet, choć dla mnie bardziej chłopak, bo miał w sobie rys niedojrzałości. Wcisnął mi swój telefon, a sam zrobił trzy kroki do tyłu, w stronę balustrady. Odwrócił się twarzą do zachodzącego słońca, tak żeby Himalaje mieć za plecami, jako tło do nagrania.

W myślach przeżywałam go czasem Gwiazdorem. Choć tak naprawdę nie sposób było go nie lubić, bo nie był zadufany w sobie ani nabzdyczony. Ratowała go autoironia, potrafił wziąć w nawias swoje parcie na szkło. Na co dzień copywriter w agencji reklamowej, Kris był połową duetu influencerów. Razem ze swoją świeżo upieczoną żoną, Kaśką, prowadzili popularny blog, kanał na YouTube, konto na Instagramie, TikToku i co tam jeszcze. Nazywali się K2_lifestyles – od swoich inicjałów i w nawiązaniu do drugiego najwyższego szczytu Ziemi.

Choć od dwóch tygodni robiłam za operatora kamery, a czasami i statyw, jeszcze nie doszłam, na czym ów styl życia miał polegać. Na pewno ważnym jego elementem były podróże, jedzenie oznaczone hasztagiem „foodporn”, zadbany wygląd i stylowe ubranie, gadżety oraz dodatki takie jak okulary przeciwsłoneczne, paski i biżuteria.

– Już? – spytał Kris, poprawiając jeszcze wściekle czerwoną, grubą czapkę, która kompletnie nie pasowała do letniej aury. – Mogę?

Wiedziałam, że istnieje ważny powód, dla którego musi ona tkwić na jego głowie. Drugą, identyczną, nosiła jego żona.

– Już, chociaż uprzedzam, że trzęsą mi się ręce – powiedziałam, po czym nacisnęłam czerwone kółeczko na ekranie.

– Ludzie! Stało się... Dziś jest ten dzień. Ten dzień! – Kris mówił naturalnie, ze swadą, jakby zawodowo występował przed kamerą. – Wiem, że się powtarzam, bo niedawno mówiłem to samo... – Zaśmiał się. – Dwa miesiące temu, w dniu mojego ślubu z Kaśką. Ale dziś moja żona... O rany, jak to dziwnie brzmi, jeszcze się nie przyzwyczaiłem... – Podsunął do obiektywu dłoń, na której miał obrączkę, i zamachał palcami. – Moja Kaśka... dziewczyna na schwał... Stanęła. Na. Szczycie. Dachy. Świata! Na faking, kurwa, Evereście!

Kris wydał z siebie dziki okrzyk zdobywcy, po czym znów się zaśmiał. Zerwał z głowy czerwoną czapkę i przeczesał jasnobrązowe włosy.

Próbowałam przekazać mu miną zażenowanie, ale jak zwykle zignorował moje rady.

– Tak jest! Everest zdobyty. Its ofiszał! Osiem, osiem, cztery, osiem. Melduję wykonanie zadania! – Żartobliwie zasalutował. – Wkrótce wrzucę zdjęcia i filmy, ale na razie uczcijmy ten moment triumfu. Nie wiem, jak uczcijmy... Minutą ciszy? – Zaśmiał się ponownie. – Co ja gadam? Jak zwykle głupoty, sorry! Ale jaja! Jaram się jak Pinokio w trocinach, jak świnia w błocie! To jest szczęście w najczystszej postaci! Wybaczcie, kochani, te emocje... I dziękuję za wszystkie wasze słowa otuchy przez cały ten trudny czas wyczekiwania, gdyby nie wy i wasze wsparcie w natarciu...

Słuchałam Krisa, pilnując kadru, ale co chwila uciekałam wzrokiem w kierunku horyzontu. Słońce zachodziło za naszymi plecami i wszystko wokół przygaszło, jedynie Himalaje niespodziewanie rozbłyły, wydawało się, że ich szczyty płoną.

Bałam się. I tak już od miesiąca. Cały czas myślałam o moim Marku, który był gdzieś tam, w górze, na grani, kilometry nade mną. Prostolinijny, mądry i wrażliwy introwertyk, całkowite przeciwieństwo Krisa.

Nie jesteśmy ze sobą długo. Poznałam go niecały rok temu, kiedy tłumaczyłam książkę o himalaistach. Znajomy znajomej umówił nas, bo chciałam skonsultować kilka fachowych terminów dotyczących wspinaczki i sprzętu.

Czekałam na niego na tarasie mojej ulubionej warszawskiej restauracji, Qchni Artystycznej. Kiedy podszedł do stolika, szczupły i niewysoki, nie zrobił na mnie wrażenia. Ale już pod koniec rozmowy wpadłam po uszy. Była w nim trudna do opisania przejrzystość, czystość jak w górskim jeziorze z krystaliczną wodą. Był szczery, niczego nie udawał, nie pozował. Odpowiadał na moje pytania niskim, spokojnym, nieco sennym głosem, ale bez cienia znużenia, szpanu czy mansplainingu. Himalaizm, z całą tą swoją szlachetnością i etosem, pasował do niego jak ulał. Nie wyobrażałam sobie, żeby uprawiał inny sport, taki, który polega na sprycie i okiwaniu przeciwnika.

Spokój. Przy jego boku czułam Wielki Spokój. Aż do dnia, nieco ponad miesiąc temu, kiedy odprowadziłam go na lotnisko i zaczęłam się bać.

Oderwałam się od wspomnień i znów spojrzałam na góry. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że razem z żoną Krisa i jeszcze dwójką przyjaciół Marek zdobył dziś Everest. Jaki on musi mieć teraz piękny widok na świat u swoich stóp. A może chmury już wszystko przesłoniły? Prognozy nie były najlepsze, okno pogodowe miało się dziś zamknąć.

Byle nie z hukiem.

Cieszyłam się z jego sukcesu, ale przede wszystkim z tego, że niebezpieczna wyprawa dobiega końca. I wreszcie go zobaczę, dotknę, zabiorę z powrotem w doliny.

Znów nastanie Wielki Spokój. Przeszanę się zamartwiać. Aż do kolejnej wyprawy.

Kris gadał jak nakręcony, aż w końcu zaplątał się i musiał przerwać, bo zaczął się śmiać sam z siebie. Nagrywaliśmy drugi raz, potem trzeci, czwarty, ręka mi już mdlała. Wreszcie, zadowolony z efektu, odebrał mi komórkę.

– I jak? Chyba dobrze? – spytałam.

Nie odpowiedział. Skupiony wpatrywał się w smartfona, przygryzając dolną wargę, stukał w ekran, przesuwając po nim palcem wskazującym.

– Może być. Zobacz, czy się opublikowało – mruknął w końcu. – Do dupy mają tu wi-fi. A hotel niby pięć gwiazdek. Dżizas... Weź, sprawdź, i zalajkuj od razu, ja jeszcze muszę wrzucić dalej. Jeszcze jakiś hashtag by się przydał. Dobitny. Ekstaza? Everekstaza? O to, to...

Sięgnęłam po swoją komórkę i weszłam na Instagrama. Miałam na nim puste konto, które na prośbę Krisa założyłam dwa tygodnie temu, kiedy czekaliśmy na Okęciu na samolot do Stambułu, skąd mieliśmy lecieć dalej, do Katmandu.

– Ludzie! Stało się... Dziś jest ten dzień. Ten dzień! – ekscytował się nagrany Kris, a czerwona czapka na jego głowie podskakiwała w rytm wypowiedzianych przez niego słów.

– Wszystko okej... – skwitowałam.

Nie miałam rozeznania w mediach społecznościowych, ale za sprawą mojego towarzysza od niedawna przechodziłam przyspieszony kurs.

Przy okazji otwierały mi się oczy. Wiedziałam wprawdzie, że treści, które ludzie kreują w internecie, nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością, ale nie sądziłam, że jest aż tak źle. Luksusowy hotel, na dachu którego nagrywałam Krisa, nie był nasz. Zatrzymaliśmy się

w dużo tańszym przybytku. Okna naszego pokoju wychodziły na zapuszczone podwórko, nie było żadnego ogrodu na dachu, a klimatyzacja ledwo działała i rzeźbiła. Kris nawet nie próbował nagrywać się w takich warunkach. Dziś przez ponad godzinę jeździliśmy po Thamelu, turystycznej dzielnicy Katmandu, aż Kris wypatrzył obiekt zdjęciowy pasujący do K2_lifestyles.

Udając, że musimy skorzystać z toalety, przedarliśmy się przez wyłożoną ciemnym drewnem recepcję. Następnie klatką schodową przeprowadziliśmy nasz własny atak szczytowy. Niezatrzymywani przez nikogo weszliśmy na dach, zarezerwowany dla gości hotelowych. Zdobity go liczne donice z iglakami i lampy solarne, a wzdłuż jednej z krawędzi ustawiona była porośnięta pnączami pergola, kształtem przypominająca pagodę.

– Dobrze, to teraz... Może zjedzmy coś? – zaproponowałam, choć wcale nie czułam głodu.

Chciałam się czymś zająć, przykryć czymś strach, odciągnąć myśli od Marka. Od rana byłam kłębkim nerwów, od kiedy zadzwonił Damian i powiedział jedno słowo: „Idą”. Damian Nawrocki był kierownikiem wyprawy, stacjonował w bazie pod Everestem, jeszcze w zasięgu działania telefonów komórkowych. Marek i pozostali znajdowali się w obozie szturmowym na wysokości siedmiu tysięcy dziewięciuset metrów. Damian kontaktował się z nimi za pomocą radiotelefonu. Przekazywał nam informacje od nich, a czasami łączył rozmowę i mogliśmy zamienić z chłopakami parę słów. Tak ich nazywaliśmy, „chłopakami”, mimo że była wśród nich jedna kobieta.

Ruszyli przed świtem, a dwie godziny temu Damian znów zadzwonił i powiedział, że wszystko się udało i cała czwórka schodzi już ze szczytu. Choć nie był to jeszcze koniec strachu, rzuciliśmy się sobie z Krisem w ramiona, mnie polały się łzy. Czuliśmy ulgę, bo czekanie, aż zaatakują szczyt, trwało koszmarnie długo.

Ocknęłam się z zamyślenia i spojrzałam na Krisa, który nie odpowiedział na moje pytanie.

– Halo? Tu Ziemia – ponagliłam go. – Idziemy coś zjeść?

Kris pokiwał głową, nie odrywając wzroku od ekranu komórki, która zaczęła świergotać powiadomieniami, zapewne o lajkach pod najnowszym postem.

– Mhm, dobra, chodźmy... – odpowiedział. – Trzeba to uczcić. Kolacją z winem. Albo lepiej winem z kolacją.

– Wracamy do hotelu? Czy chcesz gdzieś iść?

Jeszcze raz zerknęłam na rozciągający się za krawędzią dachu bajeczny widok. Do płonących odbitym światłem szczytów dołączyła pozłacana iglica buddyjskiej świątyni. Nad nami przemknęły ciemne sylwetki trzech... czterech ptaków, a na południowej części nieba pojawiły się chmury.

Kris znów nie odpowiedział mi na pytanie. Nie irytowało mnie jego zachowanie, bo traktowałam go jak duże dziecko: czasami głośne, rozkapryśzone, skupione na swoich zabawkach. Wiedziałam już, że influencerzy muszą cały czas trzymać rękę na pulsie internetu, ale ile można?

Odwrociłam się, żeby posłać mu karcące spojrzenie, choć i tak wiedziałam, że nie zwróci na nie uwagi, bo zatopiony w komórce wzrok miał nieprzytomny jak u narkomana na haju.

Nagle jego oczy otworzyły się szeroko.

– No nie! – zawołał tak przejmująco, że serce mi stanęło. – Fuck, kurwa, fuck!

2. KRIS

– No nie! – zachnąłem się.

– Co... co jest?! – wyjąkała Julka. W oczach miała panikę, a minę, jakby zobaczyła pędzącą na nas asteroidę, pojazd kosmitów albo Godzillę wyłaniającą się na horyzoncie.

Bidulka, pewnie pomyślała, że dostałem straszną wiadomość z Everestu.

Miałem ochotę podroczyć się z nią chwilę. Żarty to mój żywioł, lubię robić sobie jaja, wkręcać ludzi, ale nie jestem okrutny. Mam w sobie pokłady empatii i gruby pęk neuronów lustrzanych – podobno dzięki nim wczuwamy się w emocje innych. Nie chciałem, żeby Julka dostała zawału, to poczciwa dziewczyna. Trochę sztywniara, typ bibliotekary, ale

jakoś się dogadujemy. A nawet uzupełniamy. Ktoś musi nie brylować, żeby brylować mógł ktoś.

Na Evereście nie działo się nic złego. Schodzili, wszystko szło zgodnie z planem. Załamałem się przez wpadkę na Instagramie. Z tego wszystkiego, kiedy nagrywałem relację, zapomniałem wspomnieć o sponsorze mojej żony.

Szkolny błąd. Zwłaszcza że pracuję w reklamie i robienie dobrze klientowi to dla mnie odruch. Chciałem udusić sam siebie. Zanim udusi mnie Kaśka. Do wieczora zejdą na tyle, że w namiocie będzie w stanie podłączyć się pod internet w telefonie satelitarnym i obejrzy moją relację. A Kaśka się nie patyczkuje, na pewno pojedzie po mnie równo.

– Cała medzik ałer w pizdu poszła – jęknąłem, lustrując nerwowo horyzont. – Zapomniałem o pieprzonych lodówkach. Dlaczego mi nie przypomniałaś? Szybko, dokrętka!

– Ale przecież nagrałeś się w ich czapce – próbowała mnie uspokoić Julka. – Jest logo, może to wystarczy?

Rzeczywiście, choć było ciepło, założyłem czerwoną czapkę z wyhaftowanym srebrną nicią napisem „Shronn”. Identyczną nosiła moja żona. Ujednolicenie przekazu reklamowego i tak dalej...

– Logo, strogo... To za mało! Mamy konkretne zobowiązania, podpisaliśmy umowę na trzysta stron... Ja pierdołę, ciągle zapominam o tych pierdolonych lodówkach. Dawaj, poprawiamy. Jak wyglądam? Nie świecę się? Od tej czapki łeb mi się utłuści!

Odblokowałem telefon i wręczyłem go Julce. Zaczęliśmy nagrywać poprawioną wersję, ale prześladował mnie pech. Nie szło mi, w kadr weszli jacyś hałaśliwi Amerykanie. Potem rozładowała mi się komórka.

– Noż w mordę jeża! – wybuchłem. – Fatum jakieś? Bogowie się obrazili?

– Nie strasz... – wtrąciła Julka, spoglądając w stronę gór.

Nie wziąłem ze sobą powerbanku. Musiałem pożyczyć komórkę Julki, ale i tak na próżno. Skończyła się „magiczna godzina”, Himalaje za naszymi plecami zgasły i szybko robiło się ciemno. Ostatecznie wzmiankę o sponsorze dogrywaliśmy, siedząc już w knajpcie.

A dokładnie rzecz biorąc – przed nią, bo ulokowaliśmy się w ogródku, pod zadaszeniem wykonanym z pleksi. Właściciele restauracji, jak zresztą większość katmandczyków, mieli bzika na punkcie światełek: ledowych

kul, sznurów i listew. Były nimi oplecione wszystkie drewniane elementy wspierające zadaszenie, a także prostokątne skrzynki z bambusami odgradzające nas od ulicy.

Cała dzielnica turystyczna Thamel jarzyła się jak jedna wielka choinka, ale dzięki temu kadr był ładnie doświetlony.

– Szron swoją żywność – zakończyłem nagranie sloganem producenta lodówek i zamrażarek Shronn, który sponsorował wyprawę Kaśki.

Byłem zażenowany, ale trzeba tańczyć, jak nam zagrają. Wszyscy uczestnicy wyprawy na Everest, a było ich pięcioro, musieli wyłożyć astronomiczne pieniądze. Drogie hobby ma ta moja żona... Za samo pozwolenie na wejście na szczyt trzeba beknąć władzom Nepalu jedenaście tysięcy dolców. Do tego dochodził sprzęt – tony sprzętu i zapasów, opłaty dla Szerpów za jego wnoszenie. Sama polisa ubezpieczeniowa kosztowała tyle, że włos mi się żyżył na głowie.

Również dlatego, że zdawałem sobie sprawę, dlaczego musi być taka droga.

O sponsorów jest ciężko, a ani Kaśka, ani ja nie zarabiamy tyle, żeby stać ją było na wyprawę na ośmiotysięcznik. K2_lifestyles jest jeszcze w fazie rozruchu i nie przynosi kokosów. Musieliśmy ostro kombinować. Każdy sponsor był witany z pocałowaniem ręki, zwłaszcza jeśli nie ograniczał się do barteru, jak producenci ubrań czy ekwipunku, tylko wykładał żywą gotówkę.

– Pokaż, jak to wyszło. – Wyciągnąłem dłoń w stronę Julki.

Podawała mi swoją komórkę, a ja sprawdziłem nagranie i zacząłem je uploadować na wszystkie kanały. Na szczęście pamiętałem hasła i mogłem zalogować się na swoje konta z cudzego telefonu.

– Nie masz zainstalowanego TikToka? – cmoknąłem z dezaprobatą. – Przecież prosiłem, średniowieczna kobieto...

– Hej, zrozumiałam tylko jedno słowo – usłyszałem za plecami kobiecie głos, który mówił po angielsku, ale z silnym akcentem, mocno wibrującym „r” w słowach „understood” i „word?” – Everest. Everest i Everest, ciągle to powtarzałeś... O co chodzi? Wspinacie się? Skąd jesteście?

Odróciłem się. Przy stoliku obok siedziała dwójka Europejczyków, parę lat starszych od nas. Kobieta wyglądała mi na Włoszkę albo Hiszpankę, facet jakiś taki homoniewiadomo, łysy, wycofany.

– Jesteśmy z Polski – odpowiedziałem, zdejmując czapkę z logo sponsora i rozczesując przyklepnięte włosy.

– Ja mam na imię Tina – powiedziała cudzoziemka, uśmiechając się szeroko, a wokół oczu zrobiły się jej uroczne zmarszczki. – Jestem Katalonką. A to Lorenzo. – Wskazała swego towarzysza. – Team Italia.

Podąłem jej dłoń, przedstawiając siebie i Julkę. Tina miała ciemną karnację, ciemnobrązowe, kręcone włosy, wyrazistą oprawę oczu. Była wesoła i gadatliwa, od razu znaleźliśmy wspólny język. Jej towarzysz prawie się nie odzywał, czasami powściągliwie się uśmiechał. Nie wyglądał na Włocha. Z ogolonym na tyso łbem bardziej przypominał buddyjskiego mnicha – było w nim coś eterycznego, uduchowionego, przez co przypominał mi Marka, chłopaka Julki.

– Mówiłem o Evereście, bo moja żona i facet tej tutaj – tłumaczyłem po angielsku, wskazując gestem głowy Julkę – weszli dziś na szczyt.

– Na Everest? O, wow, gratulacje. Czekał... Ale jak to dziś? – zdziwiła się Tina. – Po sezonie?

– Oessu, pomóż – przeszedłem na polski, spoglądając na Julkę. – Jak będzie „rzutem na taśmę”?

– Last-minute¹ – odpowiedziała bez namysłu.

– Jak? – Skrzywiłem się. – Last-minute to są wczasy w Egipcie. Daj coś bardziej dramatycznego.

– At the eleventh hour².

CMoknąłem z dezaprobatą. Nie wiem, czy Julka jest dobrą tłumaczką, no nie wiem. Wprawdzie nie czytałem żadnej przełożonej przez nią książki, ale wydaje mi się, że jest zbyt zachowawcza. Czasami trzeba oddać nie sens, ale ducha wypowiedzi.

– Their ass was on fire, but they did it³ – zaimprovizowałem własne powiedzonko.

– Mmm – mruknęła Tina z uznaniem i pokiwała głową.

Zapadła cisza. Nie wiedziałem, czy to już koniec small talku, czy będziemy kontynuować pogawędkę.

– Polacos... Słuchajcie... – zapaliła się Tina, podnosząc się z drewnianej ławy, przy której siedziała. Była niewysoka, przysadzista, ale bardziej w kierunku atletycznym niż pulpetowym. – Skoro weszli na szczyt... Musimy to uczcić. Bo inaczej się nie liczy!

Zaśmiała się z własnego żartu, ujawniając dołeczki w policzkach, i nie czekając na odpowiedź, przesiadła się do naszego stolika.

– A macie może ładowarkę do iPhone'a? – spytałem.

– Mam... W moim pokoju hotelowym – odparła Tina, mrugając do mnie porozumiewawczo.

Czyli towarzyszący jej Włoch nie jest jej facetem. To się czuło. Nie było między nimi chemii. Podobnie jak w przypadku Julki i mnie.

Zaśmiałem się i protekcyjnym gestem poklepałem Tinę po ramieniu.

– Dzięki, może skorzystam... Ale najpierw toast.

Nie miałbym nic przeciwko niewinnemu flirtowi z temperamentną Hiszpanką, ale prawda była taka, że byłoby to gaszenie pożaru benzyną. Od ponad miesiąca nie uprawiałem seksu. To jeden z licznych minusów związku z himalaistką, kto wie, czy nie najdotkliwszy.

Wciąż korzystając z komórki Julki, sprawdzałem odzew na relację i na najnowszy post. O fanów trzeba dbać, ich łaska na pstrym koniu jeździ. Na co dzień robię jako copywriter w agencji reklamowej, obecność w mediach społecznościowych traktuję jak drugi etat. Niełatwy, bo trzeba się użerać z hejterami i zazdrośnikami, uważać na stalkerów i oszołomów.

„Kolejni pato-himalaiści! – pisał w komentarzu jerzrzy77. – Jak Martynka wniesieni na Everest na plecach biednych Szerpów!!!”

Odpisałem bęcwałowi, żeby sobie wygoogłał zachodnią grań Everestu, którą nigdy nie wszedł na szczyt żaden turysta ani klient komercyjnej wyprawy, ani pewnie żaden Szerpa. Wejście naszych bliskich to był prawdziwy wyczyn. O którym powinno być głośno.

„Nie życzę Twojej żonie śmierci, ale moja wróżka przepowiedziała mi, że ona nie wróci z wielkiej góry. Wspomnisz moje słowa. Odezwij się wtedy, a ja utulę Cię w bólu” – palnęła z grubej rury niejaka Marzenka_Sikoreczka.

O, to dopiero ciekawa postać. Uprzejma i romantyczna, ale jednak stalkerka, która regularnie podnosiła mi ciśnienie, składając mniej lub bardziej dwuznaczne propozycje.

„Tylko powiedz im, żeby zabrali swoje śmieci. Everest to nie wysypisko! #planeta #kryzysklimatyczny”

„Ale mi wyczyn. Everest to ośła łączka. Niech na K2 wejdzcie. Albo na Annapurnę. Albo zimą”

„Wytlumacz mi, Kris, po co oni w ogóle tam się pchają. Przecież tam się normalnie wysrać nie można. Nie mówiąc już o wzięciu pryszniczki jakiegos”

Hejt służył po mnie jak po kacze, już zdążyłem się przyzwyczaić. Takie są cienie bycia influencerem. Na szczęście przeważały serduszka, które poprawiały mi humor. Komentarze skłaniały do natychmiastowych ripost, w rezultacie bateria w komórce Julki też wkrótce padła.

– A wy gdzie się wspinaliście? – spytałem, odkładając telefon.

Hiszpanka i Włoch trzymali w rękach zielone butelki z piwem, Julka piła czerwone wino z indyjskiej winnicy Krsma, a ja whiskey sour, który dupy nie urywał z powodu kiepskiej jakości alkoholu, ale nie będę przecież robił wiochy i zgrywał w Katmandu konesera.

– No, wspinaliśmy się... Ale nie na Everest – westchnęła Tina. – Nie stać nas! Poza tym to był dopiero nasz drugi raz w Himalajach. Zaczynamy powoli, ale jeszcze się rozkręcimy. W tym sezonie zdobyliśmy Minbo Ider.

– Ile to ma? – spytałem.

– Niby tylko sześć tysięcy, ale łatwo nie było...

Tina sięgnęła po swoją komórkę i zaczęła pokazywać nam zdjęcia. Typowe obrazki uwieczniające wspinaczkę: soczyste kolory kurtek na tle śniegu. Czerwone od mrozu twarze, zmęczone, ale uśmiechnięte, emanujące niebywałą energią. Lubiłem oglądać zdjęcia z wypraw, choć dla laika prawie wszystkie wyglądają identycznie.

– Rozkręcamy się – kontynuowała opowieść Tina. – Za rok... Zobaczymy! A wy tak grzecznie czekacie na swoich partnerów, żeby ugotować im obiadek, jak zejda?

– Nie – odparłem żartobliwie urażony. – Aklimatyzujemy się. Zaraz też ruszamy na wyprawę.

Nie była to do końca prawda. Raczej robienie dobrej miny do złej gry. Z Julką przylecieliśmy do Nepalu w połowie maja. Warszawa – Stambuł – Katmandu. Bilety Turkish Airlines mieliśmy wykupione już dawno, wszystko było ustalone. Kaśka i Marek do tego czasu mieli już wejść

na Everest i zejść. Drugą połowę maja oraz pierwszy tydzień czerwca mieliśmy spędzić w czwórkę na trekkingu u podnóżu Himalajów.

To miała być podróż poślubna moja i Kaśki. A dla Marka i Julki pierwsze wspólne wakacje. Dla nas wszystkich fantastyczna przygoda: zapierające dech widoki, wizyty w buddyjskich klasztorach, autentyczna egzotyka z dala od wydeptanych szlaków. Mnóstwo pięknych zdjęć, relacji, rolek i tysiące nowych obserwujących K2_lifestyles.

Niestety od początku wszystko szło jak po grudzie. Pogoda nie sprzyjała. To znaczy Damian, kierownik wyprawy, w połowie maja wszedł na szczyt razem z jednym z Szerpów. Moim zdaniem nie powinien tego zrobić, ale wykorzystał fakt, że był już zaaklimatyzowany, a pozostali jeszcze nie. Damian znalazł się w base campie, czyli obozie u podnóża góry, dwa tygodnie wcześniej niż pozostali. A kiedy oni byli w końcu gotowi ruszyć w górę, zaczęło się pasmo huraganów i burz śnieżnych. Dzień po dniu warunki nie nadawały się do ataku szczytowego.

Kaśka i chłopaki tkwili w pierwszym obozie, czasami w drugim, czekając na okno pogodowe, zaś Julia i ja zwiedzaliśmy Katmandu i jeździliśmy po okolicy wypożyczonym autem. Nie nazwałbym tego aklimatyzacją, raczej zabijaniem czasu.

Frustracja rosła z każdym dniem, zarówno nasza, jak i uczestników wyprawy. Prognozowano już nadejście monsunu i majowy sezon wspinaczki na Everest nieubłaganie się kończył. Base camp się wyludnił, kolejne ekipy zwijały namioty. I kiedy już nasi mieli się poddać, wreszcie pojawiło się upragnione okno pogodowe. Dziś rano Damian zadzwonił, że cała czwórka ruszyła atakować szczyt, i rzeczywiście – rzutem na taśmę weszli na osiem tysięcy osiemset czterdzieści osiem metrów nad poziomem morza.

– Za Everest! – powiedziała Tina, wznosząc kolejny toast. – I za życie...

Niczego w końcu nie zjedliśmy, oprócz miseczki orzeszków ziemnych i sojowych czipsów podawanych do drinków. Miło się rozmawiało z Tiną i Lorenzo, ale cały czas myślami uciekałem do Kaśki. Uspokajałem się, wyobrażając ją sobie, jak śpi w namiocie, zakutana w śpiwór. Trochę wkurzało mnie, że pewnie tuli się do Marka albo do któregoś z drągali, bo bracia Arek i Bart obaj mieli po sto kilo żywej wagi i po metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Ale – trochę tak jak w filmie, gdzie pocałunki

i seks między aktorami nie są prawdziwe – przytulanki himalaistów też służą innym celom.

Było już po dziesiątej, kiedy wyszliśmy z restauracji. Tina i Lorenzo odprowadzili nas do hotelu. Mijaliśmy rozświetlone witryny barów i sklepików. Niemal wszystkie nosiły dumną nazwę „mall”, czyli „centrum handlowe”.

Świątełka, wszędzie świątełka, nawet uliczny sprzedawca oferował nie zwykłe balony, ale iskrzące się ledami dmuchane plastikowe kule. Ulicą mknęły skutery, riksze i taksówki. Nocne życie kwitło. Po kilkunastu minutach spaceru zatrzymaliśmy się przed wejściem do naszego hotelu. Cały parter zajmowały sklepy: z ubraniami, z pamiątkami, do recepcji wchodziło się po schodkach na pierwsze piętro.

Pożegnaliśmy się jak starzy przyjaciele, wymieniając się telefonami i mailami.

– To co z tą ładowarką? – spytała jeszcze Tina, mrugając do mnie porozumiewawczo.

Zaśmiałem się i pokazałem jej obrączkę.

W odpowiedzi powiedziała coś po hiszpańsku, chyba specjalnie, żebym nie rozumiał, ale jedno słowo było mi znane – „guapo” – przystojny.

Jak tylko weszliśmy do pokoju, ruszyłem do gniazdka przy łóżku i złapałem kabel ładowarki. Wypiłem za dużo, i to na pusty żołądek. W głowie wirował mi helikopter. Zajęło mi chwilę, nim trafiłem końcówką w gniazdko w telefonie. W tym czasie Julka podeszła do minibarku i wyjęła butelkę wody mineralnej.

– Nawet nieźła ta Hiszpanka – powiedziałem, przysiadając na skraju łóżka. Włączona komórka zaczęła brzęczeć i świergotać powiadomieniami. – Południowa krew...

– Katalonka – poprawiła mnie Julka. – Nie Hiszpanka.

– Jeden pies – zaśmiałem się.

Nagle uśmiech zamarł mi na twarzy, a w oczach pociemniało. Patrzyłem w trzymaną w rękach komórkę, nie wierząc w to, co widzę na jej ekranie.

– Co jest? Za mało lajków czy sponsor się wkurzył? – spytała żartobliwym tonem Julka, nalewając wodę do szklanki.

3. JULIA

Choć nie wypitałam dużo, ledwie dwa kieliszki wina, mocno kręciło mi się w głowie. Może to kwestia wysokości, Katmandu jest położone półtora tysiąca metrów nad poziomem morza.

– Co jest? Za mało lajków czy sponsor się wkurzył? – spytałam.

Mój towarzysz siedział na brzegu łóżka jak skamieniały, a telefon w jego dłoni dalej szalał, dryndał i świergotał powiadomieniami. Nigdy nie zapomnę jego miny. Jakby na twarz ktoś nałożył mu upiorną, wykrzywioną maskę.

Natychmiast otrzeźwiałam. Wiedziałam już, że wydarzyło się coś złego. Znacznie gorszego niż wpadka ze sponsorem.

– Kris! – wydusiłam z siebie tylko jedno słowo.

– Lawina – powiedział cichym, schrypniętym głosem, po czym popatrzył na mnie oczami pełnymi przerażenia. – Kurwa mać, lawina zesłała na nich. Fuck!

I tak zaczęła się najdłuższa, najstraszniejsza noc w moim życiu. Noc czarna, bez jednego promyka nadziei, noc bez końca.

– Jak to? Boże! – zawołałam, rzucając się w kierunku łóżka, na którym siedział Kris. Z zazdrością patrzyłam na biały kabel ładowarki, który przesyłał prąd do jego komórki. Musiałam się powstrzymać, żeby mu jej nie wyrwać i nie podłączyć swojego telefonu. Niestety chwilowo mieliśmy tylko jedną ładowarkę, bo wczoraj Kris zgubił gdzieś swoją, pewnie zostawił ją w restauracji w Pokharze.

– Damian napisał mi esa – relacjonował Kris. – Kurwa! Dwie godziny temu. I mam nieodebrane połączenia. Czekaj... Dzwonię!

Czułam, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Usiadłam na swoim łóżku, a hotelowy pokój zawirował.

Poczułam ból w dłoniach. Opuściłam wzrok i zorientowałam się, że z całej siły zaciskam pięści. Znów popatrzyłam na Krisa. Był błydy jak ściana, trzymał przy uchu komórkę i czekał na połączenie.

Dzwonił do szefa wyprawy, który przebywał w bazie pod Everestem. Z nim można się było połączyć normalnie, nie byłam pewna, czy ma tam po prostu zasięg, czy używa telefonu satelitarnego.

– Ja pierdołę, nie odbiera.

Nagle zorientowałam się, że biegnę do łazienki. Ciało przejęło nade mną kontrolę. Dopadłam do muszli klozetowej i zwymiotowałam całe wino wypite tego wieczora.

Kiedy wyszłam z łazienki, rozległ się dzwonek telefonu.

– Halo? – Kris odebrał połączenie po pierwszej nutce.

– Daj na głośny – wyszeptałam błagalnie.

Pokiwał głową i stuknął w ekran, po czym położył telefon na łóżku.

– Co wiesz? – usłyszałam przerażony kobiecy głos. – Krzysiu, mów! Błagam cię! Co ty wiesz, dlaczego nie odbierasz?! Boże, Boże... Dzwonię od godziny. Przecież my tu ze Zdziśkiem odchodzimy od zmysłów! Chryste!

– Ale ja nic nie wiem! – krzyknął Kris. – Myślałem, że ty coś wiesz.

– Dostaliśmy tylko wiadomość od Damiana... O Boże, Boże... Dziecko, nie okłamuj mnie!

– My dopiero wróciliśmy do hotelu... Naprawdę.

Domyśliłam się, że zadzwoniła teściowa Krisa, Zuzanna. Poznałam ją dwa miesiące temu na jego ślubie. Była zadbaną kobietą, głośną, trochę dziwną, ze skłonnością do egzaltacji. Na weselu robiła wokół siebie sporo zamieszania, kreując się na kruchą kobietkę, którą trzeba non stop się zajmować, otaczać atencją. Zupełne przeciwieństwo jej córki Kaśki, która była twarda, charyzmatyczna.

– Nie wierzę ci. Mam złe przeczucia... – Zuzanna mówiła podniesionym głosem. – Ty coś wiesz, tylko nie chcesz mi powiedzieć! Krzysiu... Błagam!

– Mamo, tłumaczę ci. Dostałem tylko esemesa od Damiana, pewnie takiego samego jak ty.

– Boże, Boże, mówiłam jej: „Nie jedź!” Ja wiedziałam, że to igranie z losem. Dlaczego ona w te góry? Przeklęte góry! A przecież mogła grać w tenisa, tyle lat wozilałam ją do szkółki w Choszczówce, jeszcze niedawno trener mówił mi, że była lepsza niż Radwańska i Świątek razem wzięte...

Znów poczułam skurcz żołądka. Zuzanna dostała absurdalnego słowotoku, chyba tak dawało o sobie znać jej zdenerwowanie. Kris krzyczał na nią, a ja chciałam wrzasnąć, żeby oboje przestali. I żeby oddał mi ładowarkę. Wierzyłam, że kiedy wreszcie włączę komórkę, dostanę esemesa od Marka z zapewnieniem, że jest bezpieczny i wszystko jest w porządku.

Przecież lawina to nie wyrok – pocieszałam się w myślach. Idiotyczny argument, ale na tę chwilę głos rozsądku nie miał mi nic lepszego do zaoferowania.

Niestety, kiedy w końcu drżącymi rękami podłączyłam swój telefon do ładowarki i uruchomiłam go, zaczęły przychodzić jedynie powiadomienia od Nepal Telecom o cenach roamingu.

– Co to za dźwięk? – spytał Kris, kiedy rozłączył się po odbyciu kolejnej trudnej rozmowy, tym razem ze swoimi rodzicami.

Wokół nas rozległ się szmer, jakby tysiące osób zaczęło klaskać. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to ulewa. Padało pierwszy raz, od kiedy wylądowaliśmy w Katmandu. Monsun obwieścił swoje przybycie.

Kris kolejny raz próbował połączyć się z Damianem, ale znów bez rezultatu. Ze złością cisnął komórkę na łóżko.

– To wszystko dlatego, że tak długo czekali? – spytałam.

Nie odpowiedział, ale uniósł głowę i popatrzył na mnie bez zrozumienia. Jego niebieskie oczy od wypitego tego wieczoru alkoholu stały się błękitne. Wyglądały nienaturalnie, martwo. Jak szklane paciorki.

– O czym ty mówisz? – spytał w końcu.

– Przecież Marek mi mówił. – Próbowałam opanować drzenie w głosie. – I ta dziewczyna z Katalonii dzisiaj potwierdziła. Sezon na Evereście się skończył. Kilka dni temu. Nie powinni się wspinać, bo robi się niebezpiecznie!

– Nie nakręcaj się – mówił Kris, jednocześnie przebierając palcami po ekranie swojej komórki. – Nie ma czegoś takiego jak sezon na Evereście. To wszystko jest umowne.

– Jak nie ma?! Nikt o zdrowych zmysłach nie pcha się tam, jak przychodzi monsun. Marek mi to kiedyś tłumaczył! Powinni odpuścić. I zawrócić. Nie powinni tam byli w ogóle iść! Nikt się tam nie wspina w czerwcu!

– Przestań – syknął Kris. – Gadasz jak moja teściowa. Jest trzeci czerwca, to prawie maj jeszcze.

Miałam ochotę krzyknąć, ale zrozumiałam, że to nic nie da, że daję tylko ujście strachom i frustracji. Popatrzyłam na trzymaną w dłoniach

plastikową butelkę. Na etykiecie był napis „Jalapa Fresh. Himalaya's spring water”

– Chcesz wody? – zapytałam, próbując uspokoić emocje.

Kris pokręcił głową. Zaczęła dzwonić jego komórka. Oboje się poderwaliśmy.

– Daj na głośny – znów poprosiłam.

– Halo? Damian, co się dzieje?! – powiedział Kris, odebrawszy połączenie. – Mów!

– Halo... Cześć...

Przeraziło mnie, bo głos Damiana był słaby, jakby przygnieciony tragedią. Przycupnęłam przy łóżku Krisa i patrzyłam jak zahipnotyzowana na leżącą na pościeli komórkę, która beznamiętnie odmierzała sekundy połączenia.

– Lawina... zmiotła im obóz. – Damian mówił rwanymi zdaniami. – Tyle wiem.

– Jakim cudem? Jakim cudem rozbili się na drodze lawiny?!

Kris sformułował pytanie niezbyt mądrze, ale nie było ono bezzasadne. Namioty ustawia się przecież w bezpiecznych miejscach.

– Nie wiem. Nikt się tam lawiny nie spodziewał... Mamy tu teraz burzę śnieżną.

– To gdzie oni nocują? – spytałam.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?! Co mówią?

– Nie wiem, nie odbierają.

– Ja pierdolę. Wywołaj ich! – krzyknął Kris. – Przecież nie mogą biwakować pod gołym niebem.

– A myślisz, że co robię cały czas? – warknął Damian.

Jego odpowiedź odebrała mi oddech. Zatkąło mnie, jakby ktoś zakorkował mi tchawicę. Byłam przerażona, bo brak kontaktu z kierownikiem wyprawy mógł oznaczać najgorsze.

– Idź po nich! – powiedział Kris.

– W nocy?

– Tak, kurwa, w nocy. Dlaczego jeszcze nie ruszyłeś dupy?

– W nocy... Nie ma opcji. Zobaczmy rano.

– Idź po nich!

– Przestań, Kris! Teraz jest sajgon. Wieje tak, że łeb urywa. Wali śnieg i jest minus czterdzieści. Może do rana przejdzie.

– To ty przestań się mazgać! – wszedł mu w słowo Kris. – Idź po nich!

Siłą woli nabrałam powietrza w płuca. Położyłam dłoń na ramieniu Krisa, próbując go uspokoić. Krzyki i inwektywy w niczym teraz nie pomogą.

– Na jakiej są wysokości? – Z trudem wydobyłam z siebie głos. Miałam wrażenie, że dochodzi nie z mojego gardła, ale gdzieś głąboko z trzewi.

– Nie martwcie się. Dotrwają do rana, a rano coś wymyślę.

– Ale co? – zapytałam.

– Jezu, nie wiem. Pewnie sami zejść do trójki. Będzie dobrze.

Chciałam przeciągać rozmowę z Damianem, bo dzięki niej czułam, jakbym była tam... Blisko. Blisko mojego Marka. Choć wiedziałam przecież, że bazę, w której znajdował się Damian, dzieli od wierzchołka Everestu przepaść. Nie dosłownie, choć w pionie to też prawie trzy kilometry góry. Realnie to były dwa światy, odległe o wiele godzin wspinaczki i kolejne obozy po drodze.

Kris milczał, co chwila przecierając dłońmi twarz. A ja zadawałam idiotyczne pytania. Jaka tam jest temperatura, z kim dokładnie rozmawiał, jakie słowa padły. I jeszcze raz od początku: dlaczego nie pójdzie już teraz w górę, żeby im pomóc?

Pytałam naiwnie jak dziecko i przeciągałam rozmowę, bo liczyłam, że Damian zaraz zawoła: „Są! Widzę ich czołówki. Idą!”. Jednak nic podobnego się nie stało. Nie mogło się stać i dobrze o tym wiedziałam.

Zaklinałam rzeczywistość.

Damian cierpliwie odpowiadał na moje pytania, a kiedy w końcu się rozłączyliśmy, zostaliśmy z Krisem we dwoje z pustką ciszy, przerywanej jedynie szumem monsunowej ulewy, która na zboczach Everestu przybrała formę śnieżnej burzy. Pustką, która zmieszana ze strachem tworzyła poczucie beznadziei.

Nie chciałam nurkować w tę otchłań. Siłą woli pocieszałam się, próbując sobie wyobrazić szczęśliwe scenariusze. Burza minie, huragan minie, przecież wszystko przemija. To jedna z głównych idei buddyzmu, wielokrotnie powtarzana w książce, którą właśnie tłumaczyłam. Rano nasi ruszą w dół, zejść do trzeciego obozu. Tam czekają na nich namioty,

możliwość stopienia lodu i podgrzania wody. Warunki dalekie od komfortowych, bo nawet w namiocie temperatura w nocy wynosi minus dwadzieścia stopni. Ale w śpiworze da się przetrwać.

Kris cały czas wisiał na telefonie. Rozmawiał z jakimiś przyjaciółmi z Polski, potem znów z teściową. Ja rozmawiałam z rodzicami, siostrą, potem za wszelką cenę chciałam zająć czymś myśli.

Nie byłam w stanie zasnąć, mimo że minęła trzecia w nocy. Jałowe czekanie było upiorne. Zaczęłam szukać w internecie prognozy pogody. Nie miało to specjalnego sensu, ale wczytując się w informacje, jakie warunki panują na Evereście, chociaż w ten symboliczny sposób byłabym bliżej Marka.

Wchodziłam na anglojęzyczne portale z lokalnymi informacjami: Himalayan Times, Kathmandu Post... Klikałam jak w transie. Informacjami numer jeden były zaogniająca się sytuacja na Tajwanie oraz zamieszki w Tybecie, które trwały od kilku dni, od samospalenia buddyjskiego mnicha w Lhasie. Były też artykuły o jakiejś aferze korupcyjnej związanej z kasynami w Nepalu, o opóźnieniu ukończenia budowy lotniska w Pokharze, ale prognozy pogody nie mogłam znaleźć.

– Mamo, przestań mnie pocieszać! – usłyszałam nagle podniesiony głos Krisa.

Krążył po pokoju hotelowym z komórką przy uchu.

Przez chwilę klikałam bez sensu, po czym wpisałam w przeglądarce adres polskojęzycznego portalu informacyjnego.

Zmroziło mnie. Od razu rzucił mi się w oczy tytuł wybity wielką czerwoną czcionką.

„Lawina na Evereście. Nie żyje czworo polskich himalaistów”

DZIEŃ DRUGI – ŚRODA

4. KRIS

Ze snu wyrwał mnie dzwonek komórki. Mam ustawione dryndanie staroświeckiego telefonu, które zmarłego poderwałoby z grobu. Kiedy otworzyłem oczy, za oknami było już jasno. Wydawało mi się, że przez całą tę straszną noc nie zmrzyłem oka, ale widocznie nad ranem przysnąłem, ścięty alkoholem i wymęczony stresem.

Coś mi się nawet śniło. Kaśka, moja Kasia... Impreza podobna do tej, na której się poznaliśmy cztery lata temu. Późna wiosna, bankiet w Łazienkach podczas aukcji sztuki współczesnej, zapach kwitnących lip, czerwiec. Czerwiec. Jak teraz. Cytrynowa sukienka, odsłonięte ramiona, odważna szminka. Drobna blondynka otoczona wianuszkami mężczyzn. I ta władza, którą nad nimi miała. Jej charyzma. To się czuło, z daleka – Kaśka była niczym treserka, a wokół potulne lwy. Każdy chciał ją mieć, każdy o niej marzył, ale żaden nie śmiał...

Rozśmieszyłem ją, udając ignoranta. Niby że wziąłem agregat prądotwórczy za nowoczesną rzeźbę. Potem przekonałem ją do chardonnay i jakoś już poszło.

Gdzie ta komórka?! W amoku macałem pościel. Wróciły strach i niepewność o Kaśkę. Ścisk w gardle. Lawina. Lawina na Evereście. Czerwony nagłówek w portalu informacyjnym. Brak kontaktu. To nie jest sen.

Nareszcie wygrzebałem komórkę. Dzwonił Damian, kierownik wyprawy. Odebrałem. Czułem, jak serce przyspiesza mi w kilka sekund do setki. Kątem oka zauważyłem Julkę, która budziła się na sąsiednim łóżku. Ona też zasnęła w ubraniu.

– Halo? – wychrypiałem do telefonu.

Odpowiedziała mi cisza. Przerazająca, głucha. Pomyślałem, że już wszystko jasne, że jednak. Ale wtedy usłyszałem cichy kobiecy głos, dobiegający z daleka, z bardzo daleka.

– Kris...

– O Boże, Kaśka! – wydarłem się, dając ujście nagromadzonym emocjom. – Całą noc nie spałem. Kochanie! Jak dobrze! Jak dobrze cię słyszeć! Dżizas!

– Ciebie też...

Poderwałem się z łóżka. Euforia to jednak najlepszy haj. Zalała mnie tak potężna fala szczęścia, że aż wycisnęła mi łzy z oczu.

Od razu domyśliłem się, co i jak. Moja żona łączy się z Damianem za pomocą radia, a on przekierowuje rozmowę na moją komórkę. Nieraz tak rozmawialiśmy podczas ich wyprawy.

– Wiedziałem! Wiedziałem! – wyrzucałem z siebie słowa. – Wiesz, że ci debile napisali na stronie, że nie żyjesz... Że wszyscy zginęliście w lawinie.

– Na jakiej stronie? – Kaśka wydawała się zniecierpliwiona, co przyjąłem z radością, bo to znaczyło, że jest dobrze, że jest sobą, ostrą, pewną siebie laską, która nie lubi wokół siebie ludzi myślących powoli.

– Nieważne. Najważniejsze, że żyjesz.

– A Marek?! – zawołała Julka, łapiąc mnie za ramię. – Zapytaj o Marka. Błagam cię, zapytaj o Marka!

– A Marek? – powtórzyłem do komórki. – Słyszysz mnie dobrze?

Jednocześnie wolną rękę skierowałem w stronę Julki, żeby ją uciszyć, bo połączenie było słabej jakości. Musiałem się wysilać, żeby spośród trzasków i wycia wiatru wyłowić słowa żony. W dodatku Kaśka mówiła z trudem i niewyraźnie, na pewno była zmarznięta, wykończona po wczorajszym, po morderczej wspinaczce na szczyt, po biwaku w ekstremalnych warunkach. Kto wie, co jeszcze tam się działo.

– Nie żyje. Niestety... – powiedziała cicho. – Zmiotła nas... druga lawina... My się jakoś... wygrzebaliśmy, ale on...

Włosy zjeżyły mi się na głowie. Odruchowo zerknąłem na Julkę, która złapała moje spojrzenie.

– I co z nim? Daj na głosny – poprosiła i zaczęła płakać.

Chyba zdradziła mnie przerażona mina. W milczeniu nacisnąłem na ekranie komórki ikonkę głośnika.

– Słyszysz mnie? On nie żyje! – powtórzyła Kaśka, głośniej i wyraźniej, jej słowa, wraz z wyciem wiatru smagającego Everest, rozniosły się po naszym pokoju hotelowym.

– Słyszę. Słyszemy... Cholera... Tak mi przykro... – powiedziałem cicho, spoglądając na Julkę.

5. JULIA

Obudził mnie radosny głos Krisa. Rozmawiał z żoną, przeżyła. Medialne doniesienia okazały się nieprawdą. W mgnieniu oka wypełniła mnie nadzieja, ale zaraz znów została brutalnie zdeptana.

– Słyszysz mnie? On nie żyje! – powiedziała Kaśka.

– Słyszę. Słyszemy... Cholera... Tak mi przykro... – odparł Kris, patrząc na mnie z tym okropnym współczuciem w oczach, jakim obdarowuje się pokrzywdzonych przez los.

Ścięto mnie z nóg. Dosłownie. Osunęłam się na podłogę.

Chciałam nie wierzyć w słowa jego żony. Zaprzeczenie, pierwszy etap żałoby. Ale jak mogłam się łudzić? Tym razem nie był to niepotwierdzony artykuł na stronie internetowej, napisany przez nadgorliwych dziennikarzy, którzy nie zweryfikowali informacji. To była wiadomość z pierwszej ręki, od osoby, która była tam, na miejscu.

– Zeszła druga lawina... W kuluarze... Odkopaliśmy go... Reanimowaliśmy... Nie dawał żadnych oznak życia... – mówiła Kaśka.

Nie krzyknęłam, nie zaczęłam płakać. Nie miałam na to siły. Dłońmi podpierałam się o podłogę hotelowego pokoju. Właściwie trzymałam się jej kurczowo, jakbym się bała, że za chwilę wpadnę w otchłań.

– Cholera, strasznie mi przykro... – mówił Kris, ale nie słuchałam jego okrągłych zdań reklamiarza.

Choć od początku było jasne, że jesteśmy z dwóch różnych światów, teraz staliśmy już na przeciwległych brzegach Styksu. Ja w przedsionku Hadesu, on po stronie życia, szczęścia i słońca.

Moje myśli to galopowały, to się rozsypywały. Pytałam, nie wiem kogo: dlaczego? Jednocześnie krzyczałam wewnętrznym głosem: to nieprawda! Jednak czarny wir w mojej głowie powoli pochłaniał

wszystkie pozostałe myśli. Był gorzki i tak straszliwie odzierał mnie ze wszystkiego.

Nie będzie wspólnego życia z Markiem. Już ani jednej wspólnej chwili. Nie będzie trekkingu u podnóży Himalajów ani planowanej przez nas na jesień wyprawy na Sycylię. Nie będzie już więcej wspólnej Gwiazdki. Ta, którą spędziliśmy w zeszłym roku, pozostanie jedyną. Nie będzie już żadnej romantycznej kolacji we włoskiej restauracji na Woli ani w chińskiej na Ursynowie, w lokalu nad myjnią samochodową, ani w żadnej innej. Nie zamieszkamy razem, nie przygarniemy psa ze schroniska. Niczego nie będzie. Będzie tylko rozpacz, pustka, cmentarz. I pusty grób, bo nawet ciała nie będzie.

– Barta też zasypało. Jest mocno obity – relacjonowała dalej Kaśka, ale jej też nie słuchałam, jedynie moja podświadomość rejestrowała wydawane przez nią dźwięki. – Marka też poturbowało, ale mniej. Chyba my na przedzie mniej dostaliśmy... Ja jestem w najlepszym stanie.

Nagle szarpnęło mną, jakbym wyrwała się ze snu.

– Jak to: Marka? – uprzedził mnie Kris.

– Co ty mówisz?! – wykrzyczałam jakimś wysokim, nie swoim głosem.

– No co? – spytała Kaśka.

– Powiedziałaś przed chwilą... – łkałam. – Że Marek... Że nie żyje.

Przez chwilę, długą jak wieczność, Kaśka milczała. Już myślałam, że połączenie się zerwało i pozostanę nie wiadomo jak długo w okrutnej niepewności.

– Marek żyje – powiedziała w końcu Kaśka. – Arek nie żyje. Krisu spytał przecież o Arka. Marek żyje.

– O kurwa – jęknął Kris, łapiąc się za głowę.

– Daj mi go! – wrzasnęłam.

Nie wiem, jak ona mogła pomyśleć, że Kris w pierwszej kolejności pyta o Arka. Przecież wiedziała, że ja tu jestem. Może była aż tak wyczerpana i niedotleniona? W wyciu wiatru, na ekstremalnej wysokości nie dosłyszała?

Dziesięć sekund, które nastąpiło, trwało dłużej niż całe moje życie. Patrzyłam jak zahipnotyzowana na leżącą na białej pościeli komórkę.

– Daj mi go – darłam się jak opętana. – Daj mi Marka!

– Kochanie, daj do telefonu Marka – włączył się Kris. – Możesz? Słyszysz? Daj na chwilę Marka! Kocham cię...

Coś zachrobotać, po czym znów słychać było tylko wizg wiatru. Czulałam, że serce zaczyna bić mi tak mocno, że za chwilę połamie mi żebra.

I wtedy usłyszałam jego głos. Jak zwykle spokojny i opanowany.

– Julia? Jestem. Wszystko... dobrze... ze mną.

Nie da się opisać słowami tej ekstazy, tego szczęścia, kiedy w ułamku sekundy zostałam wypchnięta z piekła rozpaczy ku oślepiająco jasnej radości.

Będzie! Wszystko będzie! Restauracja chińska, włoska, każda inna, będzie Gwiazdka, wspólne mieszkanie będzie.

Będzie!

Głos Marka był słaby i zmęczony, a jakość połączenia kiepska. Ale adrenalina wyostrzyła mi zmysły, również słuch. Mój chłopak mówił, że biwakowali w jakiejś szczelinie, przetrwali, nie poddają się, ruszają niżej, do kolejnego obozu.

– Arek... nie żyje. Reanimowaliśmy go... – mówił Marek. – Ale...

Powoli składał słowo do słowa, relacjonując mi wydarzenia feralnej nocy. Spieszyli się, schodząc, żeby zdążyć dojść do obozu przed zapadnięciem ciemności i przed uderzeniem nawałnicy. Niestety burza śnieżna nadeszła szybciej, niż się spodziewali, albo oni – tak opętani żądzą wejścia na szczyt – zaklinali rzeczywistość i za bardzo uwierzyli prognozie pogody.

Pierwsza lawina zmiotła im namioty obozu szturmowego. Zrobiło się nie tyle niebezpiecznie, ile dramatycznie. Mieli przed sobą perspektywę spędzenia nocy bez schronienia, bez tlenu, w huraganowym wietrze, który sprawia, że odczuwalna temperatura może wynosić minus sześćdziesiąt stopni.

Byli wyczerpani, ale podjęli decyzję, żeby zejść niżej. Niestety – po ciemku, przedzierając się przez ściany padającego śniegu, zgubili drogę. Błąkali się przez pół nocy, aż uderzyła w nich druga lawina.

– To była... sekunda – mówił Marek. – Podniosło nas. Polecieliśmy... I ciemność. Straciłem przytomność.

Ocknął się poobijany. Lawina zerwała mu plecak, czapkę, gogle. Razem z Kaśką wykopali ze śniegu dwóch braci. Bart był poobijany,

a Arek nie dawał oznak życia. Próbowali go reanimować. Bez rezultatu, odmrozili sobie tylko palce i twarze. Przerażeni, że może zejść kolejna lawina, zostawili go w końcu i szukali po omacku bezpiecznego miejsca na biwak.

Byle dotrzeć do rana.

Marek był zbyt zmęczony, żeby mówić dalej. Kris poprosił go, żeby dał do telefonu Kaśkę. Ja wszystkie mięśnie miałam tak napięte, że czułam się jak sparaliżowana. W gardle poczułam jakieś obce ciało i dopiero po chwili zrozumiałam, że muszę przełknąć ślinę, że z przejęcia zapominam o podstawowych czynnościach fizjologicznych.

– Schodzicie? – upewnił się Kris.

– Nie mamy jak. Nie mamy... sprzętu – powiedziała Kaśka. – Nie mamy leków. Wszystko... poszło z lawiną. Damian... musi nam pomóc.

– Wiem, powiedział mi, że rusza do was. Będzie dobrze! Wszystko wam przyniesie. Kochanie... nie martw się!

– Tylko... niech... się pospieszy. Pogoda coraz gorsza. Śnieg... znów nakurwia. Wiatr... Nakurwia cały czas. Bart... Kiepsko...

6. KRIS

Rzut oka na Julkę i wiedziałem. Zrozumieliśmy się bez słów.

Działamy.

Nagle, w sytuacji zagrożenia naszych bliskich, zaczęliśmy nadawać na jednej fali.

Wcześniej różnie bywało, byliśmy z dwóch różnych światów, zbyt odległych, żeby się autentycznie zakumplować. Ona intelektualistka, ja influencer... Tłumaczka literatury i copywriter. Jazz kontra hip-hop, Kandinsky versus komiksy i tak dalej. Może to i lepiej, bo nie wierzę w przyjaźń między kobietą a mężczyzną. A jeszcze w obliczu mojej seksualnej frustracji... Obojgu nam wyszło na dobre, że nie zaiskrzyło.

Przed przyjazdem do Katmandu spotykaliśmy się, i to nierzadko, kiedy nasze drugie połówki planowały wyprawę na Everest. Potem był mój i Kaśki ślub dwa miesiące temu, na który Julka i Marek byli zaproszeni. Nie pamiętam jednak, żebyśmy kiedykolwiek dłużej ze sobą

porozmawiali, aż do dnia, kiedy spotkaliśmy się na lotnisku w Warszawie i ruszyliśmy w podróż do Katmandu.

Kiedy na Okęciu czekaliśmy na otwarcie gate'u i poprosiłem ją o pomoc w nagraniu relacji na Insta i TikToka, chyba nie miała pojęcia, o czym mówię. Podniosła wzrok znad książki z twardą okładką i patrzyła na mnie jak na diabła wcielonego. Normalnie polska amiszka.

Potem oczywiście trochę się zżyliśmy, spędzając razem dwa tygodnie w oczekiwaniu na bandę z Everestu. Żeby było taniej, wynajęliśmy jeden pokój w hotelu. Żartowaliśmy, że to i tak nic w porównaniu z Kaśką i Markiem, którzy w tym czasie dzielą jeden ciasny namiot.

Jeździliśmy na wycieczki, razem szwendaliśmy się po targowiskach i buddyjskich świątyniach, razem jedliśmy posiłki, ale aż do teraz była to raczej pokojowa koegzystencja niż prawdziwa relacja. Ja prezentowałem przed kamerą najnowsze ray-bany, ona w skupieniu czytała Raya Bradbury'ego. W buddyjskiej świątyni puszczałem w ruch ustawione rzędem kręciołki z płaskorzeźbami, a ona tłumaczyła mi, że to młynki modlitewne, których każdy obrót zanosi w górę wyryte na ich powierzchni prośby i błagania.

Ale w obliczu dramatu dzielące nas różnice wyparowały.

– To co robimy? – spytała Julka.

– Nie wiem. Cokolwiek.

Zapewne nie mogliśmy zrobić nic sensownego, żeby pomóc czwórce... poprawka: już tylko trójce uwięzionej na Evereście. Chodziło o to, żeby nie siedzieć beczynn timer w hotelu.

– Jedziemy do agencji – uściśliłem po chwili namysłu.

Miałem na myśli agencję turystyczną UHK, czyli Ultra Height Kathmandu, która obsługiwała wyprawę na Everest. Załatwiali pozwolenia, sprzęt, pomoc Szerpów, przelot z Katmandu do Lukli i milion innych pierdół.

Julka skinęła głową i wybrała numer. Poprosiłem ją, żeby włączyła głośnik. Mam podzielną uwagę, więc słuchając rozmowy, jednocześnie pisałem szybki post i odpowiadałem na komentarze, których od wczoraj pojawiły się setki, jeśli nie tysiące.

W UHK wiedzieli już o lawinie, która dotknęła ich klientów, bo skontaktował się z nimi Damian. Ale on siedział w bazie pod Everestem, sto pięćdziesiąt kilometrów od Katmandu, i mógł co najwyżej

pozukiwać przez telefon satelitarny. A my mogliśmy stanąć im nad głową i pilnować, żeby działali, żeby zrobili wszystko, i to najszybciej, jak się da.

Może trzeba będzie ich zmotywować, żeby nacisnęli na swoich Szerpów? Będą musieli pomóc Damianowi wnieść w górę sprzęt, który zabrała lawina. Może też naprawić zniszczone przez żywioł poręczówki? Byli zaaklimatyzowani, a ich szef, zwany sirdarem, towarzyszył Damianowi w ataku szczytowym.

– Głodna? – spytałem Julkę, ściągając wczorajszą koszulkę.

Pokręciła głową.

– Ale musimy coś zjeść. Na głodniaka nic nie zdziałamy.

– Zgarniemy coś po drodze.

To mi się w niej podobało. Intelktualistka, ale nie wyniosła pańcia, bardziej typ dziewczyny z sąsiedztwa. Grzecznej i uczynnej, dobrej dla zwierząt i z ręką do roślin. Nie robiła wokół siebie zamieszania. Zero egzaltacji i humorów, co wcale nie odbierało jej kobiecości. Pod tym względem była trochę jak moja żona, choć nie miała jej charyzmy. No, ale Kaśka jest jedna na milion, absolutnie wyjątkowa i fascynująca.

Dlatego się z nią ożeniłem.

– To co? Szybki prysznic i lecimy? – zaproponowałem. – Idź ty. Bo ja jeszcze dzwonię do teściowej. Muszę ją uspokoić.

– Ja też muszę zadzwonić – odpowiedziała. – Do rodziców i do ojca Marka. Obiecałam, że jak tylko czegoś się dowiem, dam znać.

Zerknąłem na nią. Pomyłka z imieniem nieszczęśnika, który zginął w lawinie, musiała nieźle ją przeczłgać, ale nie dawała tego po sobie poznać.

– Idź, idź – ponagliła mnie.

Długo nie musiała mnie przekonywać. Jeszcze szumiał mi w głowie alkohol. Za dużo wczoraj wypilem. Marzyłem, żeby wsadzić łeb pod zimną wodę.

Kiedy trzy minuty później stałem pod prysznicem w hotelowej łazience, myślałem o nocy, którą Kaśka i chłopacy spędzili w ekstremalnych warunkach. Nie byłem w stanie sobie wyobrazić tych niekończących się godzin w ciemności i chłodzie. W zmaganiach z lodowatą nawałnicą, wiatrem, który obniża odczuwalną temperaturę do minus pięćdziesięciu, sześćdziesięciu, a nawet więcej.

Minus sześćdziesiąt stopni?! Dla mnie to była abstrakcja, chyba nigdy nie przeżyłem nawet minus dwudziestu. Kiedyś Kaśka próbowała opowiedzieć mi, jakie to uczucie, kiedy lodowata wichura zdiera z człowieka marne resztki ciepła, i tak z trudem produkowanego przez pozbawiony odpowiedniej ilości tlenu organizm.

Tortura. Masochizm. Nie ma na to i nie może być łagodniejszego określenia.

Przykręciłem ciepłą wodę i nachyliłem głowę pod deszczownicę. Przez chwilę leciała jeszcze letnia, po czym w mój kark uderzyła lodowa pięść. Wytrzymałem kilka sekund, wszystko natychmiast mi się skurczyło, a przecież zimna woda w hotelu miała temperaturę kilkunastu stopni powyżej zera. Jak oni przeżyli na mrozie, który sprawia fizyczny ból? Poobijani, w strachu, że może to już koniec. I świadomi, że jeden z nich – jeszcze przed chwilą dzielący z nimi radość z powodu sukcesu – nie żyje, jest bryłą lodu. Zginął, uduszony przez lawinę albo z przetrąconym przez nią karkiem.

Co oni z nim zrobili? Pochowali go? Pewnie nie mieli siły, może co najwyżej zepchnęli go w przepaść albo do jakiejś lodowej szczeliny.

Moje myśli poszybowały do Arka. Biedny gnojek. Nie znałem go za dobrze. Był informatykiem, pracował razem z Markiem i Damianem, miał trzydzieści dwa albo trzy lata. Wspinał się w parze ze swoim starszym bratem, Bartem. Na zdjęciach i filmikach, które podsyłali nam, kiedy nudzili się w oczekiwaniu na okno pogodowe, Arek często się wygłupiał, włąził w kadr, sypał śnieg za kołnierz. Zapamiętałem jego chochlikowaty uśmiech i niespokojną energię. Bandanę zawiązaną wokół szyi i rzemyki na nadgarstku. Duży dzieciak. Dosłownie, bo miał z metr dziewięćdziesiąt wzrostu i sto kilo wagi.

Miał. Bo już go nie ma.

Westchnąłem ciężko i popatrzyłem w dół, między swoje nogi. W tej strasznej chwili miałem ochotę na moment zapomnienia. Ale choć cierpiałem na seksualną frustrację, całe podniecenie wyparowało mi z głowy.

Jak ręką odjął. Ha, ha.

Wyszedłem spod prysznica. Szybko i metodycznie wytarłem się i stanąłem przed zaparowanym lustrem. Sięgnąłem po leżącą na półeczce maszynkę do golenia. Po chwili wahania odłożyłem ją z powrotem.

Ograniczyłem się tylko do wtarcia we włosy pianki i pobieżnego ich ułożenia. Szkoda mi było każdej chwili, której nie poświęcałem na pomoc żonie.

Choć wtedy jeszcze łudziłem się, że chodzi o pomoc symboliczną, a nie prawdziwe ratowanie życia, wydzieranie jej ze sponów śmierci.

7. JULIA

– Myślę, że jeszcze dziś będziemy w domu. To znaczy oni będą w base campie. Damian ich sprowadzi – mówił Kris, wsiadając do auta, które stało na parkingu na tyłach hotelu. – To realne. Może już jutro zbiorą wszystkie graty i ruszą do Lukli?

Pokiwałam głową, zapinając pas bezpieczeństwa. Lukla była ostatnim przyczółkiem cywilizacji dla wspinaczy udających się z Katmandu w Himalaje. Lotnisko, położone na wysokości dwóch tysięcy ośmiuset sześćdziesięciu metrów nad poziomem morza, uchodzi za najniebezpieczniejsze na świecie. Jego krótki, ledwie półkilometrowy pas kończy się przepaścią.

Po wylądowaniu w Lukli trzeba jeszcze przez tydzień wędrować do bazy pod Everestem. My, żyjący na nizinach, którzy znamy Himalaje jedynie ze zdjęć i filmów, nie zdajemy sobie sprawy, jak niedostępne są najwyższe góry świata. Robią wszystko, żeby odstraszyć nieproszonych gości. Bo przecież komu normalnemu chciałoby się tułać przez tydzień po odludziu, żeby dopiero zacząć prawdziwą przygodę.

– Pytanie tylko, co z Bartem. Na ile będzie w stanie iść – powiedziałam, studząc entuzjazm Krisa.

– Jezu, jak ty zawsze musisz krakać. Nogi przecież ma w porządku. Nic nie mówili, żeby se uszkodził.

Pokręcił głową i głośno wypuścił powietrze. Zrobiło mi się głupio, że się defetyzm, ale taką już mam naturę. W trudnych chwilach nie histeryzuję, ale wolę nastawić się na najgorsze. Lepiej przeżyć miłe zaskoczenie, niż zmagać się z zawiedzioną nadzieją.

– Ale mam kaca... – jęknął Kris. – Luknij w schowku, czy są okulary.

Spełniłam jego prośbę. Byłam pewna, że coś znajdę, bo mój towarzysz podróży zabrał ze sobą tyle par okularów przeciwsłonecznych, że spokojnie mógłby otworzyć w Katmandu salon optyczny. Uchyliłam klapkę schowka i zobaczyłam aż dwie. Klasyczne, jak z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, w oprawkach imitujących szylkret, i futurystyczne. Pokazałam mu obie.

– Nie jestem dziś w nastroju na Jackie Kennedy – zażartował i wybrał futurystyczne. – Może ty chcesz?

Pokręciłam głową. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Nie widziałam sensu w noszeniu w taką pogodę okularów przeciwsłonecznych. Monsun naciągnął na Katmandu grubą pelerynę chmur.

– No co mu może być? Pewnie ma połamane żebra i powybijane zęby. – Kris wrócił do tematu Barta, zręcznie wciskając się w lukę między dwoma samochodami na sąsiednim pasie. – Ważne, żeby ręce i nogi były całe. A jak nie, to go będą znosić. W jakimś, nie wiem, toboganie?

Przez agencję turystyczną wypożyczyliśmy samochód – stare, granatowe subaru. Też mam prawo jazdy, ale ponieważ w Nepalu jest ruch lewostronny, nawet nie proponowałam, że usiądę za kierownicą.

– Jak dostanie mocne przeciwbóle, da radę – kontynuował Kris. Byłam mu wdzięczna. Próbował zarażać mnie optymizmem. Może w naszej sytuacji była to najlepsza strategia przetrwania?

Mieliśmy w nawigacji przypiętą lokalizację Ultra Height Kathmandu. Kris skupiał się na prowadzeniu samochodu, co wcale nie było łatwe. Musiał uważać zwłaszcza na skutery, co rusz wyskakujące z nienacka i wyprzedzające nas po obu stronach drogi.

Po chwili zaczęła dzwonić jego komórka, umieszczona w uchwycie na przedniej szybie. Nieznany numer, czterdzieści osiem na początku, a więc Polska.

– Pewnie znowu jakaś hiena – mruknął. – Odebrać?

Zawahałam się. Też podejrzewałam, że to dziennikarz. Wcześniej do mnie i do Krisa dzwoniło już trzech. Nie wiem, skąd mieli nasze numery. Nie chcieliśmy z nimi rozmawiać. Ja odmawiałam grzecznie, Kris ich zbluzgał. Oboje byliśmy wstrząśnięci wiadomością o śmierci Arka i sponiewierani przez nieprawdziwą informację, która nocą ukazała się na portalu. Poza tym szkoda nam było czasu. Ciągłe odzywali się bliżsi

i dalsi znajomi i bombardowali nas pytaniami. W większości powodowała nimi ciekawość, jedynie dla niepoznaki przykryta wyrazami troski i współczucia.

– Nie odbieram. A gnoja, co zmajstrował ten artykuł... – powiedział Kris. – Po powrocie do Polski znajdę i uduszę własnymi rękami. Nogi z dupy powyrywam!

– Może jednak odbierz – odpowiedziałam.

Za późno, dzwonek zamilkł. Chwilę później zaczęła wibrować moja komórka. Ten sam numer. Nacisnęłam zieloną słuchawkę.

– Halo? – spytałam.

– Halo, czy to Julia? – usłyszałam kobiecy głos.

– Tak... A o co chodzi?

– Z tej strony Karolina. Sowińska. Dzwoniłam do Damiana, ale on cały czas ma zajęte. – W głosie mojej rozmówczyni słychać było desperację i silne emocje. Mówiła szybko, to nie była dziennikarka. – I do Krisa, ale nie odebrał. A twój numer mam od mamy Kaśki, pani Zuzanny...

Zmroziło mnie. Dzwoniła żona Arka. Poznałam ją w zeszłym roku na urodzinach Damiana, na dużej imprezie na barce na Wiśle. A dwa miesiące temu widziałam ją na ślubie Kaśki i Krisa. Włączyłam tryb głośnomówiący.

– Cześć, Karolina – powiedziałam. – Kris nie odebrał, bo prowadzi.

– Podobno rozmawialiście dzisiaj z nimi? – mówiła przejętym głosem, ale zdumiało mnie, że nie pobrzmiewa w nim rozpacz. – Jak sytuacja? Błagam, powiedz mi coś, żebyś była spokojniejsza. Na szczęście wiem już, że ten artykuł w necie to jakaś idiotyczna pomyłka...

Kris odruchowo nacisnął pedał hamulca, autem szarpnęło. Obronnym gestem zaparłam się dłonią o deskę rozdzielczą. Popatrzyłam na niego z przestraszeniem.

– Halo, słyszysz mnie? – dopytywała Karolina.

– Tttak...

Już sobie ją przypomniałam. Lekko przysadzista brunetka, niewysoka, ciepła. W trakcie wesela Kaśki i Krisa nie piła alkoholu, bo była w ciąży. I teraz na mnie spadł ten straszny obowiązek poinformowania jej o śmierci męża.

Kierowca w aucie za nami zaczął trąbić.

– Tak, jakąś godzinę temu połączyliśmy się na chwilę z nimi... – Do rozmowy włączył się Kris.

Popatrzyłam na niego z ulgą. Mnie słowa uwięzły w gardle. Nie byłam w stanie przekazać żonie Arka tragicznych wieści. Ta biedna kobieta była w przedsionku piekła. Otchłani, do której ja zmuszona byłam zajrzeć kilkadziesiąt minut temu, a z której jakimś cudem udało mi się uciec.

– To co u nich? – zawołała Karolina, może nie z radością, ale z ulgą w głosie. – Opowiadajcie!

8. KRIS

Coś mi się stało. Tak mnie siekło, że nie byłem w stanie jednocześnie kierować autem i rozmawiać z Karoliną. Skręciłem, ile się dało, w stronę krawężnika, zatrzymałem samochód i pstryknąłem awaryjne.

– Co u nich? – pytała żona Arka. – Opowiadajcie.

Oboje z Julką milczeliśmy, patrząc na siebie przerażonym wzrokiem.

– Słyszycie mnie? – dopytywała Karolina. – Halo?

– Słyszemy... Posłuchaj... Tak mi przykro... – zacząłem, ale zaraz urwałem, bo podobnie jak Julce zabrakło mi odwagi, żeby poinformować ciężarną kobietę o śmierci jej męża.

– Nie, nic nie szkodzi. Ja rozumiem, że zadzwonili do was, bo jesteście we dwoje i tam na miejscu. I w ogóle w takiej nerwowej sytuacji nie da się przecież obdzwonić wszystkich od razu, bo szkoda czasu, tyle jest spraw do załatwienia...

Zatkało mnie. Karolina źle zrozumiała moje słowa. Myślała, że przykro mi, że jej mąż nie dorwał się do radiotelefonu i nie porozmawiał z nią.

Milczałem, klnąc w myślach. Kierowca z tyłu wściekle trąbił, mimo że podnosiłem rękę w przeproszającym geście. W końcu dał za wygraną i wyminął nas. Julka patrzyła na mnie z przerażeniem w oczach.

– Karolina... – W końcu wziąłem się w garść. Ktoś musiał. – Bardzo mi przykro. Strasznie... Nam obojgu... Posłuchaj... Kaśka powiedziała mi rano, że Arek... Niestety nie przeżył. Reanimowali go, ale...

Urwałem i zacząłem wsłuchiwać się w ciszę po drugiej stronie. Byłem przekonany, że Karolina wybuchnie płaczem, zacznie krzyżeć i szlochać. Rozpaczliwie próbowałem wymyślić, co jej mogę powiedzieć, jak ją pocieszyć. Nic mądrego nie przyszło mi do głowy.

W ogóle nic nie przyszło mi do głowy. Byłem bezradny jak nowo narodzone dziecko.

– Nie, to niemożliwe – powiedziała w końcu Karolina.

Zdumiało mnie, bo jej głos brzmiał spokojnie, zupełnie bez emocji.

– Przykro mi. Ale niestety to prawda. Tak nam powiedziała Kaśka. Nic więcej nie wiem.

– Jak to nie przeżył? To... To niemożliwe.

– Nie wiem, naprawdę nic więcej nie wiem. Nie mamy żadnych szczegółów. Tak mi przykro. Spróbuj zadzwonić do Damiana.

– Karolina, czy jest tam ktoś z tobą? – przytomnie wtrąciła się do rozmowy Julka.

– Tak. Moi rodzice. Tak... Tak zrobię. Zadzwonię do Damiana.

Rozłączyła się. Miałem ochotę odpiąć pas i wyjść z samochodu, żeby się uspokoić, iść przed siebie, uciec stąd.

Ale zostałem. Tyle tylko, że zawładnęły mną upiorne myśli. Sparaliżowały mnie, zacisnęły ciasną obręcz na gardle. Przecież równie dobrze to ja mogłem być teraz na miejscu Karoliny. Co zadecydowało o tym, że moja żona przeżyła lawinę, a jej mąż nie? Przypadek. Konkretne miejsce na grani, w którym akurat się znajdowali, kiedy ruszyło śnieżne tsunami.

Kaśka opowiadała mi kiedyś, co czuje człowiek porwany i przysypany przez lawinę. Zdarzyło jej się to dwukrotnie – w Alpach i na Kaukazie – i za każdym razem wyszła bez szwanku. To są sekundy. Nie ma się na nic wpływu, całkowitą władzę przejmuje żywioł. Nagle usuwa ci się grunt spod nóg i budzisz się kilkadziesiąt albo kilkaset metrów niżej. Albo już się nie budzisz. Bo lawina bywa też jak zderzenie z ciężarówką. Rozpędzone tony śniegu, żaden tam puch.

W Alpach Kaśka miała ogromne szczęście i wygrzebała się sama, praktycznie od razu. W drugim przypadku, na zboczach Elbrusa, minęło kilka obezwładniających minut, podczas których myśli się o tym, czy koledzy zdążą mnie odkopać, czy wystarczy tlenu.

Zdążyli, choć wybity bark przekreślił wtedy plany dalszej wspinaczki.

Pamiętam, że słuchałem jej wspomnień z zainteresowaniem. To były nasze pierwsze randki, na których piliśmy chardonnay i zaliczaliśmy kolejne knajpy w centrum. Większość z nas stara się na początku wypaść jak najbardziej atrakcyjnie dla drugiej strony. Otwieramy kramiki z towarami w krzykliwych opakowaniach i pewnie wielu wspinaczy przechwała się wówczas swoimi wyczynami. Jednak Kaśka była inna. Pytałem, więc odpowiadała, ale nigdy nie szpanowała swoimi przeżyciami, mimo że o śmierć otarła się nieraz, a jedna z jej bliskich przyjaciółek zaledwie rok wcześniej zginęła podczas wspinaczki.

– Może powinniśmy do niej zadzwonić – powiedziała głucho Julka. – Upewnić się...

Urwała i spuściła głowę.

– Upewnić się, że co?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami.

Włączyłem się do ruchu. Jechaliśmy w milczeniu. Po chwili znów zaczęła dzwonić moja komórka. Ten sam nieznany numer z Polski. Zakląłem, ale odebrałem.

– To jeszcze raz ja. Nie mogę się dodzwonić do Damiana – powiedziała Karolina.

– Bo on i Szerpowie ruszyli... Do nich, w górę...

– Rozumiem. – Głos Karoliny nadal był dziwnie spokojny. – Dobrze. Będę dalej próbować. Ale chcę wam tylko powiedzieć, że... Ja już wiem, co się stało. Źle usłyszeliście. Julia... Kaśka ci powiedziała, że Marek nie żyje. Nie Arek. Przykro mi, ale imię jest takie podobne. Na pewno chodziło o Marka. Źle usłyszałaś. Arek żyje. Ja to wiem...

Urwała, a mi zrobiło się gorąco. Popatrzyłem na Julkę. Zasłoniła sobie ręką usta, zrobiła się czerwona na twarzy, a oczy się jej zaszkliły. Sama niedawno przeżyła tę upiorną pomyłkę z dwoma podobnie brzmiącymi imionami, musiała czuć jeszcze mocniej niż ja, jak bardzo jest to groteskowe, absurdalne, a jednocześnie okrutne.

Było mi żal Karoliny. Biedna dziewczyna. Jezu, w dodatku w ciąży. Zaklina rzeczywistość. Całe jej życie zawisło na jednej literce. Nic dziwnego, że trzyma się jej kurczowo. Za wszelką cenę nie chce dopuścić do siebie tragicznej prawdy.

A co, jeśli my też się łudzimy? Że już, że zaraz, że bezpiecznie zejdą? Przecież oni tam tkwią w strefie śmierci.

Z każdą minutą umierają.

9. JULIA

Siedziba agencji trekkingowej wyglądała niepozornie. Wcześniej nie zwróciłam na to uwagi, teraz poczułam obawę, która roznieciła mój strach niczym benzyna dolana do ognia. Czy będą w stanie pomóc? Gdyby zaszła taka potrzeba, czy dadzą radę przeprowadzić akcję ratunkową na większą skalę?

UHK – agencja, która posłała mojego chłopaka na najwyższą górę świata – mieściła się w turystycznej dzielnicy Thamel, w lokalu usługowym na parterze dwupiętrowego budynku z bladoczerwonej cegły, połączonym z sąsiednimi istną płataniną kabli. Przebiegały na wysokości pierwszego piętra i sprawiały wrażenie prowizorycznej instalacji, co również nie napawało optymizmem. Biały, przybrudzony szyld przed wejściem był jednocześnie ogłoszeniem. Pod wielkim napisem „Ultra Height Kathmandu” mniejszą czcionką umieszczono numer telefonu, adres mailowy oraz ofertę: trekking, mountaineering, jungle safari, bungee jumping, Tibet, Bhutan tour... Mydło i powidło. A w wersji mniej literackiej, a bardziej pragmatycznej: jak coś jest do wszystkiego, to jest do niczego.

*

– Robimy, co w naszej mocy, nawet więcej – powtarzał po angielsku pracownik agencji, ubrany w białą koszulę i czarne spodnie wyprasowane w kant.

Miał na imię Madhav. Znaliśmy go, bo odbierał nas z lotniska, z nim też załatwiliśmy wypożyczenie samochodu. UHK obsługiwała i wspinaczkę na Everest, i zaplanowany na później trekking. Madhav na oko miał dwadzieścia parę lat, ale mógł mieć nawet trzydzieści. Dla mnie większość Nepalczyków wygląda młodziej niż w rzeczywistości, bo są szczupli i drobni. Miał grzywkę maźniętą jasnym odcieniem blond, który na jego gęstych czarnych włosach wyszedł bardziej w kolorze rudym. Fryzura ta była ostatnim krzykiem mody w Katmandu, podobne widziałam u młodych mężczyzn na każdym kroku.

Madhav zaprowadził nas do pokoiku na tyłach agencji. Pewnie szefowie przykazali mu, żeby nie prowadził trudnych rozmów w obecności innych klientów, żeby ich nie odstraszać. Pośród wiszących na ścianach zdjęć roześmianych, beztroskich turystów na tle himalajskich szczytów sprzedawało się marzenia oraz sukcesy. Nie było tu miejsca na śmierć i porażkę.

W pomieszczeniu na tyłach unosił się przyjemny zapach przypraw. Okna, w które bębnił deszcz, wychodziły na ciasną uliczkę. W oficynie naprzeciwko mieścił się sklepik z artykułami spożywczymi. Stragany z kopczykami towarów i wypełnione nimi jutowe worki piętrzyły się po obu stronach drzwi wejściowych, schowane pod rachitycznym zadaszaniem. Ściany pokoiku, w którym się znaleźliśmy, były pomalowane farbą w musztardowym kolorze, pod sufitem biegły złoczone wzorki. Madhav usiadł za biurkiem zawalonym segregatorami i folderami, a nam wskazał podniszczoną sofkę obitą tabakowym welurem.

– Ja postoję – mruknął Kris.

– Na początku chcę powiedzieć, że wszystkim nam w UHK jest ogromnie przykro z powodu tego, co spotkało mister Arka – powiedział Madhav, składając ręce jak do modlitwy. – Straszna tragedia.

Pokiwałam głową. Kątem oka zobaczyłam, że Kris wykonał podobny gest. Nie przestawałam myśleć o ciężarnej żonie Arka Sowińskiego i obiecałam sobie, że jak tylko stąd wyjdziemy, zadzwonię do Karoliny. I będę z nią rozmawiała tak długo, aż powie mi, że ma dość i chce pobyc sama. Będę ją wspierać. Tylko słowem, ale nic innego nie mogłam już ani dla niej, ani dla Arka zrobić.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – kontynuował Madhav. – Ale ostrzegaliśmy mister Damiana... Mówiliśmy. Trzeba wracać. Monsun... – Mężczyzna kręcił głową. Nie wiem, czy z dezaprobatą, czy z niedowierzaniem. – On wiedział. Wszyscy wiedzieli. Prawda?

– Już mniejsza z tym – wtrącił zirytowany Kris. – Teraz co innego jest najważniejsze.

Rozległ się głośny dźwięk jakiegoś popowego utworu. Madhav zerknął na komórkę i odrzucił połączenie.

– Były prognozy. Monsun. Mówiliśmy... – kontynuował, patrząc na nas z powagą. – Wszystkie ekipy opuściły base camp. Prawda? Dwa

dni temu, trzy dni temu. W dół, w dół. Wszyscy szli w dół...

Mężczyzna westchnął głęboko i bezradnie rozłożył ręce. Widać było, że priorytetem jest dla niego oddalić od firmy wszelkie pretensje i ewentualne roszczenia. Zapewne nie pierwszy raz musieli stawić czoło kryzysowej sytuacji i śmierci klienta. Mieli to przećwiczone. Ale ani Kris, ani ja nie mieliśmy zamiaru szukać teraz winnych ani pomstować. Zależało nam na tym, żeby nasi bliscy zostali jak najszybciej sprowadzeni z góry.

Żeby byli już bezpieczni.

– My też jesteśmy załamani śmiercią Arka – powiedziałam. – Ale tak jak powiedział Kris, skupmy się na pomocy naszym bliskim. Trzeba działać, szybko...

– Oczywiście... – Madhav wszedł mi w słowo. – Chcemy was też zapewnić, że UHK dołoży wszelkich starań, żeby asystować naszym klientom w bezpiecznym powrocie. – Znowu mówił, jakby recytował wyuczoną formułkę. – Jak tylko pogoda się poprawi.

Jak na komendę wymieniliśmy z Krisem spojrzenia.

– Jak to: jak pogoda się poprawi? – spytałam. – Nie będziemy przecież czekać!

Mężczyzna odstąpił w uśmiechu śnieżnobiałe zęby. Czuło się, że to wyuczony grymas, bo jego ciemne oczy patrzyły na nas z nerwową uwagą. Pewnie oceniał, jak bardzo będziemy się awanturować i czy będzie musiał prosić o interwencję przełożonych.

– Złe warunki. Na Evereście bardzo złe warunki. Musimy czekać. Taka jest kolej rzeczy.

– Koleś, co ty gadasz? – wypalił Kris. – Jak to czekać?

– Nie możemy narażać życia naszych pracowników. Sytuacja... Za bardzo niebezpieczna.

Zmroziło mnie.

– To znaczy, że wasi Szerpowie... – wychrypiałam. – Zatrudnieni przez was – poprawiłam się pospiesznie. – Nie poszli w górę razem z Damianem? Zostawili go samego?

Madhav przygryzł dolną wargę, po czym odchrząknął, jakby grał na czas.

– Nikt nie poszedł w górę – powiedział w końcu. – Mister Damian też nie poszedł. Nigdzie nie poszedł. Zła pogoda, bardzo zła pogoda...

– Co ty gadasz?! – huknął Kris.

– Nie da się. Na razie się nie da. To niemożliwe. Pogoda fatalna. Mister Damian też to wie. Śnieg, wiatr. Huragan. Straszny! Za dużo śniegu, za dużo wiatru. Za dużo ryzyka...

10. KRIS

Skoczyło mi ciśnienie. Prawie słyszałem, jak w uszach huczy mi krew.

Miałem ochotę udusić gnoja z blond grzywką, który powtarzał złą mantrę.

– Za dużo śniegu, za dużo wiatru. Za dużo ryzyka...

Próbowaliśmy połączyć się z Damianem od razu, jeszcze w siedzibie UHK. Nie odebrał.

Dalsza rozmowa z irytującym botem z agencji turystycznej nie miała sensu. Julka słuchała go z uwagą, naiwna, ale ja wiedziałem, że to strata czasu. Kiedy go przycisnąłem i zażądałem, żeby sprowadził przełożonego, wybrał numer i wcisnął mi do ręki swoją komórkę. Ale rozmowa z szefem też nie wniosła nic nowego – oprócz pustych zapewnień, że starają się, że robią, co mogą, że jak tylko pogoda umożliwi...

Kiedy z Julką wyszliśmy z budynku, lało już jak z cebra, a moment później zaczęło się regularne oberwanie chmury. Ten monsun to naprawdę irytujący gość. Nim dotarliśmy do samochodu, który stał zaparkowany ledwie kilkanaście metrów dalej, oboje byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Ulicą płynął już rwący potok, a intensywność deszczu nadal rosła. Miałem wrażenie, że wali na nas Niagara.

Od wczorajszego wieczoru pogoda w Katmandu zmieniła się diametralnie. Nad miastem przetaczały się gęste chmury, przynosząc jedną ulewę za drugą, a w przerwach coś siąpiło. Ten sam monsun na Evereście, przy dużo niższej temperaturze i huraganowym wietrze, przeradzał się w śmiertelnie niebezpiecznego demona.

Julka walczyła, by się nie rozpłakać. Ja kłąłem na całego. Zaczynał się realizować najczarniejszy scenariusz. Jak w jakimś koszmarnym śnie,

kiedy wiesz, że trzeba wiać przed niebezpieczeństwem, ale nie możesz ruszyć ręką ani nogą.

Bezsilność – wredna siostra oczekiwania.

Schowaliśmy się w aucie i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Strugi deszczu spływały po przedniej szybie, rozmywając widok na pieprzoną UHK.

Kiedy już miałem przekręcić kluczyk w stacyjce, oddzwonił Damian. Od razu dałem go na głośnomówiący.

– Spokojnie. Jestem w kontakcie z chłopakami. I z Kaśką. Nie denerwujcie się – powiedział, kiedy streściliśmy mu wizytę w agencji.

– Chuja jesteś w kontakcie! – wypaliłem. – Miałeś po nich iść! Zanieść im sprzęt. Gdzie ty jesteś?!

– Na pierdolonym Evereście, w samym środku mgły i śnieżycy! – Damianowi udzieliła się moja nerwowość. – Co ty, kurwa, myślisz, że tu mamy piknik, śniadanie, kurwa, na trawie?! Od wczoraj napierdała tu burza śnieżna i huragan.

– Masz... po nich... iść! – wycedziłem, powstrzymując dalsze przekleństwa, które cisnęły mi się na usta. – Obiecałeś! Ty ich w to wpierdoliłeś, idioto!

– Nie ma jak, nie ma z kim! Szerpowie nie chcą. Z kim mam iść? Nie ma opcji!

– Przestańcie się kłócić – wtrąciła Julka. – To nic nie da.

Miała rację, ale warczeliśmy na siebie z Damianem jeszcze dłuższą chwilę, nim pozwoliłem, żeby już na spokojnie opisał sytuację.

W ciągu ostatniej doby na Evereście spadło tyle śniegu, że co rusz schodziły lawiny. Zdaniem Damiana ryzyko było zbyt duże. Twierdził, że z jednym z Szerpów ruszył w kierunku Khumbutse, ale o mało nie zabił ich zsuwający się serak, który oderwał się od lodowca pod ciężarem świeżego opadu. Zawrócili do base campu i czekają, żeby chociaż przestało padać.

Chłonałem każde słowo wypowiedane przez Damiana. Wiedziałem, że serak to krucha, wielotonowa bryła lodu, która potrafi być śmiertelnym zagrożeniem dla wspinaczy. Zdawałem sobie sprawę, że grań szczytu Khumbutse trzeba pokonać w drodze powrotnej z wierzchołka Everestu i że jest ona niebezpieczna nawet przy sprzyjającej pogodzie. Ale mimo że dodałem dwa do dwóch, nie było

we mnie zgody na brak natychmiastowych kroków, które uratowałyby moją żonę.

– Musimy czekać. Nie ma innej drogi – mówił Damian. – A śnieg wali teraz tak, że nawet na metr nie widać! Musimy trzymać namiot, żeby nam go nie porwało.

– Nie możemy czekać! – ryknąłem. – Czy ty rozumiesz? Oni są w strefie śmierci. Bez niczego! Kaśka powiedziała, że z Bartem jest źle, coraz gorzej. Trzeba go jak najszybciej sprowadzić. Chcesz mieć na sumieniu obu braci? Wiesz, co teraz czuje ich matka?

– Próbują zejść niżej, rozmawiałem z Kaśką. Jak dojdą do dwójki, będą mieli wszystko. Apteczkę. I tam mogą siedzieć, aż przestanie padać. I wtedy im pomożemy.

– Czy ty słyszysz, co ja do ciebie mówię? Są na ośmiu tysiącach!

– Już nie są. Chyba.

– Oni tam umierają. Damian, proszę cię... – Zniżyłem się do błagania, choć szczerze kolesia nie znoszę.

– Twoje proszenie nie ma nic do rzeczy. Nie idę teraz. Kropka.

Emocje znów mi się rozhuśtały. Ciśnienie skoczyło, aż słyszałem łupanie krwi w skroniach. Napędzany adrenaliną umysł pracował na najwyższych obrotach. Wznowiłem pyskówkę z Damianem, ale równolegle na zimno analizowałem sytuację.

Wnioski były przechujowe.

Dzień przed lawiną, jeszcze w innym świecie, Julka opowiadała mi o buddyzmie. Zrobiła mi miniwykład, kiedy zwiedzaliśmy klasztor Thragu Tashi Yangtse, jakieś czterdzieści kilometrów na południe od Katmandu. Podstawą buddyzmu są Cztery Szlachetne Prawdy. Julka akurat tłumaczy o tym książkę jakiegoś znanego na Zachodzie pisarza, bestseller i podobno otwierający oczy gejmczendźer⁴.

Pierwsza Prawda jest o tym, że cierpienie w naszym świecie to powszechność, a nie coś wyjątkowego. Druga – ludzie w większości sami je powodują, ulegając swoim pragnieniom i oczekiwaniom. Chcę być bogaty, wiecznie młody, popularny, chcę zdobyć czyjąś miłość, a także – a jakże – chcę zdobyć ośmiotysięcznik. Trzecia Prawda mówi o tym, że owo cierpienie da się zatrzymać, a ostatnia opisuje, jak to zrobić.

Teraz wywiódłem moje własne Cztery Prawdy o sytuacji na Evereście. Po pierwsze: było dla mnie jasne, że nie mogę beczynnie siedzieć

i czekać – na poprawę pogody, na decyzje Damiana, agencji turystycznej... Zwariuję, jeśli będę biernie tkwić w hotelu, odliczając upiorne minuty. Po drugie: muszę działać, mając za sojuszniczkę jedynie Julkę. Nikomu innemu nie mogę zaufać. Trzecia prawda była taka, że czas ucieka. Kaśka i jej towarzysze nie mogą zbyt długo przebywać na zboczach Everestu, w strefie śmierci, powyżej ośmiu tysięcy metrów, w której po prostu się umiera, nawet jeśli cały czas oddycha się tlenem z butli. Czwarta – i ostatnia – Prawda uderzyła mnie tak mocno, że zakręciło mi się w głowie. Zrozumiałem, że jeśli sam czegoś nie zrobię, jeżeli ja, Krzysztof „Kris” Mierkowski, nie ściągnę ich z tej góry, moja żona, Marek i Bart zginą. Będą współtworzyć Dolinę Tęczy, jak na Evereście nazywa się teren, na którym leżą niepochowane ciała zamarniętych wspinaczy w kolorowych kombinezonach.

11. JULIA

– Musimy coś zrobić – powiedział Kris, kiedy wracaliśmy do hotelu. Akurat chwilowo przestało padać, więc wyłączył wycieraczki. Nie patrzył na mnie, skupiał się na ruchliwej drodze.

– Ale co? – spytałam drżącym głosem.

Wydawało mi się, że brakuje mi powietrza. Rozglądałam się, zdezorientowana, próbując zebrać myśli. Strach znów mnie zaatakował, chwycił za kark i przydusił.

Patrzyłam na kolorowe fasady budynków, na ruch uliczny, stragany. Samochody, skutery i riksze przemierzały ulice Katmandu w tym samym niespokojnym, chaotycznym rytmie co zawsze, ale wydawało mi się, że nie jestem już częścią tego świata. Strach zepchnął mnie na dno studni, patrzyłam na wszystko wokół jak na film.

– Oni muszą po nich iść, nie ma innej opcji – powiedział Kris. Jego głos brzmiał inaczej niż zazwyczaj, był stłumiony, jakby wydobywał się z głębokości. – Muszą iść, sprowadzić ich w dół. Pomóc im! Kurwa, przecież tam jest cały czas minus dwadzieścia, minus czterdzieści!

Kris uderzył ze złością w kierownicę i niechcący uruchomił klakson. Na żadnym uczestniku ruchu ulicznego nie zrobiło to wrażenia. Tu

co chwila ktoś trąbił, bez specjalnego sensu ani powodu.

– Wiem, że muszą. Ale słyszałeś...

– Damian to debil – przerwał mi zniecierpliwionym tonem. – Egoistyczny gnojek. I dlatego musimy coś zrobić. Sami.

Nie chciałam powtarzać jak echo: „ale co”, choć nic innego nie przyszło mi do głowy. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Nagle Kris zaczął zerkać przez przednią szybę, ale w górę, nie na drogę.

– Dobra... – powiedział w końcu. – Zanim znów zaczniesz padać.

Spojrzałam na niego z nadzieją. Coś wymyślił, bo wyczułam w jego głosie nową energię.

– Zmiana planów – rzucił sucho. – Nie wracamy do hotelu.

– A powiesz mi? Co wymyśliłeś?

– Nagram filmik. Pomożesz mi. Tylko musimy znaleźć lepsze tło.

– Filmik?

– Relację. Na żywo, tak będzie jeszcze lepiej.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– W takiej chwili myślisz o fejmie? – spytałam.

Oderwał wzrok od przedniej szyby i popatrzył na mnie z irytacją – jak nauczyciel na ucznia, który niczego nie jest w stanie zrozumieć.

– O czym? – prychnął. – Zwariowałaś? Za kogo mnie masz?

– To nie wiem, co ci da filmik? Chcesz się na chwilę od tego wszystkiego odciąć? O to chodzi? Żeby zabić czas w oczekiwaniu na polepszenie pogody?

– Nie! Dżizas... Chcę wyrzucić presję na Damiana. Żeby jednak ruszył dupę i po nich poszedł!

Byłam tak zaskoczona, że zamilkłam na dłuższą chwilę.

To dobrze, że Kris nie zwariował do reszty i w tej dramatycznej sytuacji nie myśli o karierze influencera. Ale pomysł wywarcia presji na kierownika wyprawy przy użyciu mediów społecznościowych wydał mi się mało przekonujący.

– Tylko gdzie się ustawić? – myślał na głos Kris, bębniąc palcami w kierownicę. – Masz jakiś pomysł? Przez ten pieprzony monsun w ogóle nie widać gór. Najlepiej byłoby w tym ogrodzie na dachu, ale nie będzie nic widać.

Zatrzymał się na pozbawionym krawężnika chodniku, ułożonym z niewielkich płytek, które wyglądały jak gres. Przechodnie obojętnie

mijali auto, przywykli do tego, że kierowcy nie przestrzegają przepisów. Wyjął komórkę z uchwytu na przedniej szybie.

– Gdzie było to miejsce przy rzece, gdzie kremują zmarłych? – spytał jak gdyby nigdy nic.

– Nie – odpowiedziałam krótko.

– Przecież nie chodzi mi o to, żeby wbić na czyjś pogrzeb i kręcić z płonąącym stosem za plecami. Dżizas! Chodzi mi tylko o miejsce. To będzie dobre. Jak to się nazywało?

– Nie – powtórzyłam.

Kris cmoknął z dezaprobatą, ale nie wrócił już do tematu. W końcu podjechaliśmy w okolice Swayambhunath, która znana jest jako „świątynia małp”. Wybiłam mu z głowy pomysł, żeby nagrywać ze stupa w tle. Nie wolno robić sobie takich zdjęć i filmów, bo odwracanie się plecami do świątyni jest traktowane jako obraza. Ostatecznie Kris wybrał kadr z widokiem na ścianę młynków modlitewnych. Stały w rzędzie, odlane z brązu czy też z mosiądzu, a każdy z nich mniej więcej do połowy wysokości był wypolerowany od niekończących się dotknięć rąk, które wprawiały je w ruch, zanosząc modlitwy do bóstw. Zaś górne ich części – szerniały, zaśniedziały – świadczyły o długiej historii świątyni.

Kris uparł się, żebym stanęła obok niego, że to ważne, by wzmocnić przekaz. Co dwie zatroskane głowy, to nie jedna.

Po stokroć wolałabym robić za stojak do komórki, ale niestety Kris wozi w bagażniku profesjonalny trójnóg. Wprawdzie nie można mu wydawać poleceń, żeby kręcił korzystniejszy profil albo zrobił zbliżenie, ale czasami się przydaje.

– Witajcie, kochani, mały apejnt tego, co u nas. Sytuacja jest trudna, ale nie tracimy wiary, nadziei ani oczywiście miłości – mówił do kamery.

– Kaśka i pozostali nadal są wysoko, bardzo wysoko, za wysoko. Ale rozmawiałem z nią. Prosiła mnie, żebym was pozdrowił. K2_lifestyles always z wami.

Starałam się zachować kamienną twarz. Czy on naprawdę myślał, że ktokolwiek w to uwierzy? Że ktoś walczący o życie przesyła buziaczki obcym ludziom?

– Jesteśmy przekonani, że ta historia będzie miała szczęśliwe zakończenie. Wierzymy, że kierownik wyprawy Damian Nawrocki –

mówił Kris, mocno akcentując imię i nazwisko – jest już w drodze razem z sirdarem wspinaczkowym, by pomóc Kasi, Markowi i Bartowi w bezpiecznym zejściu do base campu. Wszystko w jego rękach.

Stałam jak lampa, patrząc, jak mi Kris przykazał, w martwe oko kamery. Kilkanaście metrów dalej jedna z małych zamieszkujących świątynię ukradła tęgiej turystce siateczkę z mandarynkami. Wskoczyła na murek i zaczęła rozpracowywać zawartość, beczelnie patrząc na swoją ofiarę, która przez chwilę była zdumiona, po czym wybuchnęła śmiechem. Na ekranie komórki widziałam siebie i Krisa, a także informację o liczbie osób oglądających relację na żywo. Trzy tysiące dwieście... trzy tysiące dwieście piętnaście... Trzy tysiące dwieście czterdzieści siedem. Zaczęłam wątpić we własne zwątpienie. Może jednak Kris miał rację? Nawet jeśli Damian nie zobaczy naszego lajwa, to relację obejrzą jego bliscy, jego rodzina, znajomi z Polski, z którymi przecież się kontaktuje. Może w pośredni sposób, poprzez nich, uda się wyrzucić na niego presję.

Po wystąpieniu Krisa przyszedł czas na odpowiedzi na pytania od oglądających, które wyświetlały się na ekranie.

– Tak, Arek nie żyje, niestety – mówił Kris, marszcząc czoło. – To okropne i łączymy się w bólu z jego bliskimi. Cudowny chłopak, bardzo nam go brakuje. Zginął jeszcze wczoraj, od razu... To znaczy na miejscu. W lawinie.

Zmrużył oczy, odczytując z ekranu komórki kolejne pytanie.

– Jaki jest nasz stosunek do ostatnich wydarzeń w Tybecie, ogólnie do chińskiej okupacji Tybetu? Pytanie od Lamy De... Sory, brachu, albo siostru, bo lama to chyba ona... Nie wiem, jaki to ma związek z naszą sytuacją, nie wchodzę w tematy polityczne, to nie jest K2_lifestyles. – Kris posłał w stronę obiektywu kwaśny uśmiech i znów skupił wzrok na ekranie. – Kolejne pytanie. Od Joanny. Dlaczego nie wchodzili i nie schodzili przez przełęcz południową, byłoby bezpieczniej? Cóż, odpowiadając Joannie: byłoby pewnie bezpieczniej, ale chyba nie o to chodzi, żeby robić w życiu same bezpieczne rzeczy. Nie taka jest idea K2_lifestyles.

Byłam zła na Krisa, bo jednak pod płaszczykiem działań na rzecz naszych bliskich prowadził działalność celebryty internetowego

zabiegającego o zasięgi i beczelnie się promującego. Jakby nie mógł się oprzeć, jakby to była jego natura.

Był w swoim żywiole, zatracił się w odpowiadaniu na pytania internautów, wchodził w polemiki. Jak paprotka stałam w milczeniu aż do końca lajwa. Uśmiechałam się jedynie przeprasząc do przechodzących turystów i tubylców, ale nikt tak naprawdę nie zwracał na nas uwagi. Gołębie jak gdyby nigdy nic wydziobywały ryż przyniesiony w ofierze przez wiernych. Zmęczone upałem, chude psy wylegiwały się na kamiennych płytach. Tylko dwie mały, które wspięły się na dach jednego ze świątynnych budynków nieopodal, z ciekawością zerkały na nas z góry, być może miały nadzieję na mandarynki.

Kiedy Kris w końcu zdjął komórkę ze stojaka i zaczął przyglądać się ekranowi, nie wytrzymałam i skrzytkowałam go.

– A ja myślę, że dobrze wyszło – odpowiedział, wzruszając ramionami.
– Poszło w świat, Damian nie ma wyjścia. Poza tym ludzie nas wspierają, czuje się tę pozytywną energię. Czujesz? Bo ja czuję, że na mnie przepływa.

Przymknął oczy, głęboko wciągnął powietrze nosem.

– Wymiernie to nic nie pomoże, tylko tracimy czas.

– Skąd wiesz? Zawsze jest tak, że się nie spodziewasz, a ktoś, nie wiadomo kto, potrafi podrzucić coś mądrego. Na tym polega inteligencja kolektywu. „*Voix populi, vox Dei*”, jak mawiali starożytni Rzymianie.

Łacińskie powiedzenie „głos ludu głosem Boga” znaczyło coś innego i nie było związane ze starożytnymi Rzymianami, ale nie miałam ochoty się spierać. Sama też rzuciłam się na swoją komórkę. Błagałam los, żeby zesłał mi cud, ale nadzieja kolejny raz się rozwiąła, pozostawiając twardą jak skała gorycz. Nie dostałam żadnej nowej informacji, tylko kolejne esemesy zawierające słowa wsparcia – od mamy, siostry i kolejnych znajomych, o których istnieniu już dawno zapomniałam.

– Posłuchaj tego. – Kris z przejęcia aż złapał mnie za ramię. – Ktoś pisze: „Ludzie! Dlaczego nie poprosicie o pomoc Kanadyjczyków albo Czechów? Przecież jeszcze są w base campie. Albo nawet wyżej? Może mają więcej jaj niż Nawrocki!”

Popatrzył na mnie triumfalnie.

– Dlaczego sami na to nie wpadliśmy?

12. KRIS

- To genialne rozwiązanie – mruknąłem, wpatrując się w ekran komórki.
- Oni na pewno mają więcej jaj niż Damian. Działam!

Olałem już resztę komentarzy, bo sypały się lawinowo, nie dało się ich ogarnąć. Chyba algorytmy aplikacji wyczuły krew i zaczęły propagować naszą relację.

I o to chodziło! Żeby postawić skurczybyka Damiana pod ścianą, pod pręgierzem opinii publicznej.

Tymczasem skupiłem się na namierzaniu wypraw kanadyjskiej i czeskiej. Udało mi się to bez problemu, bo obie były mocno obecne w social mediach. Jedni prowadzili bloga, drudzy mieli profile wyprawy na Facebooku i Instagramie.

- Mają niezłych sponsorów – oceniłem, przewijając stronę Kanadyjczyków. – To pewnie głównie pod nich tak się lansują. Trzeba się jakoś odwdzięczyć za sos...

- Sos? – zdziwiła się Julka.

- Kasę, hajs, mamonę – wzruszyłem ramionami.

Jak ona może być tłumaczką, jak ma tak ograniczony zasób słownictwa? Młodzieżowego, ale zawsze. Jak się pracuje słowem, trzeba iść z duchem czasu, trzymać rękę na pulsie języka.

Zawinęliśmy się ze świątyni małą i usiedliśmy nieopodal, w niewielkiej restauracji, która miała wi-fi. Napisaliśmy wiadomość do Czechów, a do Kanadyjczyków nawet zadzwoniliśmy, bo jeden z uczestników wyprawy, Jason Lavalley, miał na swoim profilu na Instagramie podany numer telefonu. Nie odebrał, ale liczyliśmy, że oddzwoni.

Znów pozostało nam tylko czekać.

- To naprawdę chyba najgorsze w tym wszystkim – rzuciłem, zerkając na komórkę, którą sprawdzałem ledwie minutę wcześniej.

Julka spojrzała na mnie pytająco.

- Że życie partnerów wspinaczy, tych wszystkich biednych babeczek i facetów, polega głównie na czekaniu. Na ich powrót. Do domciu. Jak ja, kurwa, tego nienawidzę!

Staram się przy niej nie przeklinać, ale wyrwało mi się. Julka pokiwała głową.

– Jak sobie z tym radzisz? – spytała po chwili, drżącym głosem. – Bo ty już czekasz chyba parę lat dłużej niż ja.

W odpowiedzi tylko głośno westchnąłem. I znów odruch: oko – komórka. I znów nic.

– Jak się poznaliście z Kaśką, to ona już się wspinała? – Julka drążyła temat.

– Nie do końca wiedziałem, w co się pakuję. Wtedy jeszcze włąziła głównie na szczyty w Tatrach i w Alpach, raz tylko była w Himalajach i kiepsko się to skończyło, nie lubiła o tym mówić. Przez jakiś czas nawet próbowałem też się wkręcić we wspinaczkę. Więc niby wiedziałem, ale... Nie sądziłem, że to się tak rozbucha. Za to tobie już na starcie powinna się zapalić czerwona lampka.

Choć z Julką spędziłem ostatnie dwa tygodnie, nigdy nie rozmawialiśmy tak na poważnie o pasji naszych partnerów, o naszym do niej stosunku, o kosmicznych kosztach, również finansowych. Przede wszystkim o horrendalnym ryzyku. To był temat tabu. U mnie bardziej chodziło o to, żeby nie wywoływać wilka z lasu, nie zapeszać. Jestem trochę przesądny. A Julka, przynajmniej takie odniosłem wrażenie, nie chciała psioczyć i mówić źle o Marku.

Oczywiście z racji tego, że tkwiliśmy w Katmandu, często rozmawialiśmy o wspinaczkę, ale zawsze powierzchownie, bez odsłaniania prawdziwych emocji i całej tej starannie ukrywanej traumy, którą przeżywa każdy partner i partnerka himalaisty, ich matki, ojcowie i dzieci. Ale widocznie teraz, w godzinie próby, weszliśmy z Julką na wyższy poziom bliskości.

– Ja w tym nie widzę sensu – powiedziałem, przeglądając menu restauracji. – I teraz, i nigdy nie widziałem.

– We wspinaniu? – domyślnie spytała Julka.

Pokiwałem głową.

– A już te ośmiotysięczniki to jakiś fetysz – powiedziałem po chwili. – Przecież to wszystko jest umowne.

– Chodzi ci o to, że niektóre szczyty są osobne, a inne się nie liczą, bo są tylko podwierzchołkami?

– To też, ale sama idea ośmiotysięczników jest kretyńska. Jakby przyjęło się, że jednostka długości ma nie metr, ale – powiedzmy – metr dziesięć, to istniałby tylko jeden ośmiotysięcznik.

– No tak, a gdyby jednostką był angielski jard, czyli dziewięćdziesiąt jeden centymetrów, to wszystkie siedmiotysięczniki też byłyby ośmiotysięcznikami.

– Cyrk na kółkach. Ja traktuję to jak uzależnienie – powiedziałem, ciężko wdychając. – Jak wóda, dragi czy hazard. Związałem się z ćpunką, nie mam już złudzeń.

– Odważne stwierdzenie.

– Ale nie jest tak? To nałóg, bo nic się nie da z tym zrobić. I ma destrukcyjny wpływ na bliskich. Ale wiesz... – Wzruszyłem ramionami. – Nałogi cieszą się przesadnie złą opinią. Każdy jakiś ma. Chodzi raczej o to, żeby mieć je pod kontrolą.

– A to chyba jest sprzeczne z samą definicją nałogu.

– I tak, i nie. Znam wiele osób, które są alkoholikami, ale hamulce im nie puszczają – mówiłem, przeglądając lichą listę win i alkoholi. – Piją za dużo, wiedzą o tym, ale nie staczają się.

– No tak, funkcjonujący alkoholicy.

– Tak to się nazywa? Jaka ty jesteś mądra. – Próbowałem się z nią droczyć, żeby choć na chwilę zapomnieć o tym strasznym CZEKANIU.

Nienawidziłem go, było absolutnie na pierwszym miejscu listy najgorszych rzeczy, których w życiu doświadczyłem. Może poza zawodami miłosnymi, ale te na szczęście zdarzały mi się na tyle dawno temu, że zdążyłem zapomnieć. Innych ciosów od losu praktycznie nie zamię: bólu, rozpacz, rozgoryczenia. Tylko to czekanie, które było najbardziej upiornym sposobem spędzania czasu.

– Wybrałaś już coś? – zapytałem, szukając w głowie kolejnych tematów, którymi mógłbym zająć i siebie, i Julkę.

– Nie jestem głodna.

– Ja też nie. Ale trzeba jeść.

Czekaliśmy w restauracji, czekaliśmy w drodze do hotelu. Szczęście w nieszczęściu, że ten upiorny proces czekania przerywały nam niekończące się telefony, esemesy i maile od znajomych, bliskich i dziennikarzy z Polski, a także komentarze internautów. Prawdziwa kakofonia, gęsta zupa informacyjna, która szybko zmieniała się w powódź.

Ale tych najważniejszych telefonów nie było. Ani Kanadyjczycy, ani Czesi nie odpowiedzieli na naszą prośbę.

Dzień mijał nieubłaganie. Zbliżał się wieczór, a na Evereście nadal szalała burza śnieżna. Co gorsza – po zachodzie słońca temperatura poleci na łeb na szyję. Z minus dwudziestu zrobi się minus czterdzieści, minus pięćdziesiąt albo jeszcze mniej. Nasi będą musieli spędzić kolejną straszną noc. I nic nie mogliśmy zrobić, żeby im ulżyć.

– Daj mi rękę – poprosiłem.

Julka popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, ale bez słowa spełniła moją prośbę. Łapczywie chwyciłem jej ciepłą dłoń i trzymałem.

Potrzebowałem tego. Poczuć fizycznie obecność drugiej osoby. Bez podtekstów. Po prostu przez chwilę współodczuwać z drugą podobną do mnie sierotą, która umiera ze strachu, bo ktoś bliski znalazł się na granicy życia i śmierci.

– Uratujemy ich, prawda? – spytałem.

W odpowiedzi Julka ścisnęła mocniej moją dłoń.

DZIEŃ TRZECI – CZWARTEK

13. JULIA

Suknia panny młodej była klasycznie elegancka, ale uwagę przykuwały jej buty. Kaśka szła do ślubu w białych adidasach. Zastanawiałam się, czy to z powodu odmrożeń palców u stóp nie może chodzić w szpilkach, czy po prostu gwizdże na konwenanse.

Ścisnęłam dłoń Marka. Była ciepła i sucha.

– Powiem ci coś w sekrecie – szepnęłam mu do ucha. – Takie pewne siebie kobiety... Trochę się ich boję. Boję się, że jak im się coś nie spodoba, zaczną krzyżeć. Kłócić się do upadłego. Moja siostra jest taka. Jak się rozpedzi, jedzie jak walec, nie patrzy po kim i po czym.

– Cała Kaśka. – Marek uśmiechnął się do mnie. – Na szczęście w górach walec niewiele wskóra. Everestu przecież nie wyrówna.

– Ty na pewno dajesz sobie z nią radę – kontynuowałam szeptem. – Siła spokoju. Kamień, na którym tępią się nożyczki. Ale jej mąż? Biedny chłopak. Papier. Nożyczki przetną go na pół.

– Kris? Chyba wie, na co się pisał.

Obudziłam się ze snu, który przeniósł mnie dwa miesiące w przeszłość, na ślub Kaśki i Krisa. Ręka Marka w mojej dłoni zniknęła, za to wrócił ból w sercu.

Świtało. Nie wiem, jak udało mi się wczoraj zasnąć ani o której. Odruchowo sprawdziłam komórkę. Czesi i Kanadyjczycy milczeli. W ostatniej rozmowie wczoraj wieczorem Damian twierdził, że naszym bliskim udało się trochę zejść. Są w namiocie, w obozie trzecim, ale na razie nie będą w stanie kontynuować odwrotu – przez złe warunki pogodowe, braki w sprzęcie i stan zdrowia Barta.

Choć Damian próbował przekonać nas, że obóz trzeci to dobra wiadomość, nie uspokoiłam się ani trochę. Co z tego, że nie są już

w strefie śmierci – tej nominalnej, powyżej ośmiu tysięcy metrów? Przecież to nie znaczy, że śmierć im nie grozi. Wręcz przeciwnie. Zeszli trochę niżej, ale utknęli. Z każdą godziną słabną, a śniegu przybywa. Co będzie, jeśli złe warunki pogodowe na Evereście potrwają dłużej?

Po rozmowie z Damianem zaczęłam szperać w książce „Ślepotą śnieżną”, którą tłumaczyłam i dzięki której poznałam Marka. Opowiada ona o tragediach w Himalajach i Karakorum, jej zredagowany tekst mam nadal w laptopie. Szukałam historii podobnych do naszej, licząc na wskazówki albo chociaż parę słów otuchy. W 1986 roku na K2 siedmioro wspinaczy utknęło w namiotach, czekając na poprawę pogody. Ale opady gęstego śniegu, niska temperatura i huraganowy wiatr nie odpuszczały aż przez pięć dni. W rezultacie pięcioro z tych nieszczęśników zmarło. Dwoje Brytyjczyków, dwóch Austriaków i Polka. Pozostali dwaj uratowali się tylko cudem. Wycieńczeni, zostali przetransportowani do szpitala śmigłowcem. Wskutek odmrożeń stracili część palców u rąk i stóp.

*

– Musimy załatwić im helikopter. – Z zamyślenia wyrwał mnie Kris.

Było po dziewiątej. Wracaliśmy z agencji trekkingowej. Kolejna wizyta, która nie przyniosła nic konkretnego. Na Evereście nadal złe warunki. Trzeba czekać.

Do strachu i zmęczenia dołączyło rozdrażnienie.

Wycieraczki jęczały, zbierając wodę z przedniej szyby. Niebo przecinały błyskawice, ale odgłos gromu do nas nie dochodził. Monsun na dobre rozgościł się w Katmandu. Zastanawiałam się, gdzie znajdzie ujście woda, która spadała z nieba z taką intensywnością, jakby natura postanowiła pobić jakiś rekord.

Byłam zaskoczona i przez moment zastanawiałam się nawet, czy ze zmęczenia nie zaczęłam myśleć na głos i niechcący nie podpowiedziałam Krisowi tego helikoptera.

– Musimy załatwić im śmigło – powtórzył.

Powiedział to takim tonem, jakby chodziło o wypożyczenia auta. Serce natychmiast wypełniło mi się nadzieją. Oczywiście wyobraźni

zobaczyłam, jak Marek sfruwa z furkotem wirnika z wysokiej góry. Mija obóz bazowy i leci dalej, prosto do Katmandu. Jeszcze dziś go zobaczę. Wykąpie się, wypije czarną kawę, którą tak lubi, a wieczorem pójdziemy na romantyczną kolację do przytulnej knajpki w jakiejś zacisznej uliczce dzielnicy Boudhha, zwanej Małym Tybetem.

– Dobrze, załatwmy helikopter – powiedziałam z entuzjazmem, czując, jak budzi się we mnie siła. – Jak to zrobić?

– Przez agencję. Oni załatwiają takie rzeczy. Ściągają turystów, jak trzeba. Musimy ich tylko przycisnąć.

Wiedziałam, że Kris ma rację. I to nie tylko dlatego, że wczoraj czytałam o akcjach ratunkowych w Himalajach. Tydzień wcześniej, kiedy Marek łączył się ze mną jeszcze z obozu bazowego, opowiadał o ewakuacji kanadyjskiego wspinacza, którego dopadła ostra choroba wysokościowa. Nie było szans, żeby zszedł o własnych siłach, podejrzewano, że ma obrzęk mózgu. Śmigłowiec zabrał go w ciągu paru godzin od zgłoszenia.

Dlaczego od razu o tym nie pomyśleliśmy? Czemu Damian tego nie zasugerował? A więc ratunek jest na wyciągnięcie ręki! Czy wystarczy wypowiedzieć krótkie zaklęcie?

Hokus-pokus, helikopter.

Kris zawrócił, ostro trąbiąc na riksę, której kierowca, najwyraźniej zdezorientowany nagłym manewrem, zatrzymał się i zablokował nam drogę. Chwilę później gnaliśmy z powrotem do siedziby UHK. Nagle w samochodzie rozległ się dzwonek komórki – charakterystyczne ostre dryndanie staroświeckiego telefonu.

– Nieznany numer – powiedział Kris, zerkając na wyświetlacz.

– Odbierz – zasugerowałam.

Po drugiej stronie telefonu odezwał się męski głos. Mówił po angielsku, z silnym akcentem, którego w pierwszej chwili nie byłam w stanie zidentyfikować.

– Hallo... Is this Kris? Katia's husband?

Zadrzałam. Strach i niepewność wypęzły w okamgnieniu. Okazało się, że dzwoni uczestnik czeskiej wyprawy. Przedstawił się, ale nie dosłyszałam jego imienia. Połączenie było słabe, w dodatku w dach i szyby samochodu bębniła ulewa. Czech niestety wyjaśnił, że nie są

w stanie odpowiedzieć na nasze wezwanie o pomoc. Zakomunikował tylko, że połączy nas z Kaśką.

– Jak to? A co z Damianem? – zaczęłam, ale Kris uciszył mnie gniewnym spojrzeniem.

– Halo? Kochanie? Halo? Jesteś? – spytał.

Cisza. Szmery.

– Kochanie? – pytał dalej Kris. – Halo?

– Jestem – powiedziała w końcu Kaśka.

– Co się dzieje?

– Ty mi powiedz. Dlaczego Damian nie odbiera? Kurwa!

Kris zatrzymał samochód i włączył światła awaryjne. Pomyślałam, że to nic nie da i w takiej ulewie ktoś na domiar złego zaraz w nas wjedzie. Ale ja też nie byłabym w stanie jednocześnie prowadzić samochodu i tak ważnej rozmowy.

– Nie odbiera, bo widocznie działa... – mówił Kris.

Zerknął na mnie, ale zaraz uciekł wzrokiem. Kłamał, choć w dobrej wierze. Nie chciał podkopywać ich morale, które zapewne i tak było już kruche i sponiewierane.

– Poprosiliśmy Czechów... – Kaśka mówiła powoli, czuło się, że z trudem łapie każdy oddech. – Spieprzają do Lukli, ale połączyli nas jeszcze.

– A wasz telefon satelitarny nie działa?

– Na razie nie włączamy... Straciliśmy powerbanki... Chcemy oszczędzać baterię.

– A nie możecie poprosić Czechów o pomoc? Albo Kanadyjczyków?

– Nie – odpowiedziała zwięźle Kaśka. – To nie wchodzi w grę.

– Rozumiemy.

– Jak akcja? Bo z Bartem... gorzej.

– A co mu jest? – włączyłam się w rozmowę.

– A jak myślisz? – odpowiedziała Kaśka, nie próbując nawet tłumić irytacji. – Nie zrobię mu tu prześwietlenia. Nie wiem... Musimy spierdalać... Chyba wstrząs mózgu... Rzygał. Ma wybite zęby, połamane żebra.

– Dajcie mu może jakieś leki... – powiedział bez przekonania Kris.

– Nie mamy apteczki. – Kaśka weszła Krisowi w słowo. – Wszystko... straciliśmy...

– Działamy, kochanie, działamy... Właśnie załatwiamy wam śmigło. Jesteśmy w drodze do UHK. Przypilnuję tego.

Nie wiedziałam, czy Kaśka i Kris byli ze sobą na tyle zżyli, żeby wiedzieć, kiedy druga osoba mija się z prawdą albo koloryzuje, ale ja czułam w jego głosie nutę fałszu.

– Jesteśmy za wysoko na śmigło – odpowiedziała Kaśka po dłuższej chwili. – Ale... zejdziemy trochę... Może. Ale potem... Bez sprzętu...

Wypowiadała się chaotycznie i skrótowo. Kris zapewniał ją, że i my, i agencja, i Damian robimy wszystko, by im pomóc. Rozgadał się, jak to on, więc musiałam się wtrącić, zwrócić mu uwagę, że trzeba myśleć o oszczędzaniu baterii. Bardzo chciałam zamienić choć parę słów z Markiem, ale wiedziałam, że trzeba ograniczyć się do przekazywania jedynie istotnych informacji. Nie chciałam sobie nawet wyobrażać, co by się stało, gdyby radio i telefon satelitarny się rozładowały i nasi bliscy zostaliby odcięci od jakiegokolwiek kontaktu.

Kaśka przyznała mi rację i rozłączyła się. Kris odpalił silnik, wyłączył światła awaryjne i uruchomił z powrotem skrzeczące wycieraczki.

– Ja pierdołę – westchnął cicho. – Dlaczego to się tak pieprzy?

– Na jakiej oni są dokładnie wysokości teraz? – spytałam. – Myślisz, że dadzą radę zejść niżej? Do dwójki?

– Nie wiem. Chyba tak. Spróbują. No muszą przecież! Nie mogą tam tkwić! To ich zabije tak samo fizycznie, jak i psychicznie.

– Ale czy będą w stanie zejść? Przecież helikopter nie poleci tak wysoko.

– Oczywiście, że poleci! Helikopter może wylądować na samym wierzchołku.

– Chyba jednak nie. Niepotrzebnie zrobiliśmy im nadzieję...

– Może wylądować, wiem. Na pewno. – Kris wszedł mi w słowo z tą swoją irytującą pewnością siebie internetowego celebryty.

– Przecież tam nie ma powietrza.

– Przestań tak gadać!

Nie odpowiedziałam, sięgnęłam po komórkę. Wpisałam „Everest” i „helicopter”. Znalazłam artykuł o Didierze Delsalle’u, który w 2005 roku wylądował na szczycie Everestu.

– Masz rację – powiedziałam. – Masz rację! Można!

Zacząłam czytać artykuł na głos, ale zaraz popłakałam się ze szczęścia. Francuz naprawdę wylądował helikopterem na najwyższej górze świata. To nie było niemożliwe. Nieważne, że jego wyczyn był jednorazowy i nikt nigdy go nie powtórzył, i że helikopter był specjalnie przygotowany, a lot poprzedziły liczne testy. Nasi bliscy byli już znacznie poniżej wierzchołka.

I może jeszcze zejda.

To się musi udać. Polecimy po nich i zabierzemy ich z tej lodowej pułapki. Tak jak udało się w przypadku dwóch himalaistów ocalałych z tragedii na K2, których historię tłumaczyłam. I wielu innych uratowanych w Himalajach przez śmigłowce ratunkowe.

Mieliśmy i cel działania, i wiarę w jego powodzenie. Czegóż chcieć więcej?

14. KRIS

Na twarzy pracownika agencji turystycznej pojawił się grymas. Przez ułamek sekundy, ale go zauważyłam. Facet nie był zachwycony, widząc nas z powrotem, ale miałem to gdzieś. Bajerował właśnie parkę Brytoli w średnim wieku, namawiając ich na wycieczkę terenówkami po okolicach Katmandu. Rozłożył przed nimi folder i pukał w niego firmowym długopisem.

– Musicie wystać po nich helikopter – huknąłem po angielsku, jeszcze zanim zamknąłem za nami drzwi.

Brytole odwrócili się, zaskoczeni. Ona miała końską szczękę, on wodniste oczy, łysą głacę i usianą rudymi piegami twarz. Oboje posłali mi pełne wyższości, chłodne spojrzenie. Brzydcy i sztywni kolonialni zombi, którzy uważają, że należą im się królewskie traktowanie.

Pracownik agencji – nie byłem w stanie zapamiętać jego egzotycznego imienia – przeprosił klientów. Poderwał się zza biurka i chciał powtórzyć manewr z pomieszczeniem na zapleczu, ale stanąłem okoniem. Był płotką, pośrednikiem niepotrzebnie wydłużającym cały proces. Musieliśmy jak najszybciej rozmówić się z kimś wyżej, kimś decyzyjnym.

Wzrokiem spacyfikowałem Brytoli, ostro naskoczyłem na pracownika agencji. W rezultacie dziesięć minut później jednak wyładowaliśmy na zaplecze. Ale tym razem rozmawiał z nami właściciel UHK, a przynajmniej tak się przedstawił.

Nimish Jakiśtam był po pięćdziesiątce, łusy, ale z wąsem, pulchniutki, widocznie interes szedł dobrze.

– Rozumiem wasze zdenerwowanie, ale... Na tym etapie to nie będzie łatwe – powiedział, kiedy wyłuszczyłem mu pomysł z helikopterem.

– Dlaczego? – włączyła się Julia. – I na jakim etapie?

Właściciel podniósł ręce, jakby się bronił, po czym złożył je w geście „namaste”⁵. Na grubiułkim małym palcu lewej ręki miał złoty sygnet, a nadgarstek oplatały bransoletki i pasek złotego zegarka.

– Wszystko po kolei – zaczął i wziął głęboki wdech. – Zrozumcie nas, zaufajcie. Firma ubezpieczeniowa nie chce, nigdy nie chce... Bardzo nie chce płacić za helikopter. My ich znamy, my ich bardzo dobrze znamy. Zaufajcie nam.

– Nie, nie ma takiej opcji – powiedziałem, podrywając się z powycieranej sofki. Byłem o głowę wyższy od faceta. – To znaczy: nie ma innej opcji niż helikopter. Ma polecieć. Teraz, zaraz!

Nosiło mnie, zacząłem krążyć po niewielkim pomieszczeniu jak tygrys w klatce.

– Co to znaczy, że nie ma innej opcji? – Pan właściciel najwyraźniej postanowił zgrywać głupa.

Nagle poczułem się jak w jakimś surrealistycznym śnie. Dlaczego on się tak zachowuje, zamiast rzucić się naszym bliskim na ratunek?

Z uśmiechem przylepionym do twarzy właściciel agencji zaczął robić nam wykład na temat przekrętów niektórych firm oferujących w Nepalu przeloty śmigłowcami. W ostatnich kilku latach zaczęły one w nieuczciwy sposób zarabiać, uruchamiając polisy ubezpieczeniowe pod byle pretekstem.

– Wystarczy, żeby klient miał na górze małą kontuzję, zupełnie niegroźną... Albo poczuł się gorzej – mówił, kręcąc głową z dezaprobatą. – Przewodnicy, ci źli, skorumpowani, zaczynają na niego naciskać. Albo na jego towarzyszy. Że helikopter, że trzeba odstawić go do szpitala, rozumiecie? Boli brzuch? Helikopter. Boli głowa? Helikopter. Tak robią. Niestety. Doszło nawet do tego, że ci źli przewodnicy trują klientom

jedzenie. Rozumiecie? Żeby wywołać objawy choroby. I wtedy co? Helikopter!

– Człowieku! Ale jaki przekręt, tu nie ma żadnego przekrętu przecież! Oni tam walczą o życie! – wrzasnąłem, spoglądając na zegarek.

Dochodziła dziesiąta. Traciliśmy cenny czas. Podniosłem wzrok i popatrzyłem na kręcący się pod sufitem wiatrak, który kojarzył mi się z wymarzonym śmigłowcem.

– Nie ja to wymyśliłem – odparł właściciel UHK. – Chodzi o to... Po tym skandalu nasz ubezpieczyciel też wprowadził bardzo surowe procedury. To będzie naprawdę trudne, żeby dostać od nich promesę... Są też problemy z pogodą. Nie nasza wina, że monsun. Kto będzie chciał lecieć? Tak się chyba nie da. No i są za wysoko. Wasz przyjaciel po nich pójdzie. I nasi ludzie. Ale jak pogoda lepsza. Trzeba czekać.

Wtedy po raz pierwszy – choć miałem przecucie, że nie ostatni – zagrałem kartą internetowego celebryty. Byłem tak zdenerwowany, że nie pamiętam dokładnie, co mówiłem, ale na pewno wymachiwałem mu przed nosem swoją komórką z odpalonym Instagramem, żeby zobaczył dziesiątki tysięcy followersów K2_lifestyles.

Zapewne żadna z osób, które nas obserwują, nie pojawi się nigdy w Katmandu, by skorzystać – lub nie – z usług UHK, ale liczyłem na to, że w jakiś irracjonalny sposób zasieję w facecie choć odrobinę niepewności, że jeśli się bardziej nie postara, to ja mu zniszczę biznes.

Desperacko na to liczyłem.

15. JULIA

Bałam się, że zmieciemy z drogi jakiegoś skuterzystę, rowerzystę albo rikszarza. Kris jest dobrym kierowcą, ale prowadził szybko i agresywnie zmieniał pasy, wyprzedzał, skręcał. Szkoda mu było każdej sekundy. Pewnie też wyładowywał złość po nieudanych rozmowach w agencji trekkingowej.

Na właścicielu UHK zasięgi K2_lifestyles nie zrobiły najmniejszego wrażenia. Zaczął nawet psioczyć, że przez Instagrama mają same kłopoty, bo zgłaszają się do nich pseudohimalaiści, którzy chcą mieć fotki

na zbroczu ośmiotysięcznika, a najlepiej na samym szczycie. Nie umieją się wspinać, a domagają się efektów, bo przecież zapłacili. Palicho, jeśli wystawiają negatywne recenzje. Niestety często ich przygody z agencjami trekkingowymi kończą się dramatycznie. „Zdobycy” zapadają na chorobę wysokościową, ulegają wypadkom podczas wspinaczki albo wypadają z tratw podczas raftingu rwącą rzeką Karnali. Jednym słowem – generują kłopoty i koszty.

– Człowieku, oni tam czekają na pomoc! – Kris w końcu nie wytrzymał i wydarł się na właściciela agencji. Wyglądał tak, jakby z trudem powstrzymywał się, żeby się na niego nie rzucić. – Ratujcie ich!

– Nie trzeba krzyczeć. Działamy. Ale tłumaczę wam, jak jest... Sytuacja w ostatnich latach bardzo się zmieniła...

– Nie obchodzi mnie to!

Wtrącałam się i zaczęłam powtarzać argumenty Krisa, tylko spokojniejszym tonem. W końcu emocje opadły. Właściciel UHK poradził, żebyśmy pojechali do firmy ubezpieczeniowej i na miejscu załatwili promesę. To może przyspieszyć sprawę. A oni w tym czasie będą próbowali załatwić helikopter.

Kiedy wyszliśmy z agencji, akurat się przejaśniło. Kris prawie pobiegł do samochodu. Ruszyliśmy do siedziby firmy ubezpieczeniowej Trushi Group, która obsługuje agencję trekkingową.

– Nie denerwuj się – powiedziałam, zerkając na Krisa, który lawirował ulicami Katmandu.

– Nie denerwuję się – odparł, nie odrywając wzroku od drogi. – Cholera, mogliśmy go wziąć ze sobą, tego grubaska, właściciela. Albo tego jego przydupasa z blond grzywką. Mogliby robić za tłumacza. Nie wiem, czy się dogadamy...

W sektorze turystycznym prawie wszystkie osoby, z którymi mieliśmy do czynienia, mówiły po angielsku. Ale szansa na dogadanie się z przeciętnym Nepalczykiem była mniej więcej taka jak w Polsce. Albo nawet mniejsza.

Na szczęście obawy Krisa okazały się płonne. Agent ubezpieczeniowy, przed którego okienkiem usiedliśmy pół godziny później, mówił po angielsku. I to całkiem niezłe.

Poczułam się pewniej, bo mieliśmy do czynienia nie z jakąś chałupniczą działalnością, ale z solidną, międzynarodową firmą. Siedziba

Trushi Group, wykończona marmurami, równie dobrze mogłaby znajdować się w Wiedniu, Londynie czy Paryżu. W kącie stał dystrybutor z wodą, a na ścianach, w eleganckich ramkach, wisiły niewielkie plakaty reklamowe, zachwalające zapewne ofertę firmy. Gratulowałam sobie w duchu, bo przed wyprawą to ja namawiałam Marka, żeby wybrali porządne ubezpieczenie, a nie najtańsze.

– Poproszę numer polisy – powiedział chłopak w okienku.

Był ubrany w nieskazitelnie białą koszulę, z szarym krawatem pod szyją – na oko poliestrowym, ale zawsze. Ciemne włosy miał starannie uczesane, z przedziałkiem. Tu nie było miejsca na eksperymenty z kolorami.

– Już podaję – odpowiedziałam, rozjaśniając ekran komórki.

Agent ubezpieczeniowy wpisał podyktowany przeze mnie długi rząd cyfr i liter. Już na wstępie wytłumaczyliśmy mu, o co chodzi, więc teraz w ciszy i skupieniu klikał, zapewne przygotowując dla nas promesę.

Westchnęłam głęboko i – dla zabicia czasu – znów zaczęłam meandrować spojrzeniem po wnętrzu. Firma ubezpieczeniowa ulokowała się na parterze budynku, który wyglądał jak pałacyk, zapewne z czasów kolonialnych. Na podłodze i ścianach królowały jasnoszare marmury, okazałe schody prowadziły na piętro. Tylko biurowe meble z drewnopodobnej okleiny nie pasowały do szlacheckiego wnętrza.

Poczułam wibrację komórki. Dzwoniła moja siostra, Olga. Odrzuciłam połączenie, ale napisałam jej esemesa, że teraz nie mogę rozmawiać.

„Oddzwoń potem. Mam przemyślenia” – odpisała.

Pracownik firmy ubezpieczeniowej nadal klikał myszką i stukał w klawiaturę, a ja zastanawiałam się, jakież to przemyślenia może mieć moja starsza siostra. Olga od początku niechętnym okiem patrzyła na moją relację z Markiem. Wprawdzie uważała, że jest on miłym i wartościowym człowiekiem, ale jej zdaniem miał jedną, zasadniczą wadę, która go przekreślała.

Góry.

Podobnie jak Kris Olga uważała, że wspinanie się jest jak niebezpieczny nałóg. Jej zdaniem mój związek z Markiem to było de facto toksyczne współzależnienie, takie samo jak życie z alkoholikiem, narkomanem czy hazardzistą. Przestrzegała, że prędzej czy później przyjdzie mi zapłacić wysoką cenę. Nawet jeśli jakimś cudem los

oszczędzi mi tych najtragiczniejszych chwil, zawsze będę dla niego na drugim miejscu. A więc albo nie mam wystarczająco szacunku do siebie, albo mam zaniżone poczucie własnej wartości, że zgadzam się na tak poniżające traktowanie. Podejrzywałam, że teraz, kiedy oddzwonię, usłyszę od siostry triumfalne: „A nie mówiłam?”

– Czy wszystko w porządku? – Z zamyślenia wyrwał mnie głos Krisa, który zwrócił się po angielsku do pracownika firmy ubezpieczeniowej. – Czemu to trwa tak długo?

– Najmocniej przepraszam – odparł chłopak po drugiej stronie biurka. – Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości.

Kris westchnął ciężko, skrzyżował nogi i zaczął nerwowo potrząsać stopą. Patrzyłam jak zahipnotyzowana na pomarańczową podeszwę jego designerskiego sportowego buta. Też siedziałam jak na szpilkach, ale z uporem maniaka powtarzałam sobie, że już za chwilę wyjdziemy z pałacyku z upragnioną promesą. W międzyczasie UHK załatwi helikopter i będziemy mogli przekazać naszym bliskim prostą wiadomość: „Zbierajcie się, leci po was śmigło, jesteście uratowani!”

– Jest mi bardzo przykro – powiedział pracownik agencji ubezpieczeniowej, podnosząc wzrok znad klawiatury. – Ale nie mogę państwu pomóc.

– Słucham? – spytał Kris z niedowierzaniem.

– Niestety... Państwa polisa wygasła dziś o północy.

16. KRIS

– Państwa polisa wygasła dziś o północy – powiedział gnojek w ubezpieczalni.

Zagotowałam się. Nie zrobiłem sceny, choć chciało mi się wyć. Ale nie jestem piniaczem. Wcześniej, w siedzibie UHK, miało to sens, żeby pokrzyknąć na właściciela, wytrzeć sobie gębę zasięgami na Instagramie, postraszyć. Bo to był ich psi obowiązek, żeby włożyć całe serce w załatwienie helikoptera.

W przypadku polisy wina leżała całkowicie i bezapelacyjnie po naszej stronie.

Kiedy gnojek pod krawatem oznajmił nam, że nasi bliscy od kilku godzin nie są ubezpieczeni, poczułem, jak po kręgosłupie przebiega mi zimny dreszcz. Tak bardzo chciałem już przestać się bać o żonę. I żeby ten koszmar zaczął już zmierzać do szczęśliwego końca. A nagle odkryliśmy, że nie jesteśmy na dnie, z którego z trudem próbowaliśmy się wygrzebać. Spadliśmy jeszcze poziom niżej.

Przyjąłem kolejny cios na klatę. Nie dałem się złamać. Choć nie było łatwo. Czułem, że niczego już tu nie wskóramy, nie mieliśmy szans w starciu z Goliatem. Oj, jak ja dobrze znam wielkie, międzynarodowe, bezduszne korpo. Mają sztuczki na takie żuczki, a my tacy byliśmy – bezradni i zdezorientowani.

– To niemożliwe. Jest pan pewien? Niech pan sprawdzi – prosiła Julka.

W kilka sekund zbladła, jej twarz upodobniła się kolorem do otaczających nas marmurów.

– Naprawdę mi przykro, sprawdziłem to dokładnie – odpowiedział chłopak, unikając naszego wzroku. – Mogę oczywiście sprawdzić jeszcze raz.

– Bardzo pana prosimy...

– Jebany Damian, to jego вина – warknąłem po polsku.

Ulało mi się. Nie lubię przeklinać, niestety często nad tym nie panuję. Ciąg dalszy wiązanki pod adresem pożał się Boże kierownika wyprawy puściłem już w myślach.

Świadomość tragicznego zaniedbania zaczęła przebijać się przez początkowe oszołomienie, rozlała się gorącą, nieprzyjemną falą po całym ciele. To takie cholernie wstrętne uczucie, jakbym został wyrwany ze snu, już i tak niezbyt przecież przyjemnego, i obudził się w jeszcze bardziej przerażającej rzeczywistości.

– To zrobimy aneks do umowy – powiedziała Julka, sięgając po swój portfel. – Na pewno przy odrobinie dobrej woli ze strony państwa będzie to możliwe...

Podziwiałem ją, ona też przecież dostała z całej siły w splot słoneczny.

– Przecież dla was to żaden kłopot – odezwałem się, by wesprzeć Julkę. – A dla nas to sprawa życia i śmierci.

Chłopaczek po drugiej stronie biurka patrzył na nas w milczeniu swoimi ciemnymi, prawie czarnymi oczami. Nie powiedział z automatu „nie”. Zamrugał kilkakrotnie, jakby się nad czymś zastanawiał. Po czym

sięgnął po słuchawkę stojącego na biurku telefonu stacjonarnego i wybrał numer wewnętrzny.

Rozmawiał zapewne z przełożonym, po nepalsku, więc nie rozumiałem ani słowa, ale wstąpiła we mnie nadzieja. Może jednak nie wszystko stracone. Albo chociaż koleś nie podejmie decyzji sam, pójdzie po szefa, kierownika zmiany i z nim wynegocjujemy jakieś polubowne rozwiązanie. Przecież nie przyszliśmy ich tu naciągać. Do wczoraj mieliśmy polisę, to zwykłe przeoczenie. Po prostu nikt nie przypuszczał, że zdobywanie Everestu aż tak się przeciągnie. Kolejny raz mściła się decyzja, by zostać na górze już po sezonie.

Wbrew regułom i wbrew zdrowemu rozsądkowi.

– Niestety, przykro mi. – Koleś odchrząknął, odkładając słuchawkę. – Nie możemy tego zrobić. To by stworzyło... niebezpieczny precedens. W takiej sytuacji...

Klepał dalej jakieś frazesy i formułki, ale już go nie słuchałem. Szkoda mi było czasu.

Ta bitwa była już przegrana. Mogliśmy tu prosić i błagać do usranej śmierci.

Starałem się przestawić na myślenie, co dalej, co teraz powinniśmy zrobić. Bo przecież musimy coś zrobić.

– Chodźmy stąd – powiedziałem po polsku, wstając z krzesła.

Julka i chłopaczek popatrzyli na mnie z zaskoczeniem, bo przerwałem mu w pół słowa.

– Chodź! – rzuciłem głośniejszym głosem i ruszyłem do wyjścia. – Szkoda naszego czasu.

W hallu, pośród marmurów, stała spora rzeźba azjatyckiego smoka, który wyglądał bardziej jak pysk bestii przyczepiony do poskręcane go ciała węża. Ze złości przywaliłem mu pięścią prosto między kamienne oczy. Zupełnie niepotrzebnie, zdarłem sobie tylko skórę do krwi.

Ale tego gnoja, Damiana, zabiję, jak już się ten koszmar skończy.

Wściekłem się na niego z powodu zaniedbania terminu polisy. Ale już wtedy, choć jeszcze podświadomie, czułem, że kroi się grubsza afeta. Straszna prawda na temat kierownika wyprawy na Everest ukazywała się powoli, jak stare, zgniłe liście wyłaniające się na wiosnę spod śniegu.

17. JULIA

Zadarłam głowę i jak oniemiała patrzyłam na spadającego na mnie stalowego kolosa. Nigdy wcześniej nie obserwowałam z bliska lądowania helikoptera. Choć staliśmy pięćdziesiąt metrów od wymalowanego na asfalcie wielkiego białego koła, w które celowała maszyna, hałas był taki, że ciężko było rozmawiać.

Sprawdziłam komórkę. Jeszcze nie oddzwoniłam do siostry, więc Olga zaczęła przysyłać mi swoje przemyślenia w odcinkach. „Oczywiście życzę jemu i tobie jak najlepiej, ale wiedz, że nawet szczęśliwe zakończenie tej nieszczęsnej eskapady nie oznacza niestety uwolnienia się od dewastującego was oboje współzależnienia” – brzmiał najnowszy przekaz. Nie takiego pocieszenia oczekiwałam od siostry. Aż trudno mi było sobie wyobrazić, że tak mocno zawodzi ją empatia.

Na szczęście cały czas dostawałam esemesy i wiadomości na Messengerze od bliższych i dalszych znajomych, a w nich wyrazy wsparcia. Wieści o polskich himalaistach uwięzionych na Evereście rozchodziły się i rozpalały zbiorową wyobraźnię. Przeżyją, nie przeżyją? Szaleńcy czy idioci? Kto za to wszystko zapłaci? I tak dalej.

Z niektórymi z piszących do mnie znajomych nie miałam kontaktu od matury. Chciałabym myśleć, że kierowało nimi współczucie, ale w większym stopniu była to chyba jednak ciekawość. Dla mnie każda nowa ikona kopertki pojawiająca się na ekranie komórki była zawiedzioną nadzieją. Cały czas oczekiwałam tej jednej, wymarzonej wiadomości – że zeszli, że jakimś cudem ten koszmar się skończył.

Przy okazji odczytywania esemesów od siostry i znajomych zerknęłam na zegarek na ekranie telefonu. Zdumiało mnie, że jest już po czternastej. Pół dnia zleciało jak z bicza strzelił, a przecież liczyła się każda chwila, każda minuta była na wagę złota.

Huk stał się nie do zniesienia. Czerwono-granatowy helikopter w końcu zetknął się ze swoim pełznącym po asfalcie cieniem i znieruchomiał na lądowisku South Kathmandu Hospital. Śmigło kręciło się jeszcze chwilę, ale hałas wyraźnie osłabł. Niebieskie i czerwone światełka na ogonie nadal migały wesoło.

Od tyłu do maszyny podeszło dwóch sanitariuszy w zielonkawych uniformach i ochroniarz, który miał na sobie odblaskową seledynową kamizelkę. Nie spieszyli się, ale może nie było zagrożenia życia. Z helikoptera wysiadł pilot i otworzył tylną klapę, umożliwiając dostęp do wnętrza maszyny.

Z zazdrością patrzyłam na rannego himalaistę. Sanitariusze wyciągnęły go na noszach, z których wysunęły się nóżki z kółkami. Mężczyzna był wsunięty w coś, co przypominało żółty śpiwór, przypięty pasami. Ochroniarz wziął do ręki czarną walizeczkę, od której do noszy biegły kable albo rurki – z odległości nie byłam w stanie rozpoznać, ale nietrudno było odgadnąć, że musi to być jakieś urządzenie medyczne.

– Dziad miał zawał – mruknął Kris. – Patrz, jaki stary. Po co tacy się pchają w góry... Dżizas!

Procesja z rannym ruszyła w kierunku wejścia do szpitala. Wtedy zrozumiałam, że mężczyzna, który otworzył tylną klapę helikoptera, nie był pilotem – pilot wysiadł dopiero teraz. Nie miałam wątpliwości, że to on jest tu panem i władcą, roztaczał aurę pewności siebie i autorytetu. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne, w ręku trzymał podkładkę z jakimiś papierami, zapewne po zakończeniu lotu musiał wypełnić dokumentację. Był wysoki, jak na Nepalczyka nawet bardzo wysoki, szczupły, przed czterdziestką, obcięty na rekruta.

Podeszliśmy do niego i przywitaliśmy się. Kris przedstawił nas i wyłuszczył sprawę. Nie ukrywał faktu, że nie mamy polisy ubezpieczeniowej. Zapewnił jednak, że dysponujemy pieniędzmi, żeby zapłacić za lot.

Nie była to prawda, ale też nie do końca kłamaliśmy. W książce o buddyźmie, którą właśnie tłumaczę, autor wyjaśnia, że my, ludzie Zachodu, jesteśmy przyzwyczajeni do logiki zero-jedynkowej. Od dziecka wbija się nam do głowy, że wszystko jest albo prawdą, albo fałszem. Tymczasem w buddyźmie może nie być ani jednym, ani drugim – albo jednym i drugim jednocześnie.

W naszym wypadku wyglądało to tak, że na ten moment nie mieliśmy wystarczającej sumy, by pokryć koszty lotu ratunkowego, ale było oczywiste, że staniemy na głowie i zbierzemy pieniądze. Chodziło o kwotę rzędu kilkunastu tysięcy dolarów. W oczekiwaniu na lądowanie helikoptera Kris nagrał już krótki filmik, w którym prosi swoich fanów

o wsparcie. Ja miałam jakieś oszczędności, w razie czego poproszę rodziców, znajomych. A nawet siostrę.

Patrząc na skupioną twarz pilota – przystojną, o regularnych rysach – czułam, jak kolejny raz rośnie we mnie nadzieja. Ratunek dla naszych bliskich znów był na wyciągnięcie ręki. Dla turysty na noszach, za którym właśnie zasunęły się przeszkłone drzwi szpitala, niebezpieczna przygoda w Himalajach zakończyła się szczęśliwie. Już był w ciepłe, w zasięgu oddziaływania nowoczesnych urządzeń medycznych i wiedzy lekarzy. Markowi, Kaśce i Bartowi też załatwimy happy end.

– Gdzie dokładnie są wasi bliscy? – zapytał rzeczowym tonem pilot.

Zdjął okulary, popatrzył na nas ciemnobrązowymi oczami. Również ten gest odebrałam pozytywnie, jako oznakę szczerzego zainteresowania.

– Tak jak mówiłem, są na Evereście, a w tej chwili jeszcze... Na siedmiu tysiącach, może odrobinę powyżej – powiedział Kris.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Nikt tak wysoko nie polecą. W ogóle w taką pogodę w rejon Everestu to szaleństwo... – powiedział pilot. – Szaleństwo do kwadratu. Ale przede wszystkim wysokość. Nikt się tego nie podejmie. Nikt. Absolutnie nikt.

Znów poczułam, że tracę oddech, jakby jakaś próżnia wyssała całe powietrze wokół. Pociemniało mi przed oczami.

18. KRIS

Jestem fighterem, ale jak działać, walczyć, starać się, wypruć z siebie żyły dla ratowania ukochanej osoby, skoro złośliwy los nie współpracuje, tylko bez przerwy rzuca kłody pod nogi? Jakby trzy dni temu, wraz z zejściem dwóch lawin na Evereście, rozpoczęła się era zaćmienia.

Wcześniej wszystko szło jak po maśle, nie licząc czekania na okno pogodowe i wejście Kaśki oraz chłopaków na szczyt. Zdarzały się wprawdzie upierdliwości dnia codziennego – w postaci niewygodnej poduszki w hotelu albo rozładowanej baterijki w breloczku subaru. Drobiazgi świadczące o tym, że żyjemy w realnym świecie. Udawało się je załatwić bezproblemowo, od ręki.

Za twarda poduszka? Obsługa hotelowa bez szemrania dostarczyła mi dwie inne, do wyboru, do koloru. Rozładowana baterijka? Kupiłem nową w „mallu” na parterze. Tymczasem od przedwczorajszego wieczoru wszystko, WSZYSTKO idzie nie tak.

Jakby po latach tłustych nastały chude.

Pilot na lądowisku South Kathmandu Hospital odmówił tak kategorycznie, że aż nam kapcie spadły. Po pierwsze, pogoda, po drugie, wysokość. „No go, absolutely, NO GO!”

Poczułem się tak, jakbyśmy proponowali mu przemyt helikopterem koki w hurtowej ilości. Chyba że w tak cyniczny sposób chciał wyciągnąć więcej kasy? Której i tak na razie nie mieliśmy...

Julka upierała się, że dobrze mu z oczu patrzy, ale kto go tam wie. W Warszawie zęby zjadłem na kierowcach taksówek, którzy odwozili mnie nocami do domu – z pracy, z imprez. I nigdy nie przestawało mnie dziwić, że niektórzy wyglądający porządnie, budzący zaufanie, okazywali się małymi chujkami, a ci z mordami jak po wyroku jechali najkrótszą trasą.

Załamani wróciliśmy do auta. Ale nie mogliśmy się poddawać, trzeba było coś robić. Nagrałem relację, w której prosiłem followersów o pomoc w zebraniu pieniędzy na helikopter. Jednak bez prostego linku do zrzutki nie miało to specjalnego sensu. Komu się będzie chciało wypełniać dane do przelewu?

Patrząc na niebo, znów zasnuwające się ciężkimi chmurami, pomyślałem, że trzeba się jak najszybciej zakręcić, żeby taką zrzutkę postawić. Jak już będę miał link, zacznę go promować i może uzbiera się wystarczająca sumka. Plus druga zrzutka wśród krewnych i znajomych królika.

Ktoś musiał się tym zająć porządnie, a my w tej chwili nie mieliśmy do tego głowy. Musieliśmy skupić się na tym, żeby znaleźć śmigło. I odważnego pilota. A czas uciekał. Pomyślałem o kimś w mojej agencji reklamowej. Niestety złożyło się tak, że przed ślubem przeszedłem do konkurencji. W poprzedniej pracy się na mnie obrazili, wyzwalali od zdrajców. A w nowej miałem zacząć dopiero po powrocie z podróży poślubnej, nie znałem tam jeszcze nikogo na tyle dobrze, żeby poprosić o pomoc. Już lepsza będzie teściowa. Matka Kaśki jest średnio ogarnięta,

jeśli chodzi o internet, ale ma koneksje. Warszawka – emerytowana, zblazowana, ale zamożna. Parę groszy pewnie zdoła załatwić.

Niestety, kiedy próbowałem wybrać jej numer, okazało się, że mam zablokowaną komórkę.

Kolejna złośliwość losu, kolejna kłoda rzucona pod nogi.

– Jebany roaming! – zakląłem głośno i z trudem się powstrzymałem, żeby nie cisnąć telefonem o asfalt.

Julka popatrzyła na mnie pytająco.

– Chyba przekroczyłem limit. Miałem ustawione trzy tysiące. I schluss. Daj mi swoją, muszę zadzwonić do teściowej. Potem to jakoś odkręcę. Ja pierdołę, wygadałem już trzy tysiące?

Julka bez słowa odblokowała ekran i podała mi komórkę. Przepisałem numer Zuzanny i wcisnąłem zieloną słuchawkę.

– Halo?

– Mamo, to ja, Kris, posłuchaj, pilna sprawa.

– Ale dlaczego dzwonisz z nie swojego numeru? – Teściowa weszła mi w słowo.

– Nieważne. Posłuchaj, jesteśmy akurat na lotnisku, załatwiamy ten helikopter, ale trzeba wyłożyć kasę, nieważne dlaczego, ale trzeba, więc powiedz, jak z tym stoicie, jakie macie możliwości, myślę, że musimy mieć w gotowości dwadzieścia tysięcy...

– Rupii indyjskich? – Znowu się wcięła. W połowie zdania.

– Dolarów, mamo. Jesteśmy w Nepalu.

– W Nepalu są dolary? – zdziwiła się przesadnie. – Nepalskie?

– Amerykańskie. Nieważne. Taka suma jest konieczna. Dwadzieścia koła. Pewnie finalnie wyjdzie mniej, ale na wszelki wypadek tyle... – Mówiłem na jednym oddechu, bo nie chciałem bawić się w ulubiony sport teściowej, czyli ping-pong słowny.

– Co? Ale jak to? Przecież mają polisę, są ubezpieczeni.

– Naprawdę myślisz, że zwracalbym ci głowę, gdyby można było to załatwić polisą?

– Krzysiu, przecież ja chcę pomóc. W takich nerwach można przeoczyć najbardziej oczywiste. To dlaczego nie można skorzystać z polisy? Jak mnie zalała Bocianowska, to tydzień później miałam pieniądze na koncie. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, na miłość boską.

Niestety, z Zuzanną nie dało się przeskoczyć etapów pośrednich i dojść w miarę szybko do meritum. Idąc asfaltową alejką między budynkami szpitala, musiałem tłumaczyć jej jak dziecku wszystko od początku.

Gotowałem się z frustracji.

Ale moja teściowa rzeczywiście była jak dziecko. Kiedy mąż ją zostawił, dawno temu, to Kaśka musiała przejąć jego obowiązki i stać się głową rodziny. Mimo że miała wówczas chyba ledwie trzynaście lat, musiała zatroszczyć się o matkę, która zupełnie się rozkleiła, i o młodszego brata. Zakupy, obiady, opłaty. Pozyskiwanie pieniędzy. Jak? Sprzedawała część starych mebli, bibelotów i numizmatów po dziadkach, a także przetwory, które sama robiła, bo mieli działkę nad Zalewem Zegrzyńskim. Może dlatego wyrosła na tak twardą i charyzmatyczną kobietę?

– Dobrze, zadzwonię do Kazika – powiedziała w końcu teściowa, kiedy już wszystko jej wyjaśniłem.

Nie miałem pojęcia, kim jest Kazik, zapewne znajomym, który skojarzył się jej z finansami. Może dyrektorem jakiegoś banku?

– Dobrze, mam, skontaktuj się też z ojcem Marka i rodziną Barta i Arka. Masz przecież numery, prawda? Oni też się dorzucają.

– Mam tu gdzieś schowane cztery świnki. Pójdę, sprzedam. Tylko gdzie?

Włos mi się zjeżył na głowie. Uznałem, że teściowa postradała zmysły i gada coś od rzeczy.

– Mam, dzwoń do nich – ponagliłem ją, ale bez przekonania, że działania Zuzanny mogą zakończyć się sukcesem. – Oni na pewno ci pomogą, powiedz im wszystko, bo my musimy tu dalej lecieć. Proszę cię, działajcie wspólnie. I dawaj znać.

Rozłączyłem się. Na szczęście Julka, której zrelacjonowałem rozmowę, wyjaśniła mi, że świnki to zapewne złote monety rublowe, które kiedyś ludzie trzymali jako lokaty kapitału.

Skąd ona wie takie rzeczy, cwana bestia? Jednak czytanie książek oświeca, tłumaczenie tym bardziej.

Wyszliśmy z terenu szpitala i pojechaliśmy do Air Private Nepal. To drugie miejsce, które podali nam w agencji turystycznej. Była to duża firma, oferująca nie tylko loty ratunkowe, ale też turystyczne, cargo,

a także zdjęcia lotnicze. Ich siedziba mieściła się niedaleko lotniska Tribhuvan, w tandetnie przeszklonym czteropiętrowym biurówcu.

Znowu pudło.

Przedstawiciel Air Private Nepal, który z nami rozmawiał, kolejny dzieciak z wąsem, sprawdził pogodę i powiedział, że w ciągu najbliższych 48 godzin, a może i dłużej, nikt przy zdrowych zmysłach nie polecą w rejon Everestu.

– Wiem, wiem, prognoza pogody... – Starłem się, jak mogłem, być cool i friendly. – Ale możesz porozmawiać z jakimś prawdziwym pilotem? Zapytać go? Bo może jednak...

Chłopak upierał się przy swoim, ale my też, a że było nas dwoje na jednego, w końcu ustąpił. Po kwadransie – Jezu, zrobiła się już piętnasta – dołączył do nas pilot.

– Dobra nasza – rzuciłem po polsku. – To jakiś stary wyga, wilk morski...

Siwy pilot mikrego wzrostu wysłuchał nas z uwagą. Odsunął wydruk z prognozą pogody, co wzięłem za dobry omen. Spojrzał na Julkę, po czym utkwiał wzrok we mnie.

– Pogodą się teraz nie zajmujcie. Rzeczywiście, nie da się w takich warunkach tam polecieć – powiedział niskim głosem, niepasującym do jego kieszonkowej postury. – Ale tym się na razie nie zajmujcie, bo za chwilę może się dać. Za chwilę, na chwilę... Zobaczymy. Chmury są, potem nie ma chmur. Ale nawet jak będzie słońce, zero chmur, zero opadu, zero wiatru... Jest inny problem.

– Problemy są po to, żeby je przewycięzać – zripostowałem błyskotliwie, za to niezbyt mądrze. Tak naprawdę wiedziałem, do czego facet zmierza.

– Są za wysoko – kontynuował pilot, cały czas patrząc mi prosto w oczy. – Muszą zejść niżej. Trochę niżej. Wtedy pogadamy.

– Próbują zejść, będą próbować, ale... Jeden z nich jest dość mocno poturbowany przez lawinę... – wtrąciła Julka.

Ale ja wiedziałem, o co mu chodzi. Staremu wydze nie trzeba było przypominać, że Bart jest ranny. Przecież przed chwilą mu to powiedzieliśmy. On patrzył na mnie i z samego spojrzenia się domyśliłem. Zrozumieliśmy się bez słów.

Rzeczywiście, mamy problem – pomyślałem. Z gatunku etycznych. Czy można poświęcić jedno życie, żeby ocalić dwa inne?

Pilot nie powiedział już nic więcej. Oddał nam prognozę pogody i wyszliśmy z biurowca.

– Wiesz, o co chodzi? – bardziej stwierdziłem, niż spytałem, kiedy ruszyliśmy w kierunku auta.

Julka przetarła dłonią zmęczoną twarz i spojrzała na mnie w milczeniu.

– Założmy nawet, że Damian i ten jego Szerpa pójda na górę i dadzą radę. I doniosą im ten sprzęt, z którym będą w stanie ruszyć w dół – mówiłem, bawiąc się breloczkiem z kluczykami od samochodu. – To co z Bartem?

– Nie wiemy tak naprawdę, w jakim jest stanie. Może da radę zejść.

– A jak nie?

– To mu pomogą. W cztery osoby, jak już Damian do nich dotrze... Na pewno dadzą radę sprowadzić go niżej.

– A jak nie?

Chciałem, żeby to ona powiedziała na głos to, co zasugerował stary pilot. Ranny Bart jest dla nich obciążeniem. Nie ma sensu chować głowy w piasek. By helikopter był w stanie ich podjąć, będą musieli zejść niżej. Z Bartem to może być niewykonalne. Siedząc z nim, jak z kulą u nogi, na zbyt dużej wysokości, narażają i jego, i siebie.

– Gadasz jak zdarta płyta – powiedziała Julka, po czym zgromiła mnie wzrokiem.

Wiedziałem, że ona wie, o co mi chodzi, bo przykryła niewygodną prawdę lawiną słów.

– Na razie jest piętnasta, a my nie mamy dla nich helikoptera. Nie wierzę, że tego nie da się zrobić, po prostu nie wierzę – mówiła nerwowo. – Skoro w szpitalu wysokość nie była problemem, tylko spławili nas, bo pogoda, a tutaj pogoda nie przeszkadza tak bardzo jak wysokość, to znajdziemy takiego pilota, dla którego ani pogoda, ani wysokość nie jest zaporą...

– Tak, będzie to chyba Japończyk. Harakiri Kamikadze – mruknąłem.

– Przestań. Nie poddajemy się. Działamy.

Przestałem. Zaimponowała mi. Okazała się bardziej kłódoodporną niż ja.

19. JULIA

Wiedziałam, że pilot helikoptera sugeruje, żebyśmy przekonali Marka i Kaśkę do pozostawienia Barta i zejścia niżej tylko we dwoje. Nawet nie chciałam dopuścić tej myśli do siebie, ale czułam, że u Krisa padła ona na bardziej podatny grunt. Być może zaczęła już kiełkować.

Dobiła mnie jeszcze siostra, która przysłała esemesa z kolejną porcją rad: „A gdybyście mieli dziecko? Albo jakbyś była w ciąży? Przecież to się zdarzy, bo kiedyś będziesz chyba w ciąży, a on dalej będzie jeździł w te góry. Jak możesz narażać swoje nienarodzone dziecko na taki stres? Potem urodzi się wykoślawione na całe życie, fakt naukowy”. Nie wytrzymałam. Odpisałam jej, że albo jest okropną, bezduszną siostrą, jeśli w takiej chwili serwuje mi coś takiego, albo kompletnie straciła wyczucie sytuacji. Dodałam, żeby niczego więcej mi nie przysyłała, bo blokuję jej numer.

Krisowi zaś powiedziałam, żeby przestał snuć hipotezy, co Bart będzie albo czego nie będzie w stanie zrobić. Liczy się tu i teraz. Na tym się skupmy. Tego uczy buddyizm.

– Tu i teraz jesteśmy w czarnej dupie – odparł bez namysłu.

– Nie. Tu i teraz jesteśmy przy lotnisku. Nie wracajmy jeszcze do hotelu, poszukajmy... Na pewno są tu jeszcze jakieś firmy, które oferują przeloty helikopterami. Gdzie jak nie tu? I może to jednak nie jest tak, jak on powiedział, że się nie da.

– Okej, poszukajmy. – Kris przystał na moją propozycję po chwili namysłu. – Może nie jest...

Na obrzeżach parkingu stało kilka baraków ze spłaszczonymi trójkątnymi dachami. Znajdowały się w nich biura rozmaitych firm powiązanych z lotniskiem. W pierwszym z nich znaleźliśmy siedzibę Nepal Heli Charter Services, a także Air Travel Kathmandu. W obu miejscach dostaliśmy stanowcze odmowy, ale nie miałam zamiaru się poddawać. Kiedy wyszliśmy z kolejnego baraku, w którym nie znaleźliśmy żadnej firmy oferującej loty, uruchomiłam mapę w komórce, żeby szukać dalej.

– Do you need a heli evacuation?⁶ – usłyszałam nagle za plecami.

Odwrociłam się. Zmierzał ku nam młody mężczyzna o wyglądzie buddyjskiego mnicha. Nie chodziło tylko o ogoloną na zero głowę. Miał coś uduchowionego w twarzy i w ruchach. Szedł płynnym krokiem, jakby unosił się centymetr nad ziemią. Jego duże, ciemne oczy patrzyły na nas łagodnie, ze spokojem, a ciemnoczerwony, puchowy bezrękawnik kolorem przypominał mniśią szatę. Nie był to ubiór adekwatny do panującej w Katmandu temperatury, ale pomyślałam, że mężczyzna może przyleciał niedawno z gór, z wysokości, na której jest zimno.

– Namaste – przywitał się, składając przy tym ręce jak do modlitwy i skłaniając głowę. Następnie wręczył Krisowi wizytówkę.

– Jestem Taral, tak mam na imię. Powiedzieli mi, że chodzicie i szukacie helikoptera. Reprezentuję agencję, która organizuje loty, między innymi do base campu na Evereście z lądowaniem na Kala Patta. Może mogę wam pomóc?

– Ale nam chodzi o akcję ratunkową – powiedziałam, nie kryjąc rozczarowania.

– I to... trochę wyżej niż Kala Patta – dodał Kris.

– Loty ratunkowe też, jak najbardziej. Powiedźcie, jaka jest dokładnie sytuacja. Trzeba działać szybko?

– Bardzo szybko! – wypaliłam.

Mężczyzna w czerwonym bezrękawniku zrobił na mnie dobre wrażenie. Skupiony, słuchający, empatyczny. Myślał inaczej, nie jak żywy folder informacyjny przekazujący jedynie suche fakty na temat ceny i warunków wynajmu helikoptera. Widać było, że wczuwa się w naszą sytuację. A jednocześnie nie obiecywał niczego w ciemno. Studził nasz entuzjazm, nie odbierając przy tym nadziei. Jego zachowanie było wyważone. Wyjął komórkę i od razu zadzwonił do – jak powiedział – najlepszego pilota w firmie. Rozmawiał z nim dłuższą chwilę, po czym spojrzął na nas i uśmiechnął się, przytykając na moment oczy.

– Pilot jest na tak...

– I wie o siedmiu tysiącach? – upewnił się Kris.

Taral pokiwał głową.

– Już tu jedzie – powiedział i znów uśmiechnął się niczym Budda.

Miałam ochotę go wyściskać! Spadł nam z nieba, ale to los go zesłał – los, który może w końcu się do nas uśmiechnąć.

Umówiliśmy się za dwie godziny. Tyle czasu potrzebował, żeby zdobyć pozwolenia i inne papiery i przypilnować, by technicy przygotowali maszynę. My zobowiązaliśmy się, że w tym czasie zorganizujemy pieniądze. Dwadzieścia tysięcy dolarów w sto dwadzieścia minut. Może i wyglądał jak uduchowiony mnich, ale był przedsiębiorcą, twardo stąpał po ziemi.

– Ile masz przy sobie kasy? – spytał Kris, kiedy szybkim krokiem wracaliśmy do samochodu.

– W sensie gotówki? – odpowiedziałam, próbując przekrzywić huk boeinga, który właśnie oderwał się od pasa startowego. – Jakieś tysiąc dolarów.

– Ile?

– Tysiąc! Może trochę więcej.

– Ja niecałe dwa – odparł, ściągając bejsbolówkę. Przeczesał włosy i westchnął głęboko. – I nie damy rady w tak krótkim czasie skombinować więcej.

– To co teraz? – Przestraszyłam się.

Kris zwlekał z odpowiedzią. Wsiedliśmy do auta. Odwrócił jeszcze głowę w kierunku lotniska, jakby szukał wzrokiem Tarala.

– Chyba nie da się go przekonać, że wystarczy zaliczka – powiedział w końcu, ruszając. – Będziemy musieli go trochę zaczarować.

– To znaczy oszukać?

– Nie, no skąd. Oszukalibyśmy, jakbyśmy mu nie zapłacili. A przecież zapłacimy. Tylko nie ma opcji, żeby w dwie godziny udało się zebrać tyle kasy. Moja teściowa to nie jest Speedy Gonzales. A nawet jakby jakimś cudem się udało, kasy nie da się tak szybko przestać z Polski. Musimy myśleć realistycznie.

Zatkało mnie. Patrzyłam w milczeniu, jak Kris manewruje kierownicą. Wyjechaliśmy z parkingu.

– Trzeba go lekko zbajerować, żeby kupić czas – dodał, skręcając w prawo i gwałtownie przyspieszając.

Niby miał rację, ale poczułam jakby zadrę w brzuchu. Taral był dla nas tak miły i starał się być pomocny... Nie jestem przesądna, ale pomyślałam, że jeśli zaczniemy kombinować, karma wróci, a los nas pokarze.

Tak przynajmniej głosi tłumaczona przeze mnie książka o buddyźmie.

– Ale jak go chcesz zbajerować? – dopytywałam. – Przecież nie wydrukujesz tych brakujących pieniędzy.

– Zobaczymy – odparł enigmatycznie. – Może wydrukuję... Na razie wykręć do mojej teściowej. Albo napisz jej esemesa, żeby do mnie zadzwoniła. Zobaczymy, ile już wpadło do skarboneczki.

✱

Po powrocie do hotelu przeliczyliśmy całą gotówkę. Mieliśmy dokładnie 2845 dolarów i rupie nepalskie o wartości kilkuset złotych. Coś jeszcze dało się wyciągnąć z kart kredytowych, ale to już był koniec naszych możliwości finansowych na tu i teraz.

Kris ramieniem trzymał przy uchu komórkę i poganiał teściową. Jednocześnie wpatrywał się w ekran laptopa i pisał na klawiaturze. Ja w swoim telefonie przewijałam komentarze pod jego najnowszym nagraniem, w którym poprosił o wpłaty datków.

W gardle formowała mi się gula.

„Debile się tam pchali, niech teraz sami płacą za helikopter”

„Nie dam ani grosza, stać ich było na egzotyczne wakacje, a nie mają kasy na helikopter? Hipokryci!”

„Nominację do Nagrody Darwina mają w kieszeni”

„Niech sponsorzy wybulą im tę kasę, kurde, no!”

– Nie wiesz, czy na dole jest drukarka? – zapytał zniecierpliwiony Kris.

Dobrą chwilę zajęło mi, nim zrozumiałam, o co mu chodzi. Nie miałam pojęcia, czy w lobby, w kąciaku komputerowym dla gości hotelowych, stoi drukarka. Nie dopytywałam, do czego jest mu potrzebna.

Wyszliśmy z pokoju i zjechaliśmy na dół. Na dwóch misternie rzeźbionych biureczkach z ciemnego drewna stały stare komputery stacjonarne. Drukarka nie była do nich podłączona. Na szczęście poratował nas recepcjonista, zresztą chodziło tylko o jedną stronę.

Kris wręczył recepcjoniście pendrive, ten po chwili wrócił z zaplecza z wydrukiem.

– Co to jest? – spytałam.

– Chodź, opowiem ci w aucie. Szkoda czasu.

20. KRIS

Spreparowałem potwierdzenie przelewu siedemnastu tysięcy dolarów na konto wypisane na wizytówce, którą dał nam koleś od helikoptera. Po prostu zalogowałem się do banku, wszedłem w historię i ściągnąłem odpowiedni dokument, który wystarczyło lekko przerobić w programie graficznym. W internecie znalazłem kod SWIFT nepalskiego banku Kumari, a dokument okraśliłem klauzulą, że na mocy artykułu siódmego ustawy o prawie bankowym nie wymaga on podpisu ani stempla.

– Nie, Kris, to bez sensu – protestowała Julka, kiedy wyjawiałem jej swój plan. – Nie możemy tak. Powiedzmy mu prawdę. Że zrobimy przelew, tylko trochę później...

– Jezu, czy ty zawsze musisz być taka świętojeblniwa?

– Przecież uda nam się zgromadzić te pieniądze, może jeszcze dziś. Twoja teściowa, moi rodzice, rodzice Barta, ojciec Marka... Wszyscy działają.

– Tym bardziej możemy pokazać mu to potwierdzenie. – Wzruszyłem ramionami. – Przelew i tak będzie szedł... Nie wiem, kilka dni. Przecież to zagraniczna transakcja, tego się nie da zrobić od ręki. Nie chcę ryzykować, że facet się zbiesi.

– Nie róbmy tego...

– Bo co?

– Bo karma wraca.

– Dżizas, wyluzuj, on i tak przecież nie dojdzie, że to fejk. Nawet jeśli bym naprawdę puścił ten przelew teraz, nie byłoby opcji, żeby to potwierdzić. To trwa. Więc nie robimy nic złego. A nie znasz mentalności tych ludzi. Na gębę niczego tu nie załatwisz, musi być potwierdzenie na papierze. Naprawdę nie rozumiem, w imię czego tak się pultasz.

Julka złapała się za głowę. Aż się zrobiła czerwona na twarzy.

Jaka ona jest naiwna – pomyślałem. Gdzieś ty się uchowała, dziewczyno? W bezwzględny świecie biznesu, niepłaconych w terminie faktur i całego tego kombinowania, które w agencji reklamowej było dla mnie na porządku dziennym.

– Oni na pewno nie zgodzą się polecieć na podstawie jakiegoś świstka! – argumentowała. – Pewnie on nam powie, że jeśli nie mamy

na miejscu żywej gotówki, to żeby to przesłać jakimś money transferem. Skoro, jak mówisz, musi być dokument.

– Jezu, kobieto, nie utrudniaj. To wtedy powiemy mu, że trudno, już puściliśmy przecież przelew. Drugi raz nie będziemy płacić. Zobaczysz, ja to załatwię. Tylko się nie wtrącaj, pliz... Trzeba mieć wycucie.

Mam nie tylko wycucie, ale i dar przekonywania. Wiedziałem, że sobie poradzę. Julka była prostolinijna, brakowało jej genu szaleństwa, na szczęście w końcu odpuściła. Kazałem jej wziąć i przeliczyć całą naszą gotówkę, żeby poczuła się lepiej. Założę się, że w samorządzie szkolnym była skarbnikiem.

Kiedy drugi już dzisiaj raz ruszyliśmy w drogę z hotelu na lotnisko Tribhuvan, monsunowe chmury znów siknęły deszczem. Pomyślałem, że niedługo zacznie zapadać wieczór. I ten pieprzony helikopter musi dziś wystartować, choćby się waliło i paliło.

Musi, po prostu musi! I żadna karma mnie nie powstrzyma. Nie mogłem dopuścić, żeby Kaśka spędziła kolejną straszną noc, walcząc o przetrwanie.

21. JULIA

Tarał czekał na nas w tym samym miejscu, w którym rozmawialiśmy dwie godziny wcześniej. Już z daleka uśmiechnął się na nasz widok, zamachał i podniósł kciuk w górę.

Serce podskoczyło mi z radości.

– Dalej nie mogę uwierzyć – powiedziałam drżącym głosem, kiedy podeszliśmy bliżej. – Lecicie? Ściągniecie ich?

– No jasne. Lecimy.

– Jeszcze dziś?

– Tak, wszystko z naszej strony już załatwione. Wszystko gotowe.

– Dziękuję!

Nie dałam rady powstrzymać emocji. Podbiegłam do Tarala i przytuliłam go mocno. Onieśmielony zaśmiał się i poklepał mnie po plecach.

– Będzie dobrze – powiedział.

– Ale w takim razie powiedz mi, Taral, dlaczego inni piloci nie chcieli? Czy to nie jest zbyt niebezpieczne? – zapytałam, podczas gdy Kris sięgał do plecaczka po kopertę z dolarami i fałszywe potwierdzenie.

Nagle obleciał mnie nowy strach. Co jeśli pilot Tarala jest szaleńcem? Zaślepionym żądzą zarabiania dolarów... Może Markowi i pozostałym zagrozi nowe niebezpieczeństwo? Uciekną z Everestu, ale wpadną na minę pod tytułem brawura. Oczyma wyobraźni widziałam, jak helikopter rozbija się podczas burzy śnieżnej. Takie przypadki zdarzały się w Himalajach. Może rację mieli ci piloci, którzy nam odmówili?

– Wydziwiasz – mruknął po polsku Kris.

– Julia, nie martw się – odpowiedział Taral i popatrzył mi prosto w oczy. – My mamy najlepszy helikopter, najnowocześniejszy, airbus H125. Inni takiego nie mają. My mamy świetnego pilota. Najlepszego. Były wojskowy. Latał w armii, wiele lat. Dzięki niemu mamy dostęp do wojskowej prognozy pogody. Bardzo dokładnej. I ona nie jest już tak zła jak rano. Jest też bardzo dokładna i naprawdę można na niej polegać. Wszystko się uda, zobaczycie...

Miałam ochotę jeszcze raz objąć go i mocno uścisnąć, ale czułam na sobie tonujące spojrzenie Krisa. Nadzieja, która tliła się w moim sercu, buchnęła żywym płomieniem.

– Jeszcze raz wielkie dzięki...

Nagle chciałam powiedzieć mu prawdę o pieniądzach. Przecież on to zrozumie i nie odwoła akcji ratunkowej tylko dlatego, że jeszcze na ten moment nie zebraliśmy pełnej sumy.

Kris chyba mnie przejrzał, bo kiedy otworzyłam usta, posłał mi miazdzące spojrzenie.

– Mamy pieniądze – powiedział pospiesznie i wcisnął Taralowi kopertę z dolarami i wydruk. – Część w gotówce, a część poszła przelewem, tu masz potwierdzenie.

Mężczyzna bez słowa wziął kopertę. Zmarszczył czoło. Łagodny uśmiech, który dotąd nie schodził mu z twarzy, zniknął.

Oświecony Budda znów zstąpił na ziemię, by stać się biznesmenem.

22. KRIS

W mojej głowie Lady Gaga nieznosnie śpiewała „Poker Face” ⁷ . Byłem poddawany testowi, ale wytrzymałem spojrzenie Nepalczyka, któremu naściemniałem, że zadrukowana kartka papieru, którą trzyma w rękę, jest warta prawie sto tysięcy złotych.

Cel uświęca środki.

Piosenka w mojej głowie ucichła na chwilę, zagłuszył ją huk startującego samolotu. Spojrzałem w górę, ponad głową faceta w czerwonym bezrękawniku. Kilkadziesiąt metrów dalej, za płotem i szerokim trawnikiem, przebiegał pas startowy lotniska Tribhuvan. Niewielka prywatna maszyna rozpedziła się i wzbiła w powietrze.

Znów skupiłem się na ciemnobrązowych oczach Nepalczyka, starając się kontrolować każdy mięsień mojej twarzy. Nie chciałem okazać niepewności, ale też przesadnego wyluzowania, które mogło wypaść sztucznie. Powstrzymałem więc uśmiech, który pchał mi się na usta. Lata praktyki w agencji reklamowej wreszcie na coś się przydały. Zawodowo wciskam kit. Najpierw moim klientom, potem klientom moich klientów. Nieskromnie mówiąc – jestem mistrzem bulszitu.

– W porządku – powiedział w końcu Nepalczyk, chowając wydruk i kopertę z dolarami do kieszeni bezrękawnika. – Wierzę wam. Działamy.

Julka przymknęła oczy i odetchnęła z ulgą.

Ja jeszcze nie. Ją też rozgryzłem. Czułem, że przez cały czas nosi się z zamiarem powiedzenia facetowi prawdy o przelewie. Dlatego nie spuszczałem z niej oka, by miała poczucie, że jej pilnuję. Mogliśmy się wyłożyć na ostatniej prostej. Jedno małe głupstwo, nawet wypowiedziane w dobrej wierze, mogło zniweczyć cały plan.

– Dziękujemy – powiedziałem, uśmiechając się lekko. – W takim razie... co teraz? O której start?

– Pójdę zaraz nadzorować tankowanie. – Mężczyzna sięgnął znów do kieszeni i wyjął kopertę, pewnie chciał jeszcze raz przeliczyć, ile ma gotówki. – Wy wracajcie do hotelu. I na razie nie myślcie o tym.

– Ale jak to? – zdziwiłem się.

– Co jak to?

– Chcemy... dalej w tym uczestniczyć.

– Przecież nie polecicie tam. – Mężczyzna spojrzał na mnie jak na wariata.

– Dlaczego nie?

– To niemożliwe. Helikopter musi być jak najlżejszy. Jak piórko! – tłumaczył Nepalczyk, a dobroduszny uśmiech nie schodził mu z twarzy. Traktował mnie jak dziecko, a może jak idiotę. – Nawet tak bardzo leciutki, że trzeba pewnie będzie zabierać ich pojedynczo. Im wyżej, tym radsze powietrze i śmigło musi bardziej kręcić, żeby helikopter nie spadł.

– No tak, wiem przecież, ale... – Nie chciałem dać za wygraną.

– Wracajcie do hotelu. Szkoda czasu. Działamy. Będę do was dzwonił. W trakcie lotu i jak wylądujemy. Będę was informował na bieżąco. I jak już będziemy lecieć z powrotem, to wtedy przyjedziecie ich powitać...

Julka pokiwała głową ze zrozumieniem. Ja chciałem jeszcze oponować, ale w tym momencie zaczęła dzwonić mi komórka. Zerknąłem na wyświetlacz. Dzwoniła teściowa.

– Przepraszam na chwilę – powiedziałem. – To ważne.

Odszedłem kilka kroków i odebrałem połączenie. Pierwszą minutę rozmowy zajęło mi spacyfikowanie Zuzanny. Domagała się informacji „w trybie pilnym”, zapewnień, uspokojenia, bo naczytała się jakichś artykułów w internecie, w których eksperci od himalaizmu oceniali szanse na ratunek jako „malejące z każdą godziną” albo „przechodzące z nikłych w iluzoryczne”.

– Mamo, to wszystko bzdury. Nie denerwuj się. Fejk niusy! Po co to czytasz? Dziennikarze to hieny, specjalnie podkreślają emocje. Mam ci przypomnieć, co wypisywali pierwszego dnia?

– Jak mam się nie denerwować?! Nie masz dzieci, to nie zrozumiesz.

– Może poproś wujka Rafała o jakąś tabletkę... – zasugerowałem, bo wiedziałem, że jej krewny jest emerytowanym lekarzem.

– Żartujesz? – Aż się zachłysnęła.

Otworzyłem usta, żeby się wytłumaczyć, ale nie dała mi dojść do słowa.

– Ja już od wczoraj jadę na uspokajaczach. Pierwsza rzecz to do niego zadzwoniłam. Wzięłam nawet te tabletki, które dajemy Konstancji, jak zaczynają strzelać w sylwestra.

Mimowolnie się uśmiechnąłem. Konstancja była kundelkiem mojej teściowej, równie rozhisteryzowanym jak jego pani.

– Mamo, naprawdę działamy – zapewniałem ją. – Właśnie załatwiłem helikopter. Wystartuje lada moment. Za dwie godziny Kaśka będzie tu

ze mną.

– Naprawdę?

– Naprawdę. No, może za dwie i pół, w porywach do trzech. Ale teraz to już tylko formalność. Taksówka. Powietrzna taksówka. Właśnie ją tankują. Widzę to! Emerytowany pułkownik nepalskiej armii siedzi za sterami.

– Jak to? Jakiś dziadek? – Teraz Zuzanna się przestraszyła.

– Nie, mam! Jurny byk w sile wieku! No przecież wiesz, jak wojskowi przechodzą na emeryturę.

– Tam też?

– Też, też. Wszystko załatwione. I to na najwyższym poziomie.

– O Boże... – W głosie teściowej usłyszałem ulgę. – To alleluja! I do przodu. Znaczą do góry!

Przetarłem spocone czoło i odwróciłem się, żeby zerknąć na Julkę i Nepalczyka.

– Tak, tylko posłuchaj. – Ściszyłem głos, choć przecież mówiłem po polsku, więc nie mógł nic zrozumieć, nawet jakby mnie słyszał. – Trzeba jak najszybciej zebrać i wysłać tę kasę za helikopter, bo na razie zaklepaliliśmy wszystko na lewy papier...

– To ty posłuchaj – weszła mi w słowo. – Przecież właśnie z tym dzwonię. Załatwiłam wam występ u Małgoški. Wejście na żywo o siedemnastej i obiecali, że powiedzą o zbiórce.

– U jakiej Małgoški?

– No jak to jakiej? Rudnickiej.

Ucieszyłem się. Małgorzata Rudnicka była znaną dziennikarką stacji newsowej. I okazała się znajomą znajomej mojej teściowej. Ogólnopolski kanał to było naprawdę coś. Skarciłem się w myślach, że nawet w takiej chwili myślę o zasięgach, ale usprawiedliwiałem się, że to dla dobra Kaški. I pozostałych.

Kto wie, ile finalnie przyjdzie nam zabulić. Sam przelot helikoptera to był dopiero początek wydatków. A jeszcze ten Nepalczyk wspomniał, że może każdego trzeba będzie ewakuować osobno. To wydatki razy trzy? Przecież taki helikopter ssie paliwo jak wariat. A potem może będą potrzebowali pomocy lekarskiej. Bart na pewno, nie wiadomo, na jak długo położą go do szpitala, a przecież nie mają polisy ubezpieczeniowej. Za wszystko trzeba będzie zapłacić.

Lajf iz brutal i za darmo to można co najwyżej dostać wpierdol.

Zuzanna miała ochotę gadać w nieskończoność, ale w końcu udało mi się ją spławić. Chowając komórkę do kieszeni, wróciłem do Julki.

– Gdzie nasz frajer? – zażartowałem, ale Julka zaraz zgromiła mnie wzrokiem.

– Pobiegł już, żeby wystartowali jak najszybciej. Powiedział, że muszą się sprężyć, jeśli mają obrócić przed wieczorem.

Nagle ogarnęła mnie podejrzliwość. Jakoś za gładko to wszystko poszło. Wcześniej kłody pod nogi, a teraz nagle przyspieszyło. Mamy helikopter, megawyrozumiałego pośrednika, zaraz na antenie dużej stacji pójdzie info o zbiórce. Może rzeczywiście już dziś puścimy cały przelew i jeszcze zostanie na napiwek w najlepszej knajpie w Katmandu, w której będziemy świętować całą piątką.

Czy to nie było zbyt piękne?

– Ja w międzyczasie zadzwoniłam do Damiana, ale nie odbierał – kontynuowała Julka. – Więc napisałam mu, żeby dał chłopcom znać, że lecą po nich. Żeby dodać im otuchy... Żeby się szykowali.

W odpowiedzi pokiwałem głową. Zerknąłem na komórkę. Na ekranie nadal miałem informację „emergency calls only”. Zakląłem w myślach. Jeszcze nie zdjęli mi blokady za przekroczony rachunek, nie mogłem dzwonić.

– Zadzwoń do UHK – powiedziałem. – Im też powiedzmy.

Julka wybrała numer. Mówiła po angielsku z naturalnym brytyjskim akcentem. Jakbym nie wiedział, że jest Polką, wziąłbym ją za native speakera.

– Daj mi tę wizytówkę. – Nagle przeszła na polski i wyciągnęła do mnie rękę. – Wizytówkę Tarala.

Spełniłem jej prośbę, po czym zacząłem zerkać w stronę lotniska. Nad pasem startowym kołował kolejny, jeszcze mniejszy samolocik, który na razie bzyczał jak trzmiel. Zastanawiałem się, jak wygląda tankowanie helikoptera, czy podjedzie tu gdzieś jakaś cysterna?

Julka dalej prowadziła rozmowę, ale ton jej głosu się zmienił. Zaczęła głośniej oddychać, kręcić głową i powtarzać przez ściśnięte gardło: „What?” i „What do you mean?”

Cholera. Coś się stało. Pociągnąłem ją delikatnie za łokieć, bo chciałem zwrócić na siebie jej uwagę i powiedzieć, żeby przełączyła

rozmowę na głośnik. Ona jednak rzuciła do słuchawki szybkie „goodbye” i zakończyła połączenie.

– Oni mówią, że to oszuści! – krzyknęła, a oczy momentalnie się jej zaszklily. – Że nie będzie żadnego helikoptera. Że ta firma to naciągacze!

23. JULIA

– Gdzie on poszedł? – spytał Kris. – Kurwisyn! Szybko! Dorwiemy go.

– Ten trzeci hangar, tam... za tym barakiem.

Kris zaczął biec we wskazanym kierunku, a ja za nim. Trzęsły mi się nogi. Z oburzenia? Ze strachu?

– Dobrze, że zadzwoniłaś. Weźmiemy go z zaskoczenia... Spokojnie, nie ucieknie nam, nie ma jak.

Rzeczywiście, wyglądało na to, że można się stąd wydostać tylko tą drogą, którą przyjechaliśmy. Z drugiej strony baraków i hangarów było lotnisko, otoczone wysoką siatką i drutem kolczastym.

– Powiedzieli mi... Znają ich. – Roztrzęsiona relacjonowałam rozmowę z UHK. – Oni naciągają turystów, biorą zaliczki, obiecują wycieczki, a potem znikają i...

– Kumam – wszedł mi w słowo Kris. – Zabiję gnoja!

Biegliśmy. Nie mogłam uwierzyć, że daliśmy się tak podejść. Ale kto by przypuszczał, że można zerować na cudzym nieszczęściu? Nawet najwięksi zwyrodnialcy powinni powstrzymać chciwość w obliczu ludzkich tragedii.

Nie mieściło mi się to w głowie. Zwłaszcza że Taral wydawał się taki sympatyczny. Ale co to ma do rzeczy – skarciłam się w myślach. Facet zabrał nam całą gotówkę. Musieliśmy ją odzyskać.

– Skurwysyn! – Kris dawał upust emocjom. – A taki wydawał się uduchowiony. Najciemniej pod jebaną latarnią.

Ręce miał zaciśnięte w pięści. Dobiegliśmy do hangaru. Kris szarpnął za klamkę. Drzwi prowadzące do środka były zamknięte, ale kilka metrów dalej zauważyliśmy uchyloną gigantyczną bramę, przez którą wtacza się i wytacza śmigłowce i awionetki.

Wpadliśmy do środka, ale w hangarze nie było żywej duszy. Przy bocznej ścianie stały dwa metalowe wózki pomalowane jaskrawą żółtą farbą. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę jakiś ruch, ale to tylko kołysała się od wiatru lampa zawieszona wysoko, pod sufitem.

– W następnym? – zasugerowałam.

Nie zwróciłam uwagi, dokąd dokładnie skierował się Taral, po tym jak się ze mną pożegnał. Nie byłam nawet pewna, czy wszedł do hangaru. Ale musiał tu gdzieś być, nie przeszedł przecież przez ogrodzenie lotniska. By uspić naszą czujność, musiał kręcić się w pobliżu helikopterów, udawać, że załatwia tu gdzieś tankowanie. Tak naprawdę czekał, aż sobie pójdziemy, żeby mógł się zmyć. Dlatego tak nalegał, żebyśmy wracali do hotelu.

Zaczęliśmy biec w stronę drugiego hangaru.

– Ja będę mówił, okej? – zdecydował Kris. – Na szczęście mamy element zaskoczenia. Gnoj nie wie, że wiemy.

Nagle z drugiego hangaru, którego brama była szeroko otwarta, wyprysnął skuter. Kierował nim krępy mężczyzna w czarnym kasku, a z tyłu siedział Taral. Nie sposób było się pomylić. Choć twarz również chował pod kaskiem, w oczy rzucał się jego charakterystyczny czerwony bezrękawnik.

Nie miałam pojęcia, jak ich zatrzymać. Krzyżeć? Na szczęście Kris nie stracił zimnej krwi. Stanął na drodze rozpedzonej maszyny. Wszystko zadziało się w ciągu kilku sekund. Kierujący skuterem skręcił, żeby wyminąć Krisa, a pasażer wyprostował nogę. Nie kopnął – raczej pozwolił, żeby siła rozpędu maszyny przeniosła uderzenie prosto w spłot słoneczny ofiary.

– Kris! – krzyknęłam.

Mój towarzysz niedoli poleciał do tyłu i z impetem upadł na beton. Skuter minimalnie się zachybotał, ale nie zwolnił. Wręcz przeciwnie, oddalał się z coraz większą prędkością.

– Kris!

Rzuciłam się biegiem w kierunku Krisa, który leżał na plecach, z głową na betonie, nie dając znaku życia.

24. KRIS

– Nic ci nie jest? Kris? Kris!

Słyszałem głos Julki, ale przed oczami miałem ciemność. Widocznie odruchowo je zamknąłem, padając na beton. Bałem się, że pękła mi czaszka i już się nie podniosę. Zrobiło mi się niedobrze. Leżałem na deskach i byłem liczony.

Nieuchronnie nadchodził nokaut.

Trzy, cztery, pięć...

Za chwilę zacznie się trzecia doba od zejścia lawiny, a Kaśka nadal tkwi bez sprzętu, bez tlenu, bez jedzenia, w środku śnieżnej nawałnicy na zboczach Everestu.

Sześć, siedem...

Właśnie straciliśmy wszystkie pieniądze, całutką gotówkę. Daliśmy się zrobić jak dzieci. Gdzie były moje lata doświadczeń z nieuczciwymi kontrahentami spod znaku „tylko idioci płacą ostatnią fakturę”? Dlaczego nie zapaliła mi się czerwona lampka?

Osiem, dziewięć...

Zaciskam powieki. Perspektywa uratowania Kaśki i pozostałych coraz bardziej się oddala. Nie mam bladego pojęcia, co robić. Nie mam planu, nie mam pomysłu, nie mam siły. Nie mam nic.

Wiem tylko jedno. Nie mogę się poddawać. Muszę walczyć. I ślubuję ci... W zdrowiu i chorobie... Dopóki śmierć nas nie rozłączy...

Nim w moich myślach padło „dziesięć”, otworzyłem oczy. Zobaczyłem nad sobą przerażoną twarz Julki.

– Kris!

– Nic mi nie jest – powiedziałem, z trudem powstrzymując kaskadę przekleństw.

To nie była prawda. Choć – jakimś cudem – padając, nie przywaliłem głową w beton, bolały mnie klata i brzuch, po tym jak przykopał mi pierdolony gnój w czerwonej kurtce, i prawe biodro, na które chyba bardziej upadłem niż na lewe. Nie wiem, czy biodro może być złamane, miałem nadzieję, że jest tylko obite.

– Nie przejmuj się. Damy radę – próbowałem pocieszać Julkę. Dziewczyna całkiem się rozkleiła.

– Jak? Jak?! Nie mamy pieniędzy, nie mamy szans... – powtarzała, a zęby szczękały jej, jakbyśmy byli na mrozie. – Dlaczego nas tak szukali?

Nie wiedziałem, co mam jej odpowiedzieć. Cała się trzęsła. Ze strachu, ze zdenerwowania. Przyciągnąłem ją do siebie i przytuliłem jak dziecko. Dał się słyszeć huk silników, do lądowania podchodził wielki samolot w barwach FedExu.

– Musimy wziąć się w garść. Będzie dobrze. Bo... Nie zdążyłem ci powiedzieć... – Rozpaczliwie szukałem pomysłu, jak ją pocieszyć. – Rozmawiałem z teściową. Zaraz mamy wejście na żywo w ogólnopolskim programie. Powiemy o zbiórce, nagłośnimy całą sprawę. To nam bardzo pomoże, zobaczysz... Odzyskamy kasę. Z nawiązką.

– Ale co nam po pieniądzach, jak nie mamy helikoptera?!

– Wszystko po kolei. Helikopter też zdobędziemy. Ale do tego wejścia na żywo musimy się przygotować. Zaraz zadzwonię i ustalimy szczegóły. Albo nie, ty zadzwoń, przecież ja mam zablokowany telefon. I musisz zrobić się na bóstwo, brzydkim dają mniej pieniędzy, fakt udowodniony naukowo...

Wiedziałem, że nie mogę dopuścić, by Julka się załamała, więc gadałem jak nakręcony, starając się nawet śmieszkować. Mimo że biodro bolało mnie coraz bardziej, a groza sytuacji sprawiała, że ja też najchętniej usiadłbym na betonie i się rozpłakał.

Najgorsze kurestwo w wykonaniu oszusta w czerwonej kurtce nie polegało na tym, że naciął nas na trzy tysiące baksów. Gnój nakarmił nas fałszywą nadzieją, że mimo fatalnych warunków pogodowych i wysokości da się tam do nich dolecieć helikopterem. A tak naprawdę to była bajka, a rację mieli wszyscy ci profesjonaliści, którzy wcześniej nam odmówili.

Huk zelżał. Samolot transportowy dotknął pasa i zaczął hamować.

Nagła utrata nadziei bolała bardziej niż najgorszy uraz fizyczny. Niepewność, pustka w głowie, brak nowych pomysłów... To było dobijające. W dodatku zaczęło padać. Pieprzony monsun nie dawał o sobie zapomnieć. Przynajmniej płakał nad naszym losem, zamiast się z niego śmiać.

– Jedźmy do hotelu, nic tu po nas – stęknąłem.

Dobra. Wstałem, uciekając przed nokautem. To niezłe osiągnięcie, ale co dalej?

25. JULIA

– To naprawdę wstrząsające, horror jak u Hitchcocka... Zabrakło im dosłownie kilku metrów. Bezpieczny teren był na wyciągnięcie ręki – relacjonowała przejętym głosem dziennikarka.

Miała klasyczną urodę, podkreśloną (jak dla mnie – oszpeconą) mocnym, telewizyjnym makijażem. Widzieliśmy ją na ekranie laptopa Krisa, a obraz z naszej kamery wyświetlał się w małym prostokątku w prawym górnym rogu.

– Ale nagle ruszyły lawiny, jedna za drugą... – mówiła dalej dziennikarka. – Megatony śniegu... Niewyobrażalne. Przygniotła ich biała śmierć. Bezlitośnie strąciła z korony Ziemi. Gdyby przeszli jeszcze te kilka metrów, cała czwórka by żyła i cieszyła się z wejścia na najwyższą górę świata. A teraz, niestety, już tylko troje z nich walczy resztką sił o przetrwanie. Czwarty ze śmiazków – podniosła podkładkę, żeby odczytać nazwisko – Arkadiusz Sowiński, zginął, na zawsze stał się częścią tej wspaniałej, a jednocześnie straszliwej góry.

Walczyłam, żeby się nie rozkleić. Zdawałam sobie sprawę, że dziennikarka specjalnie podkręca opowieść, żeby zainteresować widzów i wzbudzić w nich emocje. Z drugiej strony, pomijając hienowaty styl wypowiedzi, miała rację. Gdyby lawina zeszła chwilę później, ominęłyby ich. Nie ucierpieliby. Arek by żył. Mieliby sprzęt, przenocowaliby, następnego dnia zeszliby do bazy, a dziś, już razem z Damianem i Szerpami, byłiby w drodze do lotniska w Lukli. A Kris i ja szykowałibyśmy się na trekking u podnóżu Himalajów.

Jakie to surrealistyczne – kilka sekund, jedna straszna chwila, może zaważyć na całym życiu tak wielu osób.

I dziś, i jutro, i kolejne dni, miesiące i lata nie będą już beztroskie. Znów pomyślałam o Karolinie, żonie Arka, o ich dziecku, które urodzi się za kilka miesięcy i nigdy nie pozna ojca. W jaki sposób ta tragedia wpłynie na nią czy też niego? Jak straszne piętno odcisnie?

Kiedy pod koniec zeszłego roku ukazała się książka o himalaistach, w której tłumaczeniu pomagał mi Marek, napisał do mnie pewien mężczyzna. Nazywał się Jacek Mostowski, był dzieckiem, gdy jego ojciec zginął podczas wyprawy na K2. Była to jedna z historii opisanych przez autorkę, znaną ekspertkę od himalaizmu. Jej książka „Snow Blindness”, czyli po polsku „Ślepotą śnieżną”, koncentrowała się na wyprawach, których uczestnicy byli tak opętani żądzą wejścia na szczyt, że popełniali trywialne błędy.

Syn zmarłego himalaisty chciał się ze mną spotkać. Obawiałam się, że będzie miał pretensje o to, jak jego ojciec został opisany w książce, i swoje żale przeleje na tłumaczkę. Okazało się jednak, że chce nakręcić film dokumentalny o feralnej wyprawie. Poprosił mnie o pomoc w skontaktowaniu się z Jenną Wiklander, autorką książki. Pamiętam, że zrobił na mnie wrażenie nieporadnego, zagubionego życiowo. Był niespełnionym dziennikarzem, a teraz zapragnął zostać filmowcem. Potem słyszałam od Marka, że ów Jacek był znany w środowisku wspinaczy. Z filmu nic nie wyszło, narobił długów, w końcu porzucił rozgrzebany projekt i ruszył autostopem gdzieś do Azji.

Nie twierdzę, że to brak ojca spowodował jego problemy życiowe, bo znam osoby wychowane w trudnych warunkach, przez samotne matki albo w ogóle bez rodziców, które radzą sobie w życiu. Ale niektórzy są odporni psychicznie, a inni bardziej wrażliwi. Kto wie, jak potoczyłyby się losy Jacka Mostowskiego, gdyby jego ojciec nie zginął.

– Walczymy z czasem. I z pogodą... – mówił Kris do niewielkiej kamery, którą zamontował na statywie i podłączył do laptopa. Z programem na żywo łączyliśmy się, siedząc w naszym pokoju hotelowym.

– No właśnie! – przerwała mu dziennikarka. – Podobno na Evereście szaleje burza śnieżna, prawdziwe pogodowe monstrum, które nam, ludziom z nizin, trudno sobie wyobrazić. Huraganowy wiatr i śnieg siekące z taką furją, jakby natura świadomie chciała ich tam wszystkich pozabijać.

– Tak, ale wierzymy, że ucichnie, prognozy na to wskazują, a wtedy helikopter będzie mógł polecieć po naszych bliskich. Naszych ukochanych... Między innymi moją żonę i chłopaka Julii. Dlatego uruchomiliśmy zbiórkę...

– To byłaby fascynująca, straceńcza misja ratunkowa. – Dziennikarka miała idealną dykcję, ale emocje, które przekazywała, wydały mi się powierzchowne i sztuczne. – Na zboczach Everestu giną wspinacze, ale też przerażająco często rozbijają się helikoptery. Sytuacja trójki wspinaczy jest naprawdę trudna. Łączymy się z ich bliskimi w bólu niepewności, ale też za pośrednictwem kamery, prosto z Katmandu. A naszym drugim rozmówcą jest doświadczony wspinacz i ekspert w tej dziedzinie, Andrzej Mioduszewski. Panie Andrzeju, jak pan ocenia szanse trójki himalaistów uwiecznionych w strefie śmierci?

– Dzień dobry. Przede wszystkim małe sprostowanie. Strefa śmierci rozciąga się powyżej siedmiu tysięcy dziewięciuset metrów... – zaczął ostrzyżony na zapałkę siwy mężczyzna. – Oni są już niżej, ale w warunkach, jakie obecnie panują na Evereście, kiepskie to pocieszenie, bo są, co tu dużo mówić, uwięzieni, a żaden helikopter nie poleci na taką wysokość...

✱

Kiedy trzy minuty później skończyło się nasze wejście w programie na żywo, Kris z wściekłością zatrzasnął laptop.

– Co za pieprzona idiotka! – warknął, po czym szarpnął za kabel, którym do komputera była podłączona kamera.

Ja też inaczej to sobie wyobrażałam.

A jednak pomyślałam, że z tej okropnej rozmowy może uda się wynieść jakiś pozytywny. I nie miałam na myśli zbiórki pieniędzy na helikopter, którą dziennikarka jakoś tam zareklamowała. Kiedy wspomniała o śmierci Arka, a ja przypominałam sobie spotkanie z Jackiem Mostowskim i przetłumaczoną przeze mnie książkę, do głowy przyszedł mi pewien pomysł. Przebłyśk za mały jeszcze, by rozniecić nadzieję, ale w tej beznadziejnej sytuacji nawet mikre światełko gwiazdy mogło posłużyć za drogowskaz...

Sięgnęłam po telefon, wyciszony na czas występu w programie. Zobaczyłam, że mam nieodebrane połączenie od ojca Marka. Pomyślałam, że pewnie nie chodzi o nic pilnego. Ani dramatycznego.

Pewnie nie ma żadnych nowych informacji, chce zapytać, czy ja czegoś się nie dowiedziałam.

A jednak wybierałam jego numer z bijącym sercem.

26. KRIS

Byłam wściekły, miałem ochotę zadzwonić do pseudodziennikarki i zwymyślać ją. Ta mała wykorzystwała nas i naszą tragedię do podbicia oglądalności swojego programiku. Zrobiła to bezczelnie, bezdusznie i bezwzględnie. Nic się tak nie sprzedaje na ekranie jak śmierć, łzy, prawdziwe emocje, dwójka przerażonych ludzi, którzy drżą ze strachu o bliskich i są zmuszeni błagać o pomoc.

Efekty tego cyrku były wątpliwe, a nawet wręcz odwrotne do zamierzonych. Sprawdziłem komórkę. Zaczęły sypać się niechętne komentarze w stylu: „Trzeba było przypilnować żonkę, żeby siedziała na dupie, a nie teraz wycierać się po telewizjach i żebrać”. A chwilę po naszym występie w programie informacyjnym zadzwonił do mnie koleś z firmy Shronn, głównego sponsora Kaśki. Michał Jakiśtam, z ich działu PR, przezywaliśmy go z żoną Miśkiem.

– Witaj, Krzysztofie – zaczął, mlaskając, jakby właśnie coś jadł.

Był flegmatyczny i moim zdaniem totalnie niekompetentny. Okazało się, że oglądał nasz wywiad. Poprosił mnie, żebym więcej nie nosił czapki z logo Shronnu. Ani podczas udzielania wywiadów, ani na zdjęciach czy w relacjach w mediach społecznościowych.

– Założyłem ją, bo tak mamy przecież zapisane w umowie – tłumaczyłem.

– Dziękuję, ale teraz zwalniam cię z tego obowiązku. Jeśli chcesz, dam ci to na piśmie, żeby nie było. Zaraz skrobnę ci mejlika.

– No dobra. Ale zaraz... Chyba się nie wycofacie? – spytałem. – Teraz Kaśka naprawdę potrzebuje wsparcia.

– Nie, skąd, to... To tylko taka prośba. Z naszego, eee... działu marketingu. Rozumiesz? – mówił Misiek, nie przerywając konsumpcji. – Chodzi o to, że... Eee, no, tak jakby nie chcemy negatywnych skojarzeń.

– Jasne, nie ma sprawy – mówiłem przez zaciśnięte zęby. Wiedziałem, że muszę się pilnować, by nie wybuchnąć. – Ale mam nadzieję, że w takim razie dorzucicie się do zrzutki na helikopter.

– Yhm... Oczywiście... No, stary, oczywiście. Eee... No pewnie. Będzie dobrze...

Jak się potem okazało, padalce wpłacili dwieście złotych. Wielkie, międzynarodowe korpo, firma sprzedająca rocznie setki tysięcy lodówek.

Kiedy skończyłem rozmowę z Miśkiem, popatrzyłem na Julkę. Ona też gadała przez telefon. Była spięta, plecy miała nienaturalnie wyprostowane. Występ przed kamerą sporo ją kosztował, mimo że głównie to ja mówiłem. Wcześniej jeszcze się posprzecaliśmy, bo nie chciała posłuchać moich rad, żeby przed wejściem na antenę zrobić się na bóstwo.

Robię w reklamie nie od dziś i znam badania marketingowe. Są bezlitośnie szczerze. Ludzie chętniej pomagają atrakcyjnym. Jak się nie ma ładnych rysów twarzy ani kasy na chirurga, można przynajmniej nadrabiać ciuchami, fryzurą, mieć jakiś styl. Julka ostentacyjnie kręci na to nosem i upina włosy w banalną kitkę. Może to dlatego, że pochodzi z inteligentkiej rodziny. Dla mnie to taki przedziwny produkt uboczny PRL i komunizmu, w którym bycie biedną, szarą myszką uchodziło za cnotę.

– Tak, jestem w szoku... – mówiła do telefonu, a ja zachodziłem w głowę, z kim rozmawia. – I nie wiem, co panu odpowiedzieć.

Julka złapała moje spojrzenie i z własnej inicjatywy włączyła głośnik. Ja wyciszyłem swoją komórkę, która po naszym występie na żywo bez przerwy brzęczała powiadomieniami.

– Nie mam dowodu, oczywiście – mówił jakiś mężczyzna zmęczonym, nieprzyjemnym głosem, na granicy opryskliwości. Wyobraziłem sobie kogoś skwaszonego, zgorzkniałego. – Ale wiem, że mam rację. No jaki dowód w takiej sytuacji miałbyś ci zaprezentować?

– Nie wiem... – odpowiedziała Julka, przecierając dłonią czoło. – Ale to, co pan mówi... Jest szokujące.

– Szokujące? Być może. Ale przede wszystkim logiczne.

– Jest pan pewien?

– Oczywiście, że tak. Zresztą zobaczysz... Jeśli mój syn... – zawahał się.

– Nie przeżyje... Ten patent rejestruje na siebie Nawrocki. Zostanie

tylko on. Jednego współnika już się pozbył.

– Ale przecież...

– Nie, nie mówię, że on spuścił na nich lawinę. – Mężczyzna wszedł Julce w słowo, a w jego głosie pobrzmiwała irytacja. – Ale to on ich wypchnął na ten Everest. Ma charyzmę, kazał im iść, a potem ich załatwił. A teraz tę tragedię wykorzysta. Zrobi wszystko, żeby nie wrócili. Mamona... To jest klucz. Nie słyszałaś takiego powiedzenia? Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze.

Otworzyłem szeroko oczy ze zdumienia, a przez grzbiet przebiegł mi dreszcz.

Co to za upiorny staruch? – pomyślałem. Już wiem, Julka gada z ojcem swojego chłopaka.

Kontynuowali tak jeszcze dłuższą chwilę – ona pełna rezerwy, on rzucający mocne oskarżenia. Kiedy się rozłączyła, podparła głowę rękami i po chwili, wyraźnie podłamana, wyjaśniła mi wszystko od początku.

– Ojciec Marka. Ni mniej, ni więcej, tylko oskarżył Damiana o to, że świadomie chce doprowadzić do ich śmierci.

Zaczęła cicho płakać.

– Ale to jakiś absurd – powiedziałem, opadając na krzesło. Złapałem za pilota i włączyłem klimę, która tak rzeźbiła, że na czas wywiadu musieliśmy ją wyłączyć. – Dobrze znasz tego gościa? To jakiś świr?

Milczała. Popatrzyłem na nią. Rzeczywiście. Damian Nawrocki, chłopak Julki oraz nieżyjący już Arek Sowiński byli współnikami. Informatycy, mieli firmę, która zajmowała się programowaniem, obliczeniami, coś z szyfrowaniem, opracowywali jakieś algorytmy. Nie znałem szczegółów, ale z pewnością nieźle im się powodziło, skoro mieli kasę na wyprawę w Himalaje i nie potrzebowali, tak jak moja żona, opieprzać się ze sponsorami.

– Myślisz, że to możliwe? – spytałem. – Że Damian chciałby ich załatwić? Zajebać ich rękami góry? Czekaj, kurwa, czy góra ma ręce? Ja pierdołę!

– Nie wiem. Chyba nie. Są przecież przyjaciółmi. Od lat...

Z tego, co wiedziałem, znali się jeszcze z czasów studiów. To Damian pierwszy połknął bakcyła wspinaczki i zaraził nim kolegów. Tworzyli zgrany team, zaczęli w Tatrach, potem Alpy, Kaukaz, Ameryka Południowa. Gdyby był jakiś kwas, nie wspinaliby się razem przez tyle

lat. Choć z drugiej strony... Przecież sam miałem o Damianie jak najgorsze zdanie.

– Tak, też mi się wydaje, że to niemożliwe, żeby on był zdolny do czegoś takiego – powiedziała w końcu Julka.

– Może ten stary pierdziel świruje. – Wzruszyłem ramionami. – Ty go dobrze znasz?

– Nie wiem... Spotkaliśmy się parę razy. Byliśmy u niego z Markiem w święta, potem na imieninach. No, jest trochę dziwny, więc masz rację, to niemożliwe, to jakieś nieuzasadnione podejrzenia... Teorie spiskowe.

Pokiwałem głową, chociaż tak naprawdę nie byłem przekonany, czy to rojenia szaleńca.

Choć nic nie wiedziałem o wspólnym patencie, za który czekała na nich duża kasa, to wszystko składało się w spójną całość. Cały czas powtarzałem sobie w myślach, że Damian jest złolem. Bezwzględny, egoistyczną kanalią.

Czy oprócz wysokości i morderczych warunków pogodowych nasi bliscy muszą stawić czoło kolejnej przeciwności losu?

Sprytnemu zabójcy w białych jak śnieg rękawiczkach?

27. JULIA

Choć sama nigdy nie wspięła się na żaden ośmiotysięcznik, Jenna Wiklander jest żywą legendą himalaizmu. Jej dom w miejscowości Gokarneshwar niedaleko Katmandu wygląda jak skrzyżowanie muzeum z sanktuarium. Okna w salonie wychodzą na północny wschód, tak by w pogodny dzień widać było Himalaje. Na tarasie stoi teleskop, na ścianach wszystkich pomieszczeń, łącznie z kuchnią, wiszą zdjęcia i czekany – niektóre wyglądają na stare, jeden ma złamany trzonek, a wszystkie noszą ślady zużycia. Na półkach niczym góry piętrzą się książki o Himalajach. Sama napisała kilkanaście z nich, a najnowszą, „Snow Blindness”, miałam przyjemność przetłumaczyć na język polski.

Wspinaczka wysokogórska jest religią, którą Wiklander wyznaje, od kiedy po raz pierwszy przyjechała do stolicy Nepalu, ponad pół wieku

temu. Jest nazywana jej papieżycą, przewodzi kultowi himalaizmu. Ma ponad osiemdziesiąt lat, siwe włosy upięte w koński ogon i powykręcane artretyzmem palce. Zna wszystkie historie, które wydarzyły się w najwyższych górach świata, wiele z nich opisała.

– Mam jaśminową z imbirem, ale nie wiem, czy potrzebujecie się rozgrzewać – mówiła pisarka, grzebiąc w drewnianym pudełku z torebkami herbaty. – Może zieloną? Honeybush?

Odruchowo pomyślałam, że nie wiem, jak się tłumaczy „honeybush” na polski. Miodokrzew? Najchętniej wyrwałabym jej to pudełko z rąk, odstawiła z powrotem do szafki, zatrzasnęła drzwiczki i wykrzyczała, że nie mamy czasu na herbatę! Musimy ich ratować. I to szybko.

Z każdą minutą zbliżałam się do granicy obłądu. Tak bardzo chciałam już przestać się bać. Ale najciemniejsza godzina nocy trwała w najlepsze, testowała granice mojej wytrzymałości.

A może powinnam zdać się na intuicję Jenny? Patrzyłam na jej twarz, która nie do końca zdradzała wiek. Rysy wygładzał wewnętrzny spokój, joga i medytacje czy może medycyna estetyczna?

Jenna Wiklander miała ogromną wiedzę zarówno o osiągnięciach wspinaczy, jak i o akcjach ratunkowych przeprowadzonych w Himalajach i Karakorum. Skoro nie panikowała, może my też powinniśmy być dobrej myśli?

A może nie obchodził jej dramat kolejnej trójki szaleńców, bo uodporniły ją już dziesiątki, setki śmierci, które opisała na kartach swoich książek?

Te wszystkie biedne ćmy, które lgnęły do lodowego ognia, tak ślepo, tak bez sensu...

Wysokie góry zbierają śmiertelne żniwo. Jeden Everest odebrał życie ponad trzystu osobom, więc łączna liczba ofiar Himalajów idzie w tysiące. Podobno Jenna w wieku dwudziestu paru lat straciła w Alpach miłość swojego życia. Narzeczony zginął na jej oczach, wpadł do szczeliny lodowca w masywie Monte Rosa. Stąd wzięła się jej obsesja opisywania tej dziwnej odmiany szaleństwa, jakim jest wspinaczka wysokogórska.

Starłam się uspokoić gonitwę myśli. Nie było czasu na medytację, ale w książce o buddyźmie, którą teraz tłumaczę, autorzy często zwracają uwagę na to, jak ważna jest umiejętność trzymania emocji na wodzy,

zachowania nad nimi kontroli. Nie chodzi o wyzbycie się ich czy tłamszenie, ale jedynie o to, by nie pozwolić, żeby miały nad nami władzę.

Używaną przez nich w książce metaforą było wrzucenie kamienia do jeziora. Dramatyczne wydarzenie powoduje, że tafla wody marszczy się, powstają fale. Ale to reakcja na powierzchni. Wnętrze jeziora pozostaje niewzruszone.

Łatwiej napisać, trudniej wykonać. Choć tak bardzo chciałam już przestać się bać o Marka i pozostałych, moje rozedrganie niestety nie ograniczało się do powierzchni. Przeżarło mnie na wylot i zredukowało do przerażonej kukiełki. Próbowалам skupiać się na oddechu, na tu i teraz, ale moja świadomość ciągle gdzieś uciekała jak dziki kot.

Wymęczona psychicznie starałam się nie poddawać. Wdech i wydech. Uspokojenie. Może dziki kot wróci.

Przyglądając się, jak Jenna krząta się po kuchni, pomyślałam, że życzy nam dobrze i chce pomóc. Widocznie oceniła, że nie ma pośpiechu, bo dziś już nic nie da się zrobić. Była dwudziesta trzydzieści, zapadał wieczór. Dziś już nikt ich nie uratuje. W ciemności nie przyleci śmigłowiec, nikt nie będzie się wspinał, to zbyt niebezpieczne.

Trójka na Evereście musi przetrzymać trzecią noc.

Spokój znów diabli wzięli. Noc, mróz, huraganowy wiatr... Nie potrafiłam myśleć o tym bez lęku.

– Usiądźmy w salonie – zakomenderowała Jenna, wlewając wrzątek do czajniczka z herbatą.

– Nie chcemy pani zawracać głowy – powiedział Kris.

Nie chodziło o kurtuazję. Tak samo jak ja chciał ją w dyskretny sposób popędzić. W odpowiedzi staruszka posłała mu tylko uśmiech. Taki, który po angielsku określa się słowem „smirk”. Nie oznacza on radości ani zadowolenia uśmiechającego się, wyraża raczej ironię, złośliwość albo poczucie wyższości.

Przejrzała go. Była inteligentna. Wyczułam to od razu, kiedy pierwszy raz napisałam do niej, kiedy tłumaczyłam „Snow Blindness”. Na ogół nie kontaktuję się z autorami. Niektórzy już nie żyją, inni są tak popularni, przekładani na wiele języków, że nie byłiby w stanie odpowiadać na pytania każdego z tłumaczy. Nie przyszłoby mi to do głowy z powieścią beletrystyczną, ale „Ślepotą śnieżną” była książką

opowiadającą o prawdziwych zdarzeniach, dlatego chciałam trzymać się faktów.

Musiałam się z nią skonsultować, bo między innymi opisywała historię francuskiego himalaisty, który odpadł od ściany Shisha Pangmy. Został uratowany, bo inna uczestniczka wyprawy obserwowała jego poczynania przez lornetkę. Widziała moment wypadku i szybko zareagowała. Wiklander wspomniała o niej w kilku zdaniach, za każdym razem opisując ją jako „his friend”⁸. Nie podała imienia i ani razu nie użyła zaimka „ona” albo „on”. Musiałam ją zapytać, czy to był przyjaciel, czy przyjaciółka, bo po polsku nie dało się uciec od płci. Podobnych zagwozdek miałam więcej, zebrałam je wszystkie i napisałam długiego maila do Wiklander. Potem przez jakiś czas korespondowałyśmy, była uprzejmie zainteresowana polskim tłumaczeniem, skrzytykowała okładkę.

W końcu nasze kontakty ustały. Ale miałam jej numer telefonu, który swego czasu przekazałam Jackowi Mostowskiemu. Zaraz po naszym występie na żywo w programie informacyjnym i po rozmowie z ojcem Marka zadzwoniłam do niej.

– Pomogę wam. Ale mam jeden warunek – powiedziała Jenna, kiedy usiedliśmy przy stole, na którym nie było żadnego obrusa ani serwety, jedynie mała bambusowa podkładka pod czajnik z herbatą.

Popatrzyłam na nią z zaskoczeniem. Jakiż to warunek może stanąć nam na drodze?

– Wiem, kto w Katmandu dysponuje w tej chwili śmigłowcem, który jest w stanie dolecieć do obozu drugiego. A tyle będą chyba w stanie jeszcze zejść, prawda? Co ważniejsze, tym śmigłowcem lata wybitny pilot, który poleci na taką wysokość, może nawet przy złej pogodzie. Wielu się chełpi, że są asami przestworzy, ale ten jest najlepszy. Legendarny John Jo. Mogę dać wam namiar. Nic więcej nie zrobię, bo nie znam osobiście właściciela maszyny. Ale mogę zdobyć jego numer.

Moje serce znów zaczęła wypełniać nadzieja. Który to już raz? Uśmiechnęłam się z wdzięcznością do Jenny Wiklander. Ale jednak do głowy by mi nie przyszło, że do pomocy, którą oferuje pisarka, będzie przyczepiona etykietka z ceną.

Nie mogłam uwierzyć, że w tak dramatycznej sytuacji można komuś stawiać warunki.

28. KRIS

Wkurzyła mnie ta stara Angielka – choć może to była Szwedka? Wiklander to chyba skandynawskie nazwisko. Na pewno nie miała go po mężu, bo Julka twierdziła, że po śmierci narzeczonego pisarka z nikim się już nie związała. W każdym razie Jenna Wiklander okazała się bezduszną, wyrachowaną suką, kolejną przeszkodą na naszej drodze. Poczęstowała herbatką, obiecała pomoc, ale pod warunkiem!

Źle jej patrzyło z oczu, oj, źle, pomimo tego pozornego buddyjskiego spokoju i dobrotności. Za dobrze znam się na ludziach, żeby tego nie dostrzec.

Wiklander zażyczyła sobie, żebyśmy dali jej na wyłączność prawa do opisanie w formie książki historii naszych bliskich, lawin, które uwięziły ich na Evereście, a także akcji ratunkowej. Powiedziała, że niedawno skończyła powieść i szuka inspiracji do następnej. Tak beczelnie, po prostu, jakby mowa była o fikcji, a nie prawdziwym dramacie ludzi z krwi i kości, który dzieje się tu i teraz!

Nasza tragedia jako paliwo dla literackiej twórczości. Widziałem, jak trzepnęło to Julkę. Miała wyidealizowaną wizję pisarki, której książkę przetłumaczyła.

Próbowałem się targować, bo chciała nam dać tylko numer telefonu właściciela śmigłowca. Goły zamiar, bez żadnego polecenia czy zaanonsowania – to było za mało. Ale Julka powiedziała, żebyśmy odpuścili, bo tracimy kolejne cenne minuty. Może i miała rację. Podpisałbym cyrograf nawet z diabłem, żeby dostać szansę na uratowanie Kaśki.

Wiklander nie wystarczyło, że damy jej słowo. Chciała mieć wszystko na piśmie. Myślałem, że żartuje, ale w tej przedziwnej historii absurd gonił absurd. Gdy zaczęła grzebać w swoim laptopie w poszukiwaniu odpowiedniego wzoru umowy, miałem ochotę ją udusić. Zmarnowaliśmy już ponad godzinę, żeby przyjechać do jej domu. A nie mieliśmy pewności, że właściciel śmigła i mistrz pilotażu, do których miała nas skierować, w ogóle zgodzą się nam pomóc.

– Zróbmy inaczej – zaproponowałem. – Napiszemy to pani odręcznie, naprawdę... My, niżej podpisani, i tak dalej. Niech pani powie, co tam

ma być, i już.

Starucha patrzyła na mnie dłuższą chwilę zimnymi, szarymi oczami. W końcu się zgodziła. Z wielką łachą.

Zadzwoniła do kogoś, ale zamknęła się w kuchni i nie słyszeliśmy rozmowy. Chwilę potem wyszła i podyktowała nam dziesięć cyferek. Nasz kod nadziei. Zadzwoniliśmy od razu, ale nikt nie odebrał.

– Może są jeszcze w górach – powiedziała Wiklander. – Zazwyczaj wykorzystują czas aż do zmierzchu. Potem zlatują z powrotem do Katmandu. Dzwoncie do skutku.

Kwadrans później wybiegliśmy z jej domu, prosto w objęcia monsunowej ulewy. Jak tylko schowaliśmy się w aucie, znowu zadzwoniliśmy, ale i tym razem facet nie odebrał.

– Wiedziałem! – Walnąłem otwartą dłonią w kierownicę. – Wyrolowała nas.

– Spokojnie. Może zaraz się odezwie.

Napisaliśmy na WhatsAppie wiadomość z prośbą o kontakt. Wyświetliły się dwa ptaszki, więc mieliśmy pewność, że została dostarczona. Pozostało czekać, aż odpisze albo oddzwoni.

– Zadzwońmy jeszcze do nich – poprosiła Julka. – Chociaż kilka sekund... Musimy dodać im otuchy przed nocą.

Moja żona, Marek i Bart uruchomili już swój telefon satelitarny, więc mogliśmy kontaktować się z nimi bezpośrednio. Problemem była tylko bateria. Po tym, jak stracili w dwóch lawinach większość sprzętu, została im jedna, jedyna. I nie mieli jak jej doładować. Musiała wystarczyć aż do szczęśliwego końca.

Zgodziłem się. Umieściłem komórkę w uchwycie na przedniej szybie, nie zapalałem jeszcze silnika. Wybrałem numer. W napięciu słuchaliśmy, jak wybrzmiewał sygnał po sygnale: pierwszy, drugi, trzeci, czwarty...

– Halo? – Połączenie odebrała Kaśka.

Wyczułem, że jest zmęczona i sfrustrowana. W tych dwóch sylabach, czterech głoskach, pobrzmiwało wyczerpanie, a po typowej dla mojej żony zadziorności nie było śladu.

– Kochanie, jak się czujecie? – spytałem.

– Nie słyszę cię... Piździ tu... A w nocy będzie jeszcze gorzej.

Uderzyło mnie, że moja żona już wie. Jest świadoma tego, że żaden helikopter dziś po nich nie przyleci. Przyjdzie im spędzić na zboczu

Everestu kolejną noc. Kiedy zajdzie słońce, temperatura spadnie do minus kilkudziesięciu stopni. Rozpocznie się kolejny dramatyczny rozdział walki o przetrwanie.

– Spytałem, jak się czujecie.

– Bez zmian – zaraportowała w krótkich, żołnierskich słowach.

– Jestem tu z Julką. Trzymajcie się. Chcemy wam powiedzieć...

Załatwiliśmy dla was śmigło – skłamałem.

– Będzie rano? – spytała Kaśka z niedowierzaniem. – Kiedy będzie?

– Tak. Rano.

Siedząca obok mnie Julka wzdygnęła się. Popatrzyła na mnie z przerażeniem w oczach, jej mina wyrażała dezaprobatę, jakby chciała powiedzieć: „Co ty wyprawiasz?!“

Wzruszyłem ramionami. Przecież okłamujemy wszystkich, nie tylko naszych ukochanych. Robimy to dla ich dobra. Byłem pewien, że trójka uwięziona na zboczach Everestu potrzebuje wzmocnienia morale. Ta noc. Ta cholerna, ciemna, zimna noc przed nimi była teraz najważniejszym wrogiem, na którym należało się skupić. Być może dawki nadziei potrzeba im bardziej niż łyku gorącej herbaty.

Rozmawiałem z Kaśką jeszcze przez kilkadziesiąt sekund, a potem moja zdyscyplinowana żona przekazała telefon satelitarny Markowi. Julka zamieniła z nim kilka emocjonalnych zdań. Na szczęście Marek skupił się na uspokajaniu i pocieszaniu jej, nie dopytywał o żadne szczegóły dotyczące helikoptera.

– Czuję się dobrze. Naprawdę. Po prostu czekamy – mówił również steranym głosem, ale on akurat zawsze sprawiał wrażenie zmęczonego i sennego jak miś koala. – Wcześniej czekaliśmy na okno pogodowe. Teraz czekamy na sprzęt. Normalna sprawa.

Marek Rafalski był dziwnym gościem, wyciszonym, trochę nieobecny. Nigdy w życiu nie zamieniłem z nim słowa, które nie dotyczyłoby jakiejś sprawy technicznej, faktów. Taki typowy informatyk, bez temperamentu, do wyrzygania spokojny. Chyba pasowali do siebie z Julką, choć jak na mój gust brakowało im pazura, szczypty szaleństwa.

– Uważaj na siebie – powiedziała Julka, cała czerwona na twarzy, chyba powstrzymała łyzy.

– Ty też. I dziękuję, że załatwiliście dla nas ten helikopter.

– Musimy kończyć – wtrąciłem, bo miałem przecucie graniczące z pewnością, że Julka zaraz się rozklei albo wysypie. – Do jutra! Trzymajcie się.

Po zakończeniu rozmowy jeszcze raz wybraliśmy numer właściciela śmigłowca. Znow nie odebrał.

Cholera.

Pocieszaliśmy się, że może naprawdę jest akurat w trakcie lotu. Przekręciłem kluczyk w stacyjce, ruszyliśmy w drogę powrotną do Katmandu. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Julka otarła kąciki oczu, czuło się, że jest poruszona. Kiedy emocje już trochę odpuściły, zaczęła mnie krytykować.

– Po co obiecałeś im ten helikopter? – Mrugała oczami, z których kapały łzy. – Przecież ten facet nie odbiera, nie oddzwania. Co jeśli w ogóle nie będzie chciał z nami rozmawiać? Albo powie, że to niemożliwe, albo zażąda astronomicznych pieniędzy. Nie możemy ich tak... Nie wiem... mam nadzieję!

– A właśnie, że dobrze zrobiłem. Bo teraz nie mamy odwrotu. Musimy zrobić wszystko, żeby ten śmigłowiec po nich poleciał. Rozumiesz? Dlatego postawiłem nas przed, jak to się mówi, faktem autentycznym i dokonanym.

– Co ty mówisz?

– Musimy załatwić helikopter – powiedziałem najdobitniej, jak potrafiłem, i uderzyłem dłonią w kierownicę. – Mogę na ciebie liczyć? Jesteś na tyle zdeterminowana, żeby stanąć na rzęsach?

Julka przygryzła dolną wargę i pokiwała smutno głową.

– Oczywiście, że zrobię wszystko... – odpowiedziała w końcu, ocierając oczy. – Co tylko będzie trzeba.

Jakże prorocze to były słowa.

29. JULIA

Ścigaliśmy ulotną nadzieję, gnając ulicami Katmandu. Było już ciemno, ale tak bardzo pragnęłam, by ten stracony dzień jeszcze na ostatniej prostej się odmienił.

Z piskiem opon skręciliśmy w dwupasmową ulicę. Kris jeszcze przyspieszył. Byłam przekonana, że zaraz o coś zawadzimy. Albo o sznur zaparkowanych wzdłuż jezdni samochodów, albo o rozdzielające pasy brudne pachołki, które kiedyś zapewne były biało-czerwone, a teraz miały jednolity brunatny odcień. Albo nawet o innego uczestnika ruchu drogowego. Tu było inaczej niż w Polsce, gdzie wystarczy skupić uwagę na samochodzie z prawej strony, lewej i tym przed tobą. Ruch uliczny w Katmandu to chmara, współistnienie dziesiątek obiektów poruszających się jednocześnie i autonomicznie. I to po nieokreślonych trajektoriach. Płynęliśmy w tej niezwyklej ławicy, przedzierając się przez morze nocy.

– Uważaj! – krzyknęłam i odruchowo wykonałam gest, jakbym chciała osłonić twarz przed spodziewanym zderzeniem.

– Uważam – warknął Kris.

– Prawie w niego wjechałeś!

Kris nie odpowiedział, skupiał się na drodze. Mężczyzna gnający na skuterze, którego właśnie o mało co nie potrąciliśmy, w ostatniej chwili odbił w lewo, uciekając nam spod kół.

– Mogliśmy...

– Nie pomagasz. – Kris przerwał mi w pół zdania.

– Skręcił. Tam, tam! W lewo – krzyknęłam. – Szybko, bo go zgubimy.

– Jezu! Staram się. Ale to jest pieprzone maserati!

Irytacja w głosie Krisa osiągnęła nowy, nieznaný mi wcześniej poziom. Zamilkłam. Ruch lewostronny, jazda po zmroku, rowerzyści, kierowcy aut, skuterów, busików, rikszy i wszelkich innych pojazdów, którzy prowadzili nonszalancko, nie oglądając się na przepisy...

I jeszcze stres, że jeśli stracimy z oczu czarne maserati, za którym podążaliśmy, ostatnia nasza nadzieja zgaśnie.

Świat zawirował mi przed oczami. Kolejny ostry zakręt. Przez moment mignęły mi Himalaje, w świetle księżyca bielejące na horyzoncie jak kości jakiegoś gigantycznego potwora. Gdzieś tam są ci, dla których porwali się na ten wariacki pościg.

Jenna Wiklander, kiedy już podpisaliśmy umowę, dała nam namiar na właściciela helikoptera, który będzie w stanie polecieć po naszych bliskich. Nazywał się Boris Baker, był Amerykaninem, synem jakiegoś bogacza, potentata z Doliny Krzemowej. Chłopak niedawno

zafascynował się Himalajami, choć nie himalaizmem. Nie obchodziła go wspinaczka, całe to mozolne, wieloletnie zdobywanie doświadczenia, krzepnięcie, szykowanie się do starcia z ośmiotysięcznikami.

Baker Junior postanowił pójść na skróty. Ojciec zasponsorował mu najnowocześniejszy helikopter, a on razem z kumplami wlatywali coraz to wyżej, by następnie zjeżdżać ze stoków siedmio- i ośmiotysięczników na snowboardach. Wszystko nagrywali, montowali frenetyczne filmiki i wrzucali do sieci, żądni sławy i podziwu milionów internautów.

Maszyną Bakera był specjalnie przystosowany Airbus H225 Super Puma, najdroższy helikopter świata. Był w stanie polecieć wyżej niż śmigłowce wykorzystywane w akcjach ratunkowych, mógł zabrać większą liczbę pasażerów. Nie tylko jego cena była astronomiczna – koszty lotu też. Wielka i potężna maszyna paliła jak smok. Wierzyliśmy jednak, że nie ma takiej sumy, której nie będziemy w stanie zebrać.

Niestety, amerykański paniczyk z jakiegoś powodu nie odbierał, choć dzwonił mi wielokrotnie i wysyłał mi esemesy podczas drogi powrotnej z domu Jenny do Katmandu. Powoli zaczynałam tracić nadzieję, ale Kris kazał mi szukać na Instagramie jego konta. Znalazłam go – pośród wielu Borisów Bakerów wyróżniał się zdjęciem profilowym we fluorescencyjnym seledynowym kombinezonie narciarskim. Z najnowszej relacji wynikało, że rzeczywiście przebywa w stolicy Nepalu – przez okienko helikoptera sfilmował wzgórze, na którego szczycie rozpoznałam charakterystyczne biało-czerwone wieżyczki i spłaszczony dach buddyjskiego klasztoru Kopan. Na zdjęciach chwalił się helikopterem, dżipem, limuzyną marki Maserati, a także okazała rezydencją na jednym ze wzgórz otaczających Katmandu.

Nie mam za grosz orientacji w przestrzeni, ale Kris, kiedy wróciliśmy już do hotelu, usiadł przed laptopem z komórką w ręku i zaczął przeglądać zdjęcia i filmiki z mediów społecznościowych Amerykanina. A było tego niemało. Większość „contentu” – jak to mówił Kris – pochodziła z szalonych zjazdów w Himalajach, ale Baker wrzucał też zdjęcia z rozległego ogrodu wokół domu. On i jego kumple wygłupiali się, pozowali bez koszulek albo ćwiczyli rzucanie jajowatą piłką do futbolu amerykańskiego. Jedno ze zdjęć na Instagramie podawało nawet lokalizację: Nagarjun National Park. Kris przejrzał mapy satelitarne i ustalił, gdzie znajduje się budynek ze zdjęć.

Zdesperowani postanowiliśmy pojechać do Bakera, żeby nie czekać, aż łaskawie odbierze od nas telefon. Ruszyliśmy w kierunku parku narodowego Nagarjun, ale nim dotarliśmy do celu, na drodze meandrującej wśród wzgórz minęliśmy się z jadącym z naprzeciwka czarnym maserati.

Prawdopodobieństwo, że w Katmandu znajduje się więcej niż jeden egzemplarz ekstremalnie drogiej marki, było niewielkie. Kris zawrócił i zaczęliśmy pościg za Bakerem.

Na naszą korzyść działał fakt, że wczesnym wieczorem w Katmandu nie da się rozwinąć zawrotnej prędkości. Za każdym razem, kiedy maserati uciekało nam na prostej, doganialiśmy je kilkaset metrów dalej, kiedy grzęzło w korku. Luksusowy samochód kierował się na Thamel, w końcu zwolnił, zjechał z głównej drogi i zatrzymał się na niewielkim parkingu, zalanym błękitnym światłem neonu „Neverest Night Club”.

– Jebany orzeł wylądował – prychnął Kris. – Pewnie zagrzeje tu miejsce dłużej.

Niestety nie mieliśmy gdzie zatrzymać auta. Parking był już zapchany do granic możliwości. Widocznie Baker był gościem VIP i dla niego zarezerwowano specjalne miejsce tuż przy wejściu do klubu.

W rezultacie musieliśmy odjechać i zaparkować w jednej z bocznych uliczek. Kiedy podeszliśmy do otwartych metalowych drzwi, zza których dobiegała elektroniczna muzyka, drogę zastąpił nam krępy mężczyzna w czarnym garniturze i T-shircie w tym samym kolorze.

– Can I help you?⁹ – spytał mało uprzejmym tonem.

– Po prostu... chcemy wejść – odpowiedziałam po angielsku, przywołując na twarz uśmiech.

– Impreza zamknięta. – Bramkarz pokręcił głową.

– Wiemy. – Kris wzruszył ramionami. – Jesteśmy znajomymi Borisa.

– Kogo?

– Boris Baker. The Maserati guy¹⁰. – Kris blefował dalej, nawet mu powieka nie drgnęła.

Niestety, wykidajło nie dał się przekonać. Nawet kiedy już zrezygnowaliśmy z prób wejścia do środka i w desperacji poprosiliśmy go, żeby tylko zawołał do nas Amerykanina, który wszedł przed chwilą. Nie zadziałały prośby ani błagania, ani nawet imponująca liczba

obserwujących na Instagramie profil K2_lifestyles. Kris podtykał rozmówcy pod nos komórkę, grożąc, że zamieści posta ze zniechęcającą opinią na temat klubu.

Ale facet tylko popatrzył na niego z rozbawieniem.

– Dajmy spokój... – powiedziałam w końcu po polsku. – To nie ma sensu.

– Przestań! – syknął Kris. – Nie możemy się poddawać. Ja przynajmniej nie zamierzam.

Był zdenerwowany, trudno się było dziwić. Wyklócanie się z upartym jak osioł bramkarzem nawet buddyjskiego mnicha mogłoby wyprowadzić z równowagi.

– Za łatwo się poddajesz! – zaczął odreagowywać swoją frustrację na mnie. – Niczego nie osiągniesz, jak będziesz się tak płaszczyć. Zawsze tylko przepraszasz, że żyjesz. To może już w ogóle nie żyjesz, bo żyć trzeba odważnie!

Puściłam mimo uszu tę krzywdzącą ocenę.

– Ale co w tej sytuacji możemy zrobić? – spytałam.

– Będziemy tu, kurwa, warować – odparł bez namysłu Kris. – Kiedyś wyjdzie z tej nory.

30. KRIS

Nie musieliśmy czekać długo. Baker wybył z nocnego klubu wcześniej, niż można się było spodziewać po facecie, który sprawiał wrażenie ostrego imprezowicza. Nie minęły nawet dwie godziny, od kiedy się na niego zaczailiśmy. Widocznie potraktował Neverest jako miejsce zbiórki z kumplami albo biferek przed zasadniczą bibą.

Mogliśmy czekać na niego na świeżym powietrzu, kręcąc się przed wejściem, ale byliśmy przekonani, że sprawa się przeciągnie. Wróciliśmy więc do auta. Przeparkowałem je tak, żebyśmy – siedząc w nim – mogli widzieć i wejście do klubu, i czekające na swego pana czarne maserati.

Nie przeprosiłem Julki za swój wybuch, za to, że tak lekceważąco po niej pojechałem, kiedy użeraliśmy się z bramkarzem. Na szczęście ma ona bardzo fajną cechę – nie chowa urazy. Rozmawialiśmy jak gdyby

nigdy nic, zabijając czas i starając się odciągnąć myśli od naszego wspólnego dramatu.

– Jezu, jak się to wszystko już przewali... – powiedziałem w pewnym momencie. – Powiem jej... Twardo. „Kaśka! Nigdy więcej żadnych gór”

– Myślisz, że posłucha?

– Już kiedyś próbowałem, jak zabrała mnie na Mont Blanc. Ale teraz nie odpuszczę.

– Wspinałeś się? – zdziwiła się Julka.

– Przecież ci mówiłem.

– O skałkach. Ale nie o Mont Blanc.

– Pojechałem z nią, to było parę miesięcy po tym, jak się poznaliśmy. Myślałem, że fajnie, jak będziemy to robić razem. Wspólna pasja, wiesz...

– Ja od razu wiedziałam, że to nie dla mnie.

– A ja poszedłem na kurs, potem byliśmy w skałkach, raz w Tatrach i potem, no właśnie... Na Mont Blanc widzieliśmy, jak się zabiło dwóch kolesi z Austrii. Na naszych oczach, po prostu... Pyk i spadli. Nawet nie było nic słychać. Szok. Mnie pozamiatało. Równy. I wtedy próbowałem ją przekonać. Ale teraz to już nie ma opcji. Powiem jej: „Jak chcesz się wspinać, to się wspinaj po schodach, zamiast jeździć windą. Ale na góry ban”. Tak zrobię. A ty?

– Co ja? – uchyliła się od odpowiedzi.

– Zakażesz mu?

– Wiesz dobrze, że tego nie da się zakazać. Oni nie są ubezwłasnowolnieni.

– To spierdalaj.

– Co?!

– Od niego. Uciekaj z tego związku. Dobrze ci radzę. Nie jesteście przecież ze sobą długo. Jeszcze możesz. Chcesz dalej przeżywać takie jazdy? Do skutku? Do emerytury? – pytałem prowokacyjnie. – Lepiej będzie, jak go pogonisz. No jak długo jesteście razem?

– Ty też możesz pogonić Kaśkę. Staż związku nie ma znaczenia.

Westchnąłem. Zaburczało mi w brzuchu. Pisarka poczęstowała nas herbatą i imbirowymi ciasteczkami z metalowego pudełka, ale to było kilka godzin temu.

– Dobra, nie gadajmy o tym. Mnie to po prostu wkurza, że ja nadal nie wiem, po tylu latach, dlaczego to wspinanie się jest dla niej takie

ważne. – Westchnąłem ciężko.

– A ja wiem – odpowiedziała Julka.

– Naprawdę? Powiedz.

Byłem ogromnie ciekawy jej opinii, ale niestety musieliśmy przerwać rozmowę, bo przed klubem zaczął się ruch. Minus czekania w pewnej odległości od wyjścia był taki, że kiedy Baker wyszedł, nie zdążyliśmy do niego dobiec. Zmyliło nas, że miał teraz na głowie kapelusz kowbojski i był w większej grupie. Kiedy się zorientowaliśmy, że to on, silnik maserati grał już szlachetnymi basami.

Razem z Bakerem jechały dwie kobiety. Towarzyszyło mu jeszcze kilkoro roześmianych, rozkrzyczanych młodych ludzi, którzy usiedli do czterech innych samochodów. Wybiegliśmy z auta, próbując łąpać Bakera, ale maserati już wyjeżdżało z parkingu.

– Wracamy! – zakomenderowałem.

Pobiegliśmy z powrotem do subaru. Tym razem nie obawiałem się, że zgubię Bakera, bo kawalkada czterech aut jechała wolniej.

– Wiesz co, zadzwonię do niego jeszcze raz – zaproponowała Julka. – Może tym razem odbierze.

Nic z tego. Telefon, którego numer dała nam stara Angielka, milczał, nie zgłaszała się nawet poczta głosowa. Facet był zajęty zabawą, a może w ogóle nie odbierał połączeń od nieznanymi numerów?

Nagle lunął deszcz, zupełnie bez zapowiedzi. Od razu włączyłem wycieraczki na najwyższe obroty, ale mimo to widoczność znacząco się pogorszyła.

Pieprzona pora deszczowa.

Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w czerwone światła toyoty C-HR, która jechała na końcu orszaku Bakera.

– Pewnie wybierają się do innego klubu – zasugerowała Julka.

Mylili się. Opuściliśmy centrum miasta, gdzie tętniło nocne życie. Dwadzieścia minut później byliśmy już na przedmieściach. Kawalkada aut zaczęła wspinać się drogą w kierunku Nagarjun.

– Jadą do niego – powiedziała z nadzieją Julka.

– Pewnie tak.

Po kolejnym kwadransie i kilkunastu ostrych zakrętach dotarliśmy do celu podróży. Auta przejechały przez otwartą bramę i zatrzymały się kilkadziesiąt metrów dalej, przed okazałą, choć parterową willą.

Niewiele myśląc, podążyłem za ostatnią toyotą. Nie było cerbera, który strzegłby dostępu, nikt mnie nie zatrzymał. Zaparkowałem i zgasilem silnik. Staliśmy na wysypanym białymi kamykami parkingu, obok kilku innych aut. Popatrzyliśmy z Julką po sobie. Uchachane towarzystwo zaczęło pakować się do willi. W sumie kilkanaście osób, wszyscy jak z amerykańskiej komedii o beztroskich dzieciakach z college'u: czapki bejsbolówki, bluzy z kapturem, niedbałe gesty, kusząco pobrzękujące sześciopaki budweisera.

Ulewa ustała, ale cały czas było parno. Nagle przystanęłem jak rażony gromem. W głębi posiadłości na podświetlonym lądowisku prężył się nasz Święty Graal – ogromny, czarny helikopter, który wyglądał jak pojazd z jakiegoś futurystycznego filmu. Po prostu piękny. Stał okadzany kłębamii pary, która unosiła się z ziemi po niedawnym deszczu.

– Idziemy – zdecydowałem. – Teraz albo nigdy.

31. JULIA

– Nie pij – powiedziała, obrzucając Krisa proszącym spojrzeniem, które chyba jednak wyszło mi bardziej karcąco.

W odpowiedzi przewrócił oczami i jak gdyby nigdy nic kontynuował szykowanie sobie drinka. Sprawnie zmieszał alkohole, jakby zajmował się tym zawodowo, szczypcami wyłuskał z metalowego wiaderka okazałą kulę lodu i wpasował ją w szklaneczkę, tak że bursztynowy płyn uniół się do krawędzi, ale nie wylała się ani kropla.

– Zrzędzisz jak moja matka – prychnął.

W poszukiwaniu Bakera obeszliliśmy przeszklony bungalow, w którym rozkręcała się impreza. Na tyłach budynku znajdował się taras z zapierającym dech widokiem na miasto. Czułam się, jakbym miała u stóp nocne Katmandu, udekorowane miriadami świateł.

W rogu tarasu, tuż przy wejściu do willi, pod szklanym zadaszeniem stał sporych rozmiarów drewniany stół zastawiony wszelkimi możliwymi alkoholami, czystymi szklankami i kieliszkami. Były tu też dwa metalowe wiaderka – jedno z kostkami, drugie z kulami lodu. Nikt

nas nie zaczepił ani nie zatrzymał, wmieszaliśmy się w towarzystwo, które przyjechało tu z klubu nocnego.

Czułam się z tym dziwnie, a Kris zachowywał się jak gdyby nigdy nic.

– Muszę się napić. Należy mi się. Jestem psychicznym wrakiem – powiedział i pociągnął łyk przygotowanego przez siebie drinka. – Już nie mogę... Boże... Nie mam siły, rozumiesz? Ty też powinnaś się choć trochę wyluzować, bo zwariujemy.

– A jak wrócimy potem do hotelu?

– Ty będziesz prowadzić. Albo ja wytrzeźwieję. Albo wezwiemy ubera. Problemy są po to, żeby je rozwiązywać. Mamy ściągać ludzi z Everestu, a zastanawiamy się, jak wrócić po imprezce do hotelu? Dżizas!

Rozumiałam, że to taka taktyka, że tak naprawdę nie stał się nagle beztrocki, tylko próbuje choć na chwilę odciągnąć nas od myślenia i skupiania się na ratowaniu naszych bliskich.

– A jeśli Baker odmówi i będziemy musieli dalej szukać? – Nie odpuszczałam. – Powinniśmy zachować przytomność umysłu.

– Jak nam odmówi, to już ni chuja nie znajdziemy innej opcji – odpowiedział Kris gardłowym, jakby nie swoim głosem. – To jest nasza ostatnia deska ratunku. Zrozum to... Dotarliśmy do ściany. Wóz albo przewóz. Helikopter albo karawan...

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Dobra, już nie kraczę – westchnął w końcu. – Ale chcę się upić, okej? Chociaż odrobinę.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem.

– Tobie też coś zmajstrować? Co sianowna pani sobie życzy? – Kris przyjął żartobliwy ton. – Dla takiej wyrafinowanej konsumentki to może cosmo? Albo sex on the beach? Zaufaj mi, na studiach dorabiałem jako barman...

Mrugnął porozumiewawczo, ale pokręciłam głową.

– Po prostu znajźmy go jak najszybciej.

– Wyluzuj... W nocy i tak żaden helikopter nie poleci.

– Wiem przecież. Nie o to chodzi. Wtargnęliśmy do czyjegoś domu...

Kris prychnął lekceważąco i upił spory łyk drinka.

– Nigdy nie wbiłaś się na imprezę? Cel uświęca środki. A do odważnych świat należy. Wymieniać dalej?

Uśmiechnęłam się lekko. Mój towarzysz niedoli, z tą swoją dezynwolturą i wyluzowanym stylem bycia, pasował jak ulał do imprezy u amerykańskiego milionera. Nawet ubrany był podobnie – w markowe casualowe ciuchy. Pomyślałam, że osławione K2_lifestyles wreszcie na coś się przydały. Dzięki nim zdołaliśmy gładko wmieszać się w to towarzystwo.

– Po prostu znajdziemy faceta i załatwimy to – powtórzyłam jak mantrę.

– Wy Poljaki? – usłyszałam nagle za plecami kobiety głos.

Odróciłam się spłoszona. Patrzyła na nas para zwięzonych, mocno umalowanych oczu, należących do młodej dziewczyny, tlenionej, przysadzistej blondynki.

– Hi! How are you?¹¹ – Kris w ułamku sekundy wszedł w rolę czarusa. Posłał Rosjance uśmiech i jak gdyby nigdy nic wypił kolejny łyk alkoholu.

Ja nie potrafiłam zagrać kogoś innego ani nawet innego stanu ducha. Strach miałam wypisany na twarzy, co tylko wzmogło podejrzliwość mocno umalowanej kobiety.

Spojrzała na mnie krzywo i wzięła się pod boki.

Już było po nas.

32. KRIS

Szczerze powiedzawszy, miałem gdzieś, że zdemaskowała nas ruska lala. To była najszybsza droga, żeby stanąć przed obliczem Borisa Bakera. W głowie już lekko szumiał mi alkohol, ale z jakiegoś powodu nie weszła mi ta przyjemna faza, kiedy po drinku otaczający świat traci trochę ze swojej ostrości i szorstkości.

Pomyślałem, że to jednak będzie słaba biba.

Miałem przecucie, graniczące z pewnością, że nie uda nam się załatwić śmigłowca. Wprawdzie maszyna naszych marzeń była na wyciągnięcie ręki – dosłownie, bo helikopter stał kilkanaście metrów od nas na lądowisku. Ale całe to towarzystwo wokół... Byli za młodzi, bogate dzieciaki. Bawią się w swojej piaskownicy jak w kokonie. Co oni mogą wiedzieć o życiowych tragediach? Czy rozumieją?

Julka zauważyła to pierwsza. Kiedy warowaliśmy przed klubem Neverest, powiedziała, że Baker jest jak księżę Budda, nim wyrwał się ze złotej klatki. Podobno ojciec trzymał go w pałacu, z dala od wszelkich nieszczęść i przekleństw tego świata. Dopiero po wyjściu na ulicę młody księżę zobaczył biedę, syf, cierpienie, choroby i śmierć. I to doprowadziło do jego przemiany duchowej i narodzin jednej z trzech największych religii tego świata.

– Who the hell are you?¹² – wrzeszczała tandetna Rosjanka, a kolczyki z wielkimi, fejkowymi diamentami dyndały w jej uszach.

W ciągu kilkudziesięciu sekund dopadło nas dwóch ochroniarzy, niskich Nepalczyków w czarnych garniturach.

– Chcemy zobaczyć się z Borisem – powtarzałem jak katarynka po angielsku, bo bałem się, że po prostu wezmą nas za fraki i wyrzucą z posiadłości.

Ochroniarze się zawahali. Z lokalsami pewnie by się nie patyczkowali, ale mieli opory przed potraktowaniem z buta dwójki Europejczyków. Przez moment się naradzali, po czym poprowadzili nas do wnętrza willi.

Do budynku weszliśmy przez taras, z którego rozciągał się bajeczny widok na Katmandu by night. Nie wiem, jak daleko rozciągała się posiadłość Bakera, w każdym razie widać było jeszcze sporych rozmiarów basen, a jakieś sto metrów dalej majaczyło w ciemnościach coś na kształt żywopłotu.

W salonie bawiło się około dziesięciu osób. Światła były wyłączone, nie licząc nastrojowej lampy w kącie, ale w pomieszczeniu nie było ciemno. Podwieszony pod sufitem projektor wyświetlał na ścianie naprzeciwko wyjścia na taras gigantyczne zdjęcia i filmiki kręczone przez Bakera i jego kumpli.

Biel śniegu na zboczach gór kłuła w oczy, jaskrawe kolory kurtek i czapek wręcz skrzyły się w rozrzedzonym powietrzu, szalony montaż zastępował dyskotekowe stroboskopy. Przez chwilę patrzyłem jak oniemiały, podziwiając w równej mierze rozdzielczość obrazów i małpie akrobacje wykonywane przez snowboardzistów, ześlizgujących się z niemal pionowych grani, mijających w dzikim pędzie fantastyczne kształty formacji lodowych. Ujęcia z dronów i nagłe odjazdy w górę ukazywały ogrom, rozległość gór, przyniatające poczucie pustki.

I – jak dla mnie – ogromny brak sensu w tym wszystkim.

Amerikanin siedział rozparty na kanapie w rogu salonu, właściwie półleżał. Po jego prawej i lewej stronie przycupnęły piękne kobiety. Jedna z nich, ciemnoskóra, była dystygowana, z gracją krzyżowała nogi i trzymała kieliszek z białym winem. Druga, krótko ostrzyżona blondynka, choć również miała ładną buzię, sprawiała wrażenie chłopczy, piła budweysera z butelki.

Baker był szczyłem, miał nie więcej niż dwadzieścia dwa lata. Chudy, wysoki, stopy w biało-czerwonych air maxach, które opierał na stoliku kawowym, miał w jakimś kosmicznym rozmiarze. Facet pewnie wyrósł tak w Stanach na kurczakach pędzonych hormonem wzrostu. Obrzucił nas obojętnym spojrzeniem. Nie zdjął nóg ze stolika, ale nie wyglądał na mocno pijanego, co przyjąłem z zadowoleniem. Tak naprawdę ten imprezowy vibe był mi bliski. Ukłuła mnie nutka nostalgii. Nie wiem kiedy, nie wiem jak, ale przestałem być dwudziestolatkiem i entuzjastą tego typu wesołości.

Pozwoliłem, żeby tłumaczyła się za nas Julka. Sądząc po damskim towarzystwie Amerykańca, tak było lepiej. Poza tym ona ładniej ode mnie wysławiała się po angielsku. Była szansa, że jej brytyjski akcent zrobi na nim wrażenie.

– No, mam śmigło – powiedział z satysfakcją Baker, kiedy Julka skończyła opowieść. – I najlepszego pilota w Nepalu.

Głos miał mocny, dość niski, mrużący, pasował do kogoś na maksa wyluzowanego, upalonego trawką.

– Prosimy, pomóż nam...

– Nie wynajmuję go. Poza tym nie stać was.

– Proszę – odpowiedziała Julka, składając ręce jak do modlitwy. – Zapłacimy. Naprawdę potrzebujemy pomocy. Desperacko potrzebujemy pomocy...

Widać było, jak z każdą sekundą Baker traci nami zainteresowanie. Narcystyczny wzrok uciekał mu co chwila w stronę wielkiego ekranu, na którym mógł podziwiać siebie i swoje wyczyny.

Julka się nie poddawała. Starła się go przekonać, mówiąc o trójce uwięzionej na zboczach Everestu i o prowadzonej w Polsce zbiórce pieniędzy. Nie wtrącałem się, ale intuicyjnie czułem, że to ślepa uliczka. Niestety, żadna lepsza strategia nie przyszła mi do głowy.

– Nie chodzi o kasę – zaśmiał się w końcu Baker.

Rzeczywiście, miało się wrażenie, że gówniarz milioner sięgnie do kieszeni, wyciągnie gruby plik studolarówek i sygnie nimi, niczym konfetti, w tłum znajomych.

– A o co chodzi? – spytałem.

– Przekonaj mnie... – Bezcelny chłopak zwrócił się do Julki, kompletnie mnie ignorując. – Przekonaj mnie, żebym ci pomógł. Jutro rano mieliśmy lecieć na Manaslu na snowboarding. Mam z tego rezygnować? Dlaczego?

– Chodzi o życie mojego chłopaka. I dwóch innych osób.

Baker nie odpowiedział od razu, bo nagle w salonie zrobiło się zamieszanie. Dwóch tęgich byczków, którzy już z trudem trzymali się na nogach, podbiło do gospodarza.

Nie byłem w stanie zrozumieć, o co go pytali. Mówili głośno, ale z tak silnym akcentem, chyba z południa Stanów, że nie rozumiałem ani słowa. Możliwe też, że bełkotali, bo mieli już nieźle w czubie.

– Idźcie, dobra – odpowiedział Baker. – No już, spadać.

Byczki się zawahały. Pewnie chcieli porwać ze sobą atrakcyjne kobiety, które siedziały na kanapie, ale Baker zgromił ich spojrzeniem. Kiedy odeszli, zwrócił się ponownie do Julki.

– Nadal nie wiem, dlaczego mam ci dać swoje śmigło.

– Chodzi o życie...

– Już mówiłaś – wszedł Julce w słowo. – Ale w każdej chwili na świecie zagrożone jest jakieś życie, które mógłbym ratować. Nie jestem pieprzonym Batmanem.

Towarzyszki Bakera jak na komendę zachichotały. Julka milczała. Posłała mi pospieszne spojrzenie, które było wołaniem o pomoc. Ale ja nie miałem pomysłu, jak trafić do serca zepsutego, bezdusznego gówniarza.

– Przekonaj mnie, żebym ci pomógł... – powiedział Baker, posyłając Julce wyzywające spojrzenie. – Masz minutę.

33. JULIA

– Dobrze, podpowiem ci, bo czas leci. Zostało trzydzieści sekund – powiedział Baker. – Może na początek się rozbierz.

Młodzi mężczyźni ryknęli śmiechem. Miałam nadzieję, że to rodzaj testu. Gorzej, jeśli to był okrutny żart rozkapryszonego młodego bogacza. Może chciał błysnąć przed kumplami, urozmaicić imprezę jakimś spektakularnym wygłupem, który będą wspominać następnego dnia, jak wytrzeźwieją.

Publiczne obnażanie się jest w pierwszej piątce moich traum, regularnie nawiedza mnie w koszmarach sennych. Ponoć oznacza obawę przed ujawnianiem swoich uczuć.

Im dłużej stałam jak skamieniała, tym bardziej docierało do mnie, że facet nie żartuje. A ja wpadłam jak śliwka w kompot. Głośna muzyka biła mnie basami po głowie, oczy kłuła biel śniegu i fluorescencyjne kolory kombinezonów snowboardowych na wyświetlanych filmikach.

Co miałam zrobić? Zrezygnować? To nie wchodziło w grę. By ratować Marka, zrobiłabym wszystko. Chodziło o życie. Jego życie było w moich rękach. Nagle przed oczami zobaczyłam nie szalony montaż snowboardowych tricków, ale te wszystkie lata, miesiące, tysiące dni, miliony chwil. Moich, Marka, naszych, wspólnych. Łzy, uśmiech, szarość codzienności, siwe włosy na skroniach, kurze łapki wokół oczu.

Byłam przekonana, że zamiast się rozebrać, rozsypię się psychicznie. Będę stać jak lampa albo się rozplącę. Tymczasem zmierzenie się z traumą ze snów przyszło mi zaskakująco łatwo. Wręcz poczułam ulgę, że ktoś w końcu przejął inicjatywę i wskazał mi, co konkretnie mam zrobić, żeby ratować Marka. Nieważne, że to była idiotyczna zachcianka multimilionera. To było działanie, na którym mogłam się skupić, a które przybliżało mnie do celu.

A przynajmniej tak mi się wydawało.

Poza tym byłam tak zmęczona i obolała psychicznie, że nie czułam wstydu. Po kilkudziesięciu godzinach niemal ciągłego strachu o życie ukochanego było mi już wszystko jedno. Dwie piękne modelki, które siedziały z Bakerem na kanapie, wygięty swe łabędzie szyje i obrzuciły mnie zimnym, nasączonym pogardą spojrzeniem. Pan i władca sytuacji wyglądał na rozbawionego. Za plecami cały czas słyszałam rechot jego kumpli. Dwóch z nich przemieściło się, żeby mieć lepszy widok. Próbowali dosiąść się na kanapę, ale Baker pogonił ich spojrzeniem.

Drżącymi rękami ściągnęłam bluzkę. Byłam na łasce i niełasce młodego Amerykanina. Jeden fałszywy ruch, coś popsuje mu humor i szansa na helikopter bezpowrotnie przepadnie. Zerknęłam na Krisa. Uspokoiłam go spojrzeniem, bo widziałam jego zaciśnięte pięści. Bałam się, że się wtrąci i wszystko popsuje.

– Jak masz na imię? – zwrócił się do mnie Baker. Byłam już tylko w bieliźnie. – Przypomnij mi.

– Julia.

– Słuchaj, Julia, nie rozbierasz się w szpitalu przed operacją.

Uwaga gospodarza wywołała nową salwę śmiechu wśród jego gości. A ja wiedziałam, że jest źle.

– Bo nie uwierzę, że masz jakiegoś chłopaka – kontynuował Amerykanin. – Chyba rozbierałaś się już dla niego. Czy wy tylko pod kołdrą przy zgaszonym świetle?

Teraz już wszyscy z wyjątkiem Krisa ryczeli ze śmiechu, ktoś rozlał drinka. Ale upokorzenie się mnie nie imać. Bałam się jedynie, że zaprzepaszczę szansę na helikopter, który może uratować Marka. W filmach wielokrotnie widziałam sceny, w których bohaterka w kokieterijny i kuszący sposób pozbywała się garderoby.

Kompletna fikcja.

Zacisnęłam zęby i zdjęłam stanik. Kątem oka zauważyłam ruch z mojej prawej strony. Dwie modelki spojrzały w tamtym kierunku, ożywiły się, a kumple Bakera zaczęły wydawać okrzyki dezaprobaty.

Obróciłam się i zobaczyłam, że Kris również się rozbiera. Jednym zwinnym ruchem zrzucił z siebie kobaltową bluzę z kapturem, potem buty, koszulkę. Szło mu dużo lepiej niż mnie, miał seksapil i doświadczenie. Często wrzucał zdjęcia z nagim torsem, nagrywał relacje, stojąc przed lustrem w hotelowej łazience. Tłumaczył mi ze śmiechem, że nic tak nie przykuwa uwagi odbiorców w mediach społecznościowych jak błysk golizny.

Ujęło mnie, że solidaryzuje się ze mną, zrobiło mi się różnie, ale jednocześnie poczułam strach. Wiedziałam, że rozkapryszony Amerykanin zareaguje irytacją.

34. KRIS

Żal mi było Julki. Widziałem, jak się stresuje. Pasowała do tej imprezy w bractwie studenckim jak pięść do nosa. Robiła, co mogła, ale nasze szanse na helikopter Bakera, które od początku wydawały mi się nikłe, teraz szorowały po dnie. Postanowiłem, że jej pomogę – pogorszyć sytuacji już i tak nie mogłem.

Parsknąłem śmiechem, ściągając niebieską bluzę z kapturem z dużym napisem „EPIC”, jakże wymownym. Zdjąłem buty, zapierając czubek jednego o piętę drugiego. Potem zabrałem się za błękitną koszulkę z przyjemnej, miękkiej bawełny, którą dostałem od Kaśki na Gwiazdkę. Jeden odważny ruch i już leżała na podłodze. Receptą na dobry striptiz jest pewność siebie.

Kiedy byłem już nagi do pasa, zrobiłem krótką przerwę, nim wziąłem się za spodnie. Poruszałem się w rytm muzyki, leciał właśnie głupiutki utwór Britney Spears „Toxic”, pomagał mi. Sugestywnym gestem przejechałem po swoim torsie, mięśniach brzucha, pozwoliłem, żeby dłoń wsunęła mi się pod pasek spodni. Parę lat temu prawie wyłudowałem jako striptizer na wieczorze panieńskim znajomej ze studiów. Jej drużna błagała mnie o pomoc, bo ktoś tam wystawił ją do wiatru, ale w ostatniej chwili udało się to odkręcić.

Jednym słowem – nadawałem się. Lata spędzone na siłowni i tak dalej.

Bachor na kanapie najpierw spojrzał na mnie z wściekłością, ale jakimś cudem powstrzymała go reakcja dziewczyn. Chyba gnojek szybko skalkulował, że choć jest tutaj samcem alfa, a raczej samcem kasa, to rząd dusz wymyka mu się z rąk. Byłem jak błazen na dworze despoty, który może sobie pozwolić na dużo więcej niż zwykły śmiertelnik.

– Idziemy na basen – zarządził Baker, kiedy zostałem już tylko w dopasowanych bokserkach, a wszystkie kobiety wokół klaskały i zachowywały się jak cheerleaderki.

Poderwał się z sofy i gwizdnął, jakby przywoływał psa. Muzykę ucięto. – Na basen – huknął.

Nastąpiło lekkie zamieszanie, przegrupowanie, goście Amerykanina karnie zaczęli kierować się w stronę tarasu. Julka zniknęła mi z pola

widzenia, chyba czmychnęła gdzieś w kąt, żeby się ubrać. Ja postanowiłem zostać w bieliźnie. Zebrałem jedynie swoje ciuchy i prowokacyjnie położyłem je na sofie, na której jeszcze przed chwilą siedział gospodarz imprezy.

Zagadały mnie dwie dziewczyny.

– On nie lubi konkurencji – powiedziała krzepka blondynka. Mówiła głośno, odrobinę za głośno, ale Amerykanie często tak mają.

– Nie miałyby szans – odpowiedziałem.

Dziewczyny zaśmiały się. Razem ruszyliśmy w stronę tarasu.

Nie piłem już więcej alkoholu, ale wziąłem coś, przyznaję się bez bicia. Tabletkę, którą podała mi ta druga, szatynka o zawadiackim spojrzeniu, nie tak urodziwa, żeby być modelką, ale miała coś w sobie. A to, co mi podała, to pewnie było MDMA¹³. Pomyślałem, że powinienem odmówić, bo przecież jesteśmy tu z ważną misją. Wydawało mi się, że czuję na sobie karcące spojrzenie Julki, ale prawda była taka, że miałem wielką ochotę na chwilę się zapomnieć. Byłem wykończony psychicznie i potrzebowałem odskoczni. Dwie doby nieustannego drżenia o Kaškę ciążyły mi niemiłosiernie i wiedziałem, że jeśli jakoś się nie zregeneruję, długo tak nie pociągnę.

Wyszliśmy na taras, poza zasięg działania klimatyzacji. Oblepiło nas ciepłe, wilgotne powietrze. Kolejni goście Amerykanina wyskakiwali z ciuchów i wskakiwali do basenu. Rihanna, schowana w wielkim bezprzewodowym głośniku, który leżał na trawie, wyła na cały regulator, że chce lśnić jak diament na niebie. „Jak diament na niebie – upierała się – jak diament na niebie”¹⁴.

Jakie Katmandu? Jaki Nepal, prawie że Trzeci Świat z biedą i głodem... Nagle znalazłem się w słonecznej Kalifornii.

Towarzyszące mi dziewczyny poszły gdzieś, chyba po drinki.

– Tu jesteś... – usłyszałem za plecami głos Julki.

Odróciłem się. Była z powrotem ubrana i wyglądała na przybitą. Już miałem się do niej odezwać, kiedy nagle wyrósł przede mną Baker. Nie jestem niski, ale facet miał grubo ponad metr dziewięćdziesiąt.

– Masz zabawiać Nadię – powiedział, przekrzykując Rihannę i dźgając mnie palcem w tors, aż zabolalo. – A ty – zwrócił się do Julki – chodź, pogadamy o interesach.

Nie miałem pojęcia, która to Nadia, ale obstawiałem, że to dziewczyna z pigułkami. Ewentualnie blondynka, która zagadała mnie jako pierwsza. Ale raczej ta szatynka, bo wyczuwałem z jej strony zainteresowanie, może też zauważył je Baker. Albo szepnęła mu coś na uszko.

Nie uśmiechało mi się, żeby zostawić Julkę samą, ale nie mogłem przecież dyktować Bakerowi warunków. Zwłaszcza że, jak sam powiedział, chciał rozmawiać o interesach, więc była szansa na helikopter. Spojrzałem jeszcze kontrolnie na Julkę, uspokoiła mnie, uśmiechając się, po czym zniknęła z powrotem w willi.

Oduściłem i ruszyłem na poszukiwania Nadii. Miałem rację, to była ta druga. Blondynka miała na imię Sarah i figlowała w basenie, siedząc na ramionach jednego z przydupasów Bakera i głośno piszcząc. Szybko jednak okazało się, że Nadia też wcale nie jest tu sama. Podszedł do niej młody chłopak, szczupły, wysoki blondyn z licznymi drobnymi tatuażami na przedramionach i większym, fragmentem jakiejś mapy – skarbu? – na plecach. Objął dziewczynę zaborczym gestem i pocałował w czubek głowy.

Odetchnąłem z ulgą. Ale przedwcześnie. Nie wypuszczając dziewczyny z objęć, blondynek podążył za jej wzrokiem i uśmiechnął się do mnie spod przymrużonych powiek. Trwało to sekundę, ale wiedziałem, że się nie mylę.

A potem znów zwrot akcji. Nagle oboje stracili zainteresowanie moją osobą. On wziął ją, rozbawioną, na ręce i razem wskoczyli do basenu. Zastanawiałem się, czy nie wkręcą się w jakąś paranoję. Wypiłem trochę na pusty żołądek, bo przez cały dzień nic nie jadłem, nie licząc kilku ciastek u starej pisarki. Kręciło mi się w głowie, pigułka też już wskoczyła na swoje miejsce.

Było mi błogo. Choć nie przestawałem myśleć o Kaśce, strach o nią był przytłumiony. Nadal kłutł, ale nie tak boleśnie – trochę jak stłuczona szklanka zbierana dłonią, ale w ochronnej rękawiczce.

Postanowiłem, że poszukam Julki, ale kiedy zrobiłem kilka kroków wzdłuż basenu, kierując się w stronę willi, świat nagle zawirował.

Chwilę później otaczało mnie ciepło, a głos Rihanny dobiegał jakby z daleka.

Zrobiło mi się przyjemnie i pomyślałem, że dzieciaki mają prześwietny towar. Ale błogość nie trwała długo. Zacząłem się dusić, nie mogłem oddychać.

Wtedy dopiero zrozumiałem, że wpadłem do basenu. Chwyliły mnie czyjeś ręce. Nie wiem, czy byłbym w stanie wydostać się na powierzchnię sam.

– You all right?!¹⁵ – wołała dziewczyna.

Jak ona miała na imię? Już wszystko mi się myliło. Natalia? Chyba Nadia.

Trzymała mnie i ona, i jej chłopak. Podziękowałem za ratunek, oboje zaczęli się śmiać i żartobliwie mi dogadywać, że mam słabą głowę i tak dalej.

– Co ty mi dałaś? – spytałem, ale bez pretensji w głosie.

– Tę z „Matrixa” – odpowiedziała, mrugając porozumiewawczo.

Kręciło mi się w głowie, więc na chwilę porzuciłem plany szukania Julki. Zwłaszcza że woda w basenie była tak przyjemnie ciepła...

Zaczęliśmy rozmawiać i szybko utwierdziłem się w przekonaniu, że dziwna parka młodych ludzi czegoś ode mnie chce. Nie miałem ochoty wchodzić z nimi w intymne relacje. Bałem się, że jeśli im odmówię, skrzywią się, spluną na mnie i całą operację załatwienia helikoptera szlag trafi. Byli bliskimi przyjaciółmi Bakera, skoro on sam kazał mi się zająć dziewczyną. Ale wiedziałem, że nie przemogłbym się, by pójść z nimi do łóżka. Nie interesowały mnie trójki, a już na pewno nie z udziałem kolesia.

Ale gdyby od tego zależało życie Kaśki?

Wirowało mi w głowie. Katmandu, Nepal, Kalifornia, Napa Valley. Byliśmy z Kaśką w Kalifornii rok temu, jeździliśmy po winnicach. Do dziś pamiętam smak tamtego zinfandela. Dlaczego jej pasją nie stało się odhaczanie kolejnych szczepów win zamiast ośmiotysięczników?

Blondynek i Nadia całowali się, co chwila strzelając do mnie spojrzzeniami spod rzęs. Na szczęście nie byli napastliwi. Może podniecała ich sama zabawa w kusicieli, w kłusowników, którzy próbują złapać w sidła upatrzoną przez siebie ofiarę.

Opowiadałem im o wyprawie, o lawinie i o mojej żonie uwięzionej gdzieś na zboczach Everestu. Boże, jakie to było surrealistyczne! Czułem, że w żołądku zbiera mi się złość na Kaśkę. Gdyby nie jej głupia pasja

wspinania, moglibyśmy teraz na luzie bawić się na podobnej imprezie w San Francisco czy Los Angeles, gadać o życiu – albo o głupotach – z jakimiś beztroskimi i bezrefleksyjnymi Amerykanami. Tymczasem musiałem wszelkimi sposobami zagłuszać nieznośny strach o żonę, który przybierał formę niemal fizycznego bólu trzewi. Stawać na głowie, żeby wygrać walkę z czasem i uratować ją, umierającą nocą w namiocie przysypanym śniegiem, ledwie sto pięćdziesiąt kilometrów stąd.

W co ja się, na litość boską, wpierdoliłem? Za jakie grzechy?

– Myślicie, że ten... tam... ten wasz przyjaciel da nam... to znaczy pożyczy swój helikopter? – spytałem, czując, że język mi się płące.

– Boris? On jest super... Szalony! – mówili jedno przez drugie, nienaturalnie rozgadani.

Pomyślałem – kto wie, może rzeczywiście typowa dla młodych głów zapalczywość i fantazja sprawią, że bogacz jednak zapragnie przeprowadzić, a może nawet zasponsorować, nietypową akcję ratunkową w Himalajach. Może jeśli jeszcze Julka połechce jego próżność, opowie mu o starej Angielce, która zamierza to wszystko opisać w powieści... Może sam będzie chciał nakręcić film o tej akcji?

Genialne! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?

Zacząłem rozglądać się za Julką. Powinienem podrzucić jej ten trop z filmem, ale w końcu uznałem, że jest inteligentna, sama na to wpadnie.

– Szukasz tej swojej drętwej przyjaciółki? – zapytał blondynek, chyba Cody, ale jego imię wpadło mi jednym uchem, a wypadło drugim. – Nie martw się, na pewno dobrze się bawi z Borisem.

Nadia zaśmiała się, ale jakoś tak dwuznacznie.

– Czy on... nic jej nie robi? – spytałem.

– Nie – odparł chłopak, po czym znów postał mi sugestywne spojrzenie spod rzęs. – Boris jest okej...

– Tylko czasami mu odwala... – dopowiedziała Nadia.

DZIEŃ CZWARTY – PIĄTEK

35. JULIA

Nie zmrużyłam oka, mimo że prawie nie spałam również przedwczoraj i trzy dni temu, kiedy zeszła lawina. Moje ciało dziwnie reagowało na brak snu, jakby stawało się coraz bardziej nie moje, obce. Jakaś ręka machała mi przed oczami, gdy myłam zęby, ktoś z podkrążonymi oczami patrzył na mnie z lustra. Do tego dochodziło rozdrażnienie i trudności z koncentracją. Nie potrafiłam zebrać myśli, rozpierzchały się na wszystkie strony. Wiem, że himalaiści przed atakiem szczytowym potrafią nie spać nawet trzy doby, po prostu nie są w stanie zmrużyć oka w ekstremalnych warunkach, jakie panują powyżej ośmiu tysięcy metrów. Nie umiałam sobie wyobrazić, jak w takim stanie mogą wykonać ten najtrudniejszy krok – stanąć na szczycie, dojść do granicy ludzkich możliwości, a potem jeszcze zejść, zachowując przytomność umysłu i nie zabijając się po drodze.

Z rezydencji Bakera wyszliśmy, nie pamiętam... O drugiej? Może o trzeciej w nocy. Byłam emocjonalnie wybebeszona i zwalcowana, a jeszcze musiałam prowadzić auto. Kris był ledwo przytomny, wziął coś, wypił dużo więcej, niż obiecywał, byłam na niego wściekła. Z trudem dociągnęłam go do samochodu. Ale przynajmniej zaraz usnął, podczas gdy ja ustawiałam lusterka i próbowałam przysunąć fotel bliżej kierownicy.

Słabo prowadzę samochód, jestem niedzielnym kierowcą. Jeżdżąc po Warszawie, korzystam z autobusów i metra. Nie mam auta, Marek zresztą też nie – on dla odmiany jeździ elektrycznym rowerem, nawet zimą. Ruch lewostronny w Katmandu tylko potęgował mój stres. Wszystko było na odwrót, miałam wrażenie, że stałam się Alicją

po drugiej stronie lustra. Na szczęście w środku nocy na drogach było pusto.

– Czekaj... Załatwiłaś? – wymamrotał Kris, kiedy ocknął się po kilku minutach drzemki. – Lecimy?

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Na razie jedziemy. Do hotelu.

– Jak to nie wiesz? – Kris skrzywił się, jakby wyjście ze snu i powrót do rzeczywistości sprawiały mu ból. – Co powiedział?

– Że zadzwoni.

– Faceci zawsze tak mówią, ale potem nigdy nie dzwonią... – Kris zaśmiał się z własnego żartu.

Zagotowało się we mnie. Miałam ochotę wrzasnąć na niego, ochrzanić go. Ale jak zwykle zdusiłam krzyk w sobie. Nie lubię wyładowywać się na innych, nawet jeśli im się należy.

Droga, na której próbowałam skupić wzrok, rozmyła mi się. Ale to nie była kolejna porcja monsunowej ulewy, tylko moje łzy. Nawigacja podpowiadała, że do naszego hotelu jest jeszcze piętnaście minut. Uciekłam myślami w bezpieczny zakątek, wśliznęłam się do śpiwora Marka, gdzieś na zboczach Everestu, żeby przytulić się, ogrzać go, zapewnić, że pomoc jest już w drodze.

Nie szło mi to szukanie schronienia w myślach, nic się nie kleiło. Śpiwór był mokry i zimny, nie byłam w stanie wywołać obrazu Marka. Przywoływałam zapamiętane szczegóły jego twarzy i ciała – kształt ucha, które wyglądało, jakby się kuliło, pieprzyk na lewym policzku, dołek w brodzie, piegi na ramieniu, ale rozsypane detale były jak puste zaklęcia. Nijak nie chciały złożyć się w całość.

Przestraszyłam się, że już go nie pamiętam. I już nigdy go nie zobaczę.

– Ale co? Co ci powiedział? Kazał ci coś zrobić? – spytał Kris w kolejnym przebłysku przytomności. Odchrząknął i wyprostował się w fotelu pasażera.

– Co?

– Ty mi powiedz co. Co musiałaś dla niego zrobić?

– Nic nie musiałam.

– Ale co zrobiłaś?

– Nic! Rozmawialiśmy.

– Co?! – Nagle odezwał się przytomnie, jakby w ogóle nie pił alkoholu. – To nie zadzwoni. Nie mamy jebanego helikoptera.

- Powiedział, że zadzwoni. Rano.
- To nie wierzę, że mu nie zrobiłaś loda chociaż. Bez żartów. Tacy ludzie nic nie robią bezinteresownie. Biznes iz biznes.
- Jesteś żałosny. I obleśny.
- To jak go niby przekonałaś?
- Po prostu. Ludzie na ogół pomagają, jak dociera do nich to, że od nich zależy czyjeś życie. Ty byś tego nie zrobił? Nie uratowałbyś ludzkiego istnienia, jakbyś mógł?
- Nie wierzę.
- To nic na to nie poradzę. Może skup się na tym, żeby zebrać dwadzieścia tysięcy dolarów. Taką ustalił cenę. Nie wiem, skąd weźmiemy te pieniądze.
- No nie wierzę. – Przez Krisa przemawiał pijacki upór. – Powiedz mi... Nie miałam ochoty na rozmowę, ale Kris rozbudził się na dobre. Zaczął niezdarnie się wiercić na siedzeniu pasażera.
- Pamiętasz buddyzm? Cztery Szlachetne Prawdy? – spytałam.
- O tym rozmawialiście?
- Czwarta Prawda. O tym, jak wygląda droga wyjścia z cierpienia.
- O to cię pytał?
- Otóż ta Prawda mówi o tym, że jedyną sensowną drogą jest wyzbyć się pragnień i oczekiwań. Przestać robić wszystko, żeby je realizować, ale właśnie pójść w drugą stronę.
- I on to kupił? Nie wierzę.
- Nie. Ty masz to kupić.
- Że co?
- Przestań pożądać odpowiedzi. Wtedy zrozumiesz, że to żądza, w tym wypadku: wiedzy, jest prawdziwym źródłem cierpienia.
- Żartujesz sobie? Ło Jezu, jakie farmazony...
- Nie żartuję. Pożadasz odpowiedzi, może to jeszcze nie jest cierpienie, ale dyskomfort. Małe cierpienie. Tak naprawdę to to samo. Skala może inna, ale każde cierpienie, duże i małe, ma dokładnie taki sam mechanizm. Tak to działa.
- Ty dobra jesteś – mruknął Kris, a głowa znów zaczęła kiwać mu się na boki. – W te klocki. Ale nie kupuję tego. Bo według tej teorii... Religii... Teorii... Nie powinniśmy też odpuścić tamtych? Pożądamy, żeby wrócili. Cali, zdrowi. To takie duże cierpienie...

Usnął. Nawigacja instruowała mnie właśnie, że mam skrócić w prawo. Nie miałam pojęcia, jak to zrobić. W ruchu lewostronnym to jest ten trudniejszy skręt. Miałam pustkę w głowie, byłam pewna, że coś zrobię nie tak i wylądujemy na przeciwnym pasie. W dodatku oślepił mnie podświetlany billboard z reklamą jakiegoś banku.

Pomyślałam, że jeśli rozpędzę się teraz, wjadę na czołówkę z innym samochodem. Może obudzę się w szpitalu, może już się nie obudzę, ale przynajmniej nie będę miała tego wszystkiego na głowie. Akcji ratunkowej, helikoptera, życia trojga przemarzniętych do szpiku kości nieszczęśników, którzy umierają na zboczach Everestu.

Takie myśli nachodzą chyba od czasu do czasu każdego, komu przytrafił się moment desperacji. Historyczne scenariusze przelatują przez głowę, ale zabierają z sobą ułamek przykrego ciężaru. Przynajmniej tyle dobrego z nich wynika. Potem można się uspokoić i znów jest łatwiej. Aż do kolejnego kryzysu.

W ostatniej chwili przed skrętem podczepiłam się pod rozklekotanego pikapa, który przewoził rusztowania. Końcówki długich rur, w żaden sposób nieoznakowane, wystawały z naczepy. Kierowca pikapa również skręcał w prawo, choć z jakiegoś powodu nie zapowiedział manewru kierunkowskazem. Podążyłam za nim i jakoś udało się przemknąć przez skrzyżowanie.

– Nie przejmuj się – próbował pocieszyć mnie Kris. – To się nie liczy. To był stan wyższej konieczności.

– Ty naprawdę uważasz, że koleś, któremu nadskakiwały dwie modelki, który mógł je mieć w każdej chwili, razem albo jedną po drugiej, chciałby przespać się z kimś takim jak ja?

– Przestań, ty też jesteś ładna. Jezu, jesteś jedną z tych lasek, które same sobie podcinają skrzydła. Musisz popracować nad sameoce... samoocena.

– Kris, jesteś albo strasznie pijany i naćpany, albo strasznie głupi.

– Albo jedno i drugie – zaśmiał się. – I trzecie.

– No właśnie. Daj już spokój.

Przeszła mi złość na niego. Gadał od rzeczy, ale to nie była okrutna złośliwość.

– Powiem ci jedno... – wymamrotał, walcząc z czkawką. – Owszem, te modelki na skinienie palca wskoczyłyby mu do łóżka, ale właśnie

dlatego on chciał ciebie.

– O czym ty mówisz?

– Tak, tak, bo ty nie chciałaś. Faceci to lubią. Lubią, jak muszą się wysilić.

– Już lepiej się zamknij – ucięłam.

Zerknęłam na niego. Miał głupią minę. I więcej się nie odezwał. Jechaliśmy w milczeniu. Jakimś cudem udało mi się dotrzeć do hotelu w jednym kawałku.

Zaparkowałam na jednym z miejsc postojowych dla gości. Wyszło mi koślawo, ale nie miałam już siły poprawiać. Na recepcji przysypiał młody chłopak w przepisowej białej koszuli. Sen miał czujny. Poderwał się, kiedy weszliśmy, przywitał nas półprzytomnym uśmiechem. Wydał nam klucz do pokoju.

W milczeniu wjechaliśmy windą na piąte piętro.

Kiedy weszliśmy do pokoju, Kris ściągnął buty, nie rozsznurowując ich, i zwałił się na łóżko. Zasnął od razu.

Ja poszłam wziąć długi prysznic.

Potem siedziałam na maleńkim tarasie i gapiłam się na ścianę budynku naprzeciwko. Brzydki, spękany mur. Za nim, jakieś sto kilkadziesiąt kilometrów dalej, był Mount Everest. Żeby dotrzeć do góry, trzeba było przebić głową mur. Proste.

Szara fasada zaczęła w końcu jaśnieć i nabierać kremowego koloru – jak twarz reanimowanego człowieka wyrwanego z objęć śmierci.

Świtało.

O siódmej rano zadzwoniła komórka. Niestety, nie był to Baker.

36. KRIS

Ścięto mnie, kiedy zobaczyłem na ekranie telefonu twarz mojej żony. W okamgnieniu rozbudziłem się i wytrzeźwiałem. Choć nie było to łatwe. Wczorajsze opatrunki duszy, czyli alkohol i piguła, i coś tam potem chyba jeszcze, zostawiły po sobie nieprzyjemny ślad.

Kaśka wyglądała źle, dramatycznie źle. Jak obca osoba – o podobnych do mojej żony rysach twarzy, ale dużo starsza.

Byłem w szoku, bo choć wiedziałem, że walczą o przetrwanie, nie znajdowali się już w strefie śmierci. Pierwsza noc była przerażająca, biwakowali bez namiotu na ośmiu tysiącach metrów, o mało nie zamrzli na śmierć. Ale potem zeszli niżej, dotarli do obozu i liczyłem, że teraz będzie choć trochę lepiej, że się wyspali, ogrzali i nawodnili. Poza tym Kaśka nie miała poważnych obrażeń, lawina potraktowała ją najłagodniej z całej czwórki. Oczywiście kolejne doby spędzone na zboczach Everestu to nie był piknik. Wyobrażałem sobie, jak to musiało wyglądać. Dzień, drugi, trzeci – siedzisz praktycznie bez ruchu w lodowatym namiocie o wymiarach metr na metr. Nie masz komórki, żeby sprawdzać, co się dzieje na świecie, nie masz książki, nie możesz posłuchać muzyki, nie możesz rozmawiać z towarzyszami, bo nikt z was nie ma siły. Nic nie możesz. Tylko trwasz tak, godzina wlekąca się za kolejną upiorną godziną. Atrakcją dnia jest wygrzebanie się na jeszcze gorsze zimno, żeby się odlać.

A jednak wydawało mi się, że tak silna i odporna jednostka jak moja żona wytrzyma. Wszystko wytrzyma. Że zaprawiona przez życie i liczne wyprawy wysokogórskie jest nie do zdarcia.

– Cześć, kochanie, jak się trzymacie? – zacząłem, siląc się na beztróskę.

Grałem rolę, ale uznałem, że tak będzie lepiej. Im gorsza sytuacja, tym mocniej trzeba trzymać fason. Nie wolno mi było okazać lęku ani zwątpienia. Jeden defetystyczny gest lub słowo mogły odebrać im wolę walki o przetrwanie.

– Jebana noc. – Głos Kaśki też był inny. Mówiła powoli, niewyraźnie, jakby zastanawiała się, czy w ogóle jest sens rozmawiać.

Moja żona potrafi kłać jak szewc. W mediach społecznościowych się pilnuje, ale na co dzień bluzga z lubością i dobrze jej to wychodzi. Na charyzmę mogłaby się ściągać ze światowymi przywódcami. Pomimo drobnej postury i delikatnych rysów twarzy wzbudza respekt. Kto by pomyślał, że w tym aniołku, w tej eterycznej blondynce, czai się taka zadzióra?

Ale dziś była cieniem samej siebie. Słaba i półprzytomna, jakby nie do końca kontaktująca, łapiąca oddech jak wyrzucona na brzeg ryba.

Zerknąłem na stojącą obok mnie Julkę, która podeszła od razu, jak tylko usłyszała dzwonek telefonu. Ona chyba nie zauważyła zmiany

w wyglądzie i zachowaniu mojej żony, ale ja wiedziałem, że nie jest dobrze.

Próbowałem pocieszać się, że Kaśka właśnie się obudziła po koszmarnej nocy, że musi po prostu dojść do siebie. Odtajać. Wstawanie o świcie jest nieprzyjemne nawet w luksusowym hotelu, a co dopiero w przemarzniętym namiocie, wypełnionym rozrzedzonym powietrzem i smrodem współtowarzyszy wspinaczki.

– Gdzie to śmigło? – wychrypiała Kaśka.

– Czekamy. Czekamy tylko na telefon. Albo zaraz sami zadzwonimy... – mówiłem pospiesznie. – Wczoraj widzieliśmy się z tym Bakerem...

– Nie ma... kurwa... czasu... – przerwała mi.

– A co się dzieje?

Dopiero teraz zauważyłem, że Kaśka jest poza namiotem. Miała za plecami pomarańczową płachtę, ale zrobiła kilka kroków i na ekranie błysnęła oślepiająco śnieg.

– Z Bartem źle... Na bank ma... połamane żebra. Obrzęk płuc chyba... Nie wiemy, czy... – zawahała się. – Źle oddycha. Pieni się... Mamy resztki tlenu... Musimy jak najszybciej... go...

Urwała, jakby nie miała siły, żeby dokończyć zdanie.

– Działamy, kochanie – powiedziałem, zdając sobie sprawę, jak żałośnie brzmią powtarzane przeze mnie puste zakłęcia. Są jak obietnice zakłamanego telemarketera, nic niewarte, zabierające tylko cenny czas.

Domyśliłem się, że Kaśka wyszła z namiotu, żeby Bart nie słyszał rozmowy i nie dowiedział się, jak ciężki jest jego stan.

– Działacie? – Kaśka odpowiedziała tonem, w którym wściekłość mieszała się z pogardą.

Na krótką chwilę moja żona wykrzesła dawną charyzmę. Spojrzała w kamerkę tym swoim zimnym, zaczepnym spojrzeniem. Próbowała przebić się do prawdy, ale wiedziałem, że w ich własnym interesie muszą ściemniać, podsycać nadzieję. Tylko ona była w stanie trzymać ich przy życiu.

Wytrzymałem jej spojrzenie i kłamliwy, uspokajający uśmiech nie zszedł mi z ust.

– Jak, kurwa, działacie? – dopytywała Kaśka. – Jak?!

Spanikowany wiedziałem, że muszę odpalić turbościemę. Kaśka była trudnym, wymagającym przeciwnikiem, bo przecież wiedziała, że od lat

kłamię jak z nut. Zawodowo wciskam ludziom kit, pracując w agencji reklamowej i robiąc karierę w social mediach. Jako druga połowa duetu K2_lifestyles była moim współnikiem przestępstwa.

– Kochanie, jesteśmy dogadani z tym milionerem. W tej chwili szykują nam jego helikopter. Najnowocześniejszą maszynę, jaka jest w tym pieprzonym kraju. Nawet król Nepalu takiej nie ma. Cud, że on tu przyleciał, ledwie przecież dwa tygodnie temu. Prawdziwe zrządzenie losu... Wytrzymajcie. Co ci jeszcze mogę powiedzieć? Dobrze, że pogoda się chyba poprawiła tam u was – zmieniłem temat.

Autentycznie ucieszyłem się, widząc śnieg, od którego odbijały się oślepiające promienie słońca. To był dobry znak. Prognoza zapowiadała dziś poprawę warunków na Evereście. Przede wszystkim miało nie być chmur, które uniemożliwiałyby przelot i lądowanie helikoptera.

Tego, którego jeszcze nie mieliśmy.

– Kurczę, cieszy mnie to słońeczko – powiedziałem, kiedy cisza między nami zaczęła się przedłużać. Moja żona zapewne próbowała ocenić, czy mówię prawdę, czy wciskam jej bajkę.

– Mnie nie – odparła w końcu.

– Dlaczego? – włączyła się Julka. – Nie jest trochę cieplej?

– Łód się topi. Będą lawiny. I od tego słońca... Marek dostał ślepoty śnieżnej.

– Jak to?! – spytała przerażonym głosem Julka.

– W lawinie stracił okulary. Nic, kurwa, nie widzi, nie jest w stanie...
Otworzyć oczu.

Zerknąłem na Julkę. Jej twarz poszarzała, w kilka sekund odpłynęła z niej cała krew.

Zapadło milczenie.

– Wziął coś? Daliście mu coś? Wpuścił jakieś krople? – spytała w końcu Julka. – Przecież na to są jakieś krople...

– Nic nie mamy. Wszystko przepadło. Cała apteczka. Tu zastaliśmy... Prawie goły namiot. Więc niech to śmigło przyleci. Dzisiaj... Kończę, szkoda baterii...

– Mogę porozmawiać z Markiem? – spytała pośpiesznie Julka.

Kaśka usłyszała jej słowa, widziałem to w jej spojrzeniu, ale rozłączyła się. Bez ceregieli i bez wątpliwości. Potrafiła być bezwzględna

– jeśli wymagała tego sytuacja. Była w stanie wiele poświęcić, i to bez mrugnięcia okiem.

Nawet czyjeś życie.

W sumie miała rację. Przekazała nam niezbędne informacje i każda dalsza sekunda rozmowy byłaby tylko niepotrzebnym zużyciem cennego prądu, którego już nie tak wiele zostało w baterii telefonu satelitarnego.

– Dzwon do tego jebanego Borisa – powiedziałem do Julki zduszonym, jakby nie swoim głosem.

Po beztróskim uśmiechu, którym jeszcze przed chwilą raczyłem swoją żonę, nie było śladu. Nie musiałem już grać żadnej roli. Byłem autentycznie przerażony. Trwał czwarty dzień koszmaru. Czas uciekał. Każda chwila przybliżała nas do momentu, kiedy przyjdzie nam już tylko modlić się o cud.

Julka bez słowa sięgnęła po komórkę i wybrała numer. Od razu nacisnęła też na ekranie ikonkę głośnika.

Wysłuchiwalismy się w niekończące się pikanie połączenia, które zapewne było przekazywane w roamingu między dwoma albo i trzema państwami. Czekaliśmy w napięciu, sygnał w końcu tak jakby się uspokoił. Miarowo odmierzał sekundy, ale potem nagle znów przyspieszył i przeszedł w nerwowe pulsowanie.

Amerykankin odrzucił połączenie. Pogrzebał nasze nadzieje. Tak po prostu. Niczym pieprzony Kaligula w Koloseum jednym ruchem kciuka skazał trójkę ludzi na śmierć.

37. JULIA

Nawet kiedy śmigłowiec Bakera wystartował z Lukli i rozpoczął się ostatni etap akcji ratunkowej, wciąż nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę. Choć w pustym żołądku czułam wibracje maszyny, w uszy wrzynały się słuchawki hełmofonu, a pod nosem miałam rurkę, taką jak w szpitalu, do instalacji tlenowej, nadal myślałam, że to sen, z którego zaraz się obudzę albo zostanę brutalnie wyrwana. Dopiero kiedy, wznieciwszy tuman kurzu, ruszyliśmy ostro do góry i do przodu,

zaczęłam napełniać się nadzieją. Niemożliwe powoli stawało się możliwe, już jest na wyciągnięcie ręki, a za chwilę będzie namacalne.

Pilnowałam się, żeby ta nowa nadzieja nie zawładnęła mną za wcześnie. Przecież było już tyle nieudanych podejść. Ale za każdym razem otrzepywaliśmy się i szliśmy dalej, bliżej celu. Krok w tył, dwa kroki w przód. Może nasz ośli upór zostanie w końcu nagrodzony?

Jeszcze dziś rano modliliśmy się o cud, dwie godziny temu byliśmy w Katmandu, a za kilkanaście minut dolecimy do Everestu. Jak dobrze pójdzie, podwieczorek zjemy już całą piątką w hotelowej restauracji.

Nie... Jeszcze nie mogłam w to wszystko uwierzyć. To chyba jednak sen.

Szczytem nieprawdopodobieństwa była obecność Krisa i mnie na pokładzie helikoptera. Nie powinno nas tu być. Żaden rozsądny pilot by nas nie zabrał, nawet jakbyśmy pozmyślali, że jesteśmy w pełni zaaklimatyzowani i przeszkoleni w zakresie ratownictwa wysokogórskiego.

Na szczęście oddano nam do dyspozycji prywatną zabawkę milionera. Pilot, który nazywał się John Jo, wzruszył ramionami i powiedział, że nie ma problemu, możemy się zabrać. Pracując dla Bakera, pewnie przyzwyczał się już do najdziwniejszych zachcianek. Widziałam filmiki nagrywane przez ludzi Borisa, na pewno wymagały łamania procedur. Poza tym chlebodawca Johna nie zatrudniał ratowników wysokogórskich. Na co dzień z pilotem latał jedynie mechanik. Drobny mężczyzna w drucianych okularach byłby jeszcze mniej przydatny niż my, gdyby trzeba było pomóc Bartowi wejść na pokład.

Z Katmandu wylecieliśmy w czwórkę, ale mechanik został w Lukli. Wyżej liczył się każdy kilogram, więc byłam gotowa na to, że i mnie John Jo wyprosi, a dalej polecą z nim tylko Kris. Jednak pilot naradził się z mechanikiem, który nadzorował tankowanie, policzył coś na kalkulatorze w komórce i powiedział w końcu, że i ja mogę się zabrać.

Dokładnie w południe wzbiliśmy się w rozrzedzone powietrze.

– Jesteś wielka – usłyszałam w słuchawkach głos Krisa.

– English, guys!¹⁶ – wtrącił się John, po czym wyszczerzył w uśmiechu najbielsze zęby, jakie w życiu widziałam.

Nie wiem w sumie, po co chciał, żebyśmy rozmawiali po angielsku, ale już do końca lotu spełnialiśmy jego prośbę.

Niewiarygodne, jak los się odwrócił. W ciągu kilku godzin trafiliśmy z piekła do nieba. Rano byłam załamana, bezsilna i przerażona, ale potem oddzwonił Baker – dotrzymał słowa. Ochrzanił mnie. Spytał, gdzie jesteśmy, bo pilot już na nas czeka, a śmigłowiec grzeje silnik.

Wybiegliśmy z hotelu bez śniadania. W pierwszej kolejności poinformowaliśmy chłopaków i Kaškę. Potwierdziliśmy im, że w ciągu godziny wystartujemy. Usłyszałam poruszenie w głosie Marka, kiedy dziękował mi za załatwienie śmigła. To była jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu.

Damian, do którego zadzwoniliśmy już w drodze do rezydencji Bakera, początkowo nie mógł uwierzyć, że Krisowi i mnie udało się dokonać niemożliwego. Wypytywał o szczegóły maszyny i planowanego lotu. Odniosłam wrażenie, że jest niezadowolony z naszego działania na własną rękę. Może chodziło o urażone ego przywódcy? Ale w tyle głowy dzwięczały mi słowa ojca Marka. Czy rzeczywiście lukratywny patent mógł tak bardzo zaślepić Damiana, że nie w smak mu była nasza akcja ratunkowa?

Aż trudno było uwierzyć, że mogą nim kierować diaboliczne pobudki. Nie miałam ochoty tego roztrząsać. Najważniejsze, że Kris i ja wzięliśmy sprawy w swoje ręce i ominęliśmy Damiana. Poradziliśmy sobie, a kiedy Marek będzie już bezpieczny, przyjdzie czas na śledztwo w sprawie patentu.

Kiedy Damian się rozłączył, nawet nie życząc nam powodzenia, Kris zaśmiał się triumfalnie.

– Zobaczysz... – mówił pewnym głosem. – Jeszcze dziś całą piątką będziemy pić gdzieś na Thamelu, no, może minus Bart. A ten dupek będzie siedział w base campie i pakował manatki. A potem będzie zapierdalał przez tydzień na piechotę do Lukli. Nie chcę więcej widzieć typa na oczy!

*

Z zamyślenia wyrwał mnie widok za szybą helikoptera. Miałam wrażenie, że lecimy za nisko. Można było dokładnie rozróżnić drzewa

i odłamki szarobrazowych skał, przesuwające się pod nami w szybkim tempie.

– Dudh Koshi – powiedział pilot.

Nie zrozumiałam, o co mu chodzi, to zabrzmiało jak zaklęcie z „Harry’ego Pottera”. Kris też był zdezorientowany, bo poprosił o wyjaśnienia.

– Dudh Koshi – powtórzył głośniej pilot i wskazał przed siebie ruchem głowy. – Rzeka. Najwyżej położona na świecie.

Jeszcze raz wyjrzałam przez szybę. Nie w głowie były mi atrakcje turystyczne, ale trudno było nie docenić malowniczych widoków. Dudh Koshi była cienką srebrną niteczką, omijającą mnóstwem zygzaków przeszkody na swojej drodze. Powoli zaczynałam czuć narastający majestat Góry.

– Everest. – Kilka minut później pilot wypowiedział kolejne zaklęcie, a ja natychmiast podniosłam głowę.

Wtedy ją zobaczyłam. Najwyższą górę na Ziemi. Pierwszy raz w życiu i – miałam nadzieję – ostatni.

– Piękna, prawda? – zapytał.

Oboje z Krisem pokiwaliśmy głowami, choć był to pusty frazes. Przed nami rozciągało się zgrupowanie kilku szczytów. Everest nie był na pierwszym planie, niemal w całości zasłaniała go inna góra, niższa, ale znajdująca się bliżej nas. Jednak bezbłędnie wiedziałam, kto tu jest królem. Tylko Everest dotykał nieba, wyróżniał się. Na prawo od samego wierzchołka ciągnęła się biała smuga. Wyglądało to tak, jakby jego ostry szczyt rozpruwał błękit ponad nim. Tak naprawdę biały welon to był jet stream, wiejący z huraganową prędkością w troposferze, porywający ze szczytu śnieg i drobinki lodu. Tylko Everest zahaczał o górną warstwę atmosfery.

Zdjęło mnie nagłe przerażenie. Przekonałam się naocznie, jak ekstremalne warunki panują na szczycie najwyższej góry świata. Gdyby ktoś znajdował się tam teraz, musiałby stawić czoło huraganowi i nawale lodowych szpilek, tnących jak sztylety. Na szczęście Marek, Kaśka i Bart znajdowali się już niżej.

I coraz bliżej nas.

Drzewa pod nami zniknęły, ustępując burym skałom. Tu i ówdzie pojawiły się też chmury. Nie nad nami, ale na naszej wysokości i poniżej

helikoptera – były jak kłęбки waty turlające się po ziemi. John Jo pilnował, żeby w żadną z nich nie wlecieć. Wiedziałam, że naczelną zasadą lotu śmigłowcem w Himalajach jest, by widzieć grunt. Gdyby chmury napęczniały i zwały się w jeden wał, oznaczałoby to konieczność odrotu. Próbowalam więc rozpraszać je siłą woli.

John spowaźniał i skupił się na pilotowaniu maszyny. Przestał z nami rozmawiać, choć raz na jakiś czas się odzywał. Ale były to jakieś techniczne uwagi, wymieniane zapewne z pozostającym w Lukli mechanikiem albo obsługą lotniska.

Choć byłam zdenerwowana, a serce cały czas biło mi mocno, nie sposób było nie zauważyć widoków. Z wolna w kabinie helikoptera zrobiło się przeraźliwie jasno. Jak na komendę i Kris, i ja założyliśmy okulary przeciwsłoneczne. Pilot miał gogle zamontowane w hełmofonie, opuścił je pokrętem na wysokości ucha.

Lecieliśmy już ponad ośnieżonymi szczytami. I nagle... Niemal poczułam ten moment, w którym tętno zaczęło mi się uspokajać. Nie wiem, być może moja podświadomość wiedziała już, że tylko jakiś trudny do wyobrażenia antycud może nam odebrać zwycięstwo w walce o bliskich.

Albo uspokoiła mnie medytacja. Staram się ją praktykować, od czasu kiedy zaczęłam tłumaczyć książkę o buddyzmie. Skupiam się na oddechu i próbuję uwalniać się od myśli. To ciekawe przeżycie, choć na początku potrzeba sporo cierpliwości.

Przygniatająca pustka lodowych krajobrazów, potęga gór – to wszystko sprawiło, że zaczęłam się czuć jak mrówka. Równie mała i nieistotna, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Beze mnie, bez mojej szarpaniny, ten ogrom będzie trwać. I poradzi sobie zupełnie dobrze.

Bez Marka, bez Kaśki, bez Krisa i Barta. Przecież i tak niedługo nas nie będzie. Ratując naszych bliskich, obdarowujemy ich iluś tam latami. Ile ich będzie? Trzydzieści? Czerdzieści? Może dużo mniej, jeśli nie przestaną się wspinać i ryzykować życia.

Nagle kurz w moim umyśle opadł i wszystko zobaczyłam wyraźnie. W spokoju i bez przerażenia doświadczałam stanu, który określa się jako „uważność”. Nie jest to idealne tłumaczenie angielskiego terminu „mindfulness”, ale lepszego w języku polskim nie ma.

Z zamyślenia wyrwał mnie podniesiony głos pilota. Jego rozmów technicznych nie słyszałam w słuchawkach, bo widocznie nie włączałam w nie ani mnie, ani Krisa. Bardziej po jego ruchach i mimice zorientowałam się, że jest zdenerwowany.

– Co się dzieje? – usłyszałam w słuchawkach głos Krisa.

John Jo uciszył go gestem, nadal prowadził ożywioną rozmowę. Nie byłam w stanie nawet zorientować się, czy mówi po angielsku, czy w jakimś innym języku. Pomyślałam, że może jest jakiś problem techniczny z helikopterem, ale lecieliśmy miarowo, nic w kokpicie nie migało ani nie piszczało.

Czyżby pogoda się psuła?

Rozejrzałam się wokół, ale nie zauważyłam niczego niepokojącego. Białe obłoczki nadal były rozproszone.

– John... – zaczęłam. – Jest jakiś problem?

Obrócił się. Podniósł osłonę przeciwśłoneczną. W oczy rzuciło mi się jego mocno zmarszczone czoło. Pewnie i mnie chciał uciszyć, ale może głupio mu było fukać na kobietę. Zdjęłam okulary przeciwśłoneczne i popatrzyłam na niego prosząco.

– Powiedz...

Wahał się jeszcze chwilę. Odwrócił się, jakby mnie ignorując, ale potem spojrzął kontrolnie przed siebie i znów skierował wzrok na mnie.

– Nie wpuszczą nas.

– Kto? – spytałam zaskoczona.

Słowa pilota wydały mi się absurdalne. Przecież byliśmy na pustyni, oprócz naszych bliskich nie było tu nikogo. Czy pilot miał na myśli jakieś zabobony? Duchy albo bóstwa strzegące Himalajów?

– Nie możemy dalej. Przykro mi. Nie możemy... – powtarzał, krzywiąc się, jakby go coś bolało. – Zawracamy.

– Co?! – wydarł się Kris.

– Zawracamy. Przykro mi.

– Nie! Nigdzie nie zawracamy. O co chodzi? Przecież pogoda jest idealna!

– Boże, John – wyszeptałam. – Co się stało?!

– Chiny zamknęły przestrzeń powietrzną.

38. KRIS

Słowa pilota uderzyły mnie jak pięść.

– Co ty mówisz?! – wrzasnąłem, wyrrywając sobie spod nosa rurkę do instalacji tlenowej. – Jak to zamknęli? Co się stało?

– Dziś, teraz. Nie wiedziałem. Nie wiem – tłumaczył chaotycznie John Jo. – Dziś rano. Ale teraz mi to mówią dopiero.

– Ale my już lecimy... – powiedziałem, jakby to miało jakieś znaczenie.

– Nieważne. Nie ma opcji. Wojsko zamknęło. Koniec.

Zasunął z powrotem osłonę przeciwśłoneczną. Patrzyłem na niego z niedowierzaniem. Śnieżna piramida Everestu odbijała się od lustrzanej, zakrzywionej powierzchni jego osłony. Byliśmy tak blisko!

– Ja pierdołę! – Przeszedłem na polski i spojrzałem na Julkę, która siedziała z tyłu, w drugim rzędzie foteli. – Słyszysz? Nie wierzę!

– English, guys! – warknął John, dając upust irytacji.

– Ale jak to zamknęli przestrzeń powietrzną? – spytała Julka. – Całą? Cały kraj?

– Cały Tybet. No fly zone. Cały Tybet – tłumaczył pilot, po czym przeszedł na nepalski i zaczął chyba wywoływać kogoś przez radio, pstrykając nerwowo jakieś przełączniki na desce rozdzielczej.

– Ale dlaczego? Przez te zamieszki? – spytałem, ale nie doczekałem się odpowiedzi.

Pilot jedynie wzruszył ramionami. Nie przestawał mówić w nieznanym mi języku i jednocześnie cały czas majstrował przy przyrządach.

– John, zróbmy coś, proszę cię – mówiła Julka. Jej głos, już i tak metalicznie zniekształcony w moich słuchawkach, brzmiał obco. – Nie możemy polecieć po prostu od strony Nepalu? Bez wlatywania...

– Nie, to niemożliwe. – Pilot wszedł jej w słowo. Naraz jego angielski stał się dużo bardziej kulawy, mówił z silnym akcentem, widocznie więcej wysiłku umysłowego wkładał teraz w kalkulowanie, co robić dalej.

W stuporze patrzyłem na niego, zaklinając rzeczywistość. Pomyślałem, że taki stary wyga znajdzie rozwiązanie. Absurd. Nie żadna prawdziwa

przeszkoda, tylko biurokratyczno-administracyjny bełkot. Everest leży wprawdzie dokładnie na granicy Nepalu z Chinami, ale nawet jeśli jakiś idiota po tamtej stronie uchwalił taki zakaz, to chodziło zapewne o względy bezpieczeństwa, o przeloty nad terytorium kraju, nad jakimiś miastami, zabudowaniami. A nie nad totalnym pustkowiem.

Pekin często zabrania obcokrajowcom wjazdu do Tybetu w okolicach marca, kiedy przypada rocznica powstania przeciwko chińskiej okupacji i ucieczki z kraju Dalajlamy. Teraz jeszcze nałożyła się pandemia. Od dwóch lat turystom z Zachodu, a więc także himalaistom, nie wolno podróżować do Tybetu. Podobnie jest zresztą w kilku innych państwach regionu, w Bhutanie i Birmie, sprawdziliśmy to przed wyjazdem. Jednak te restrykcje z pewnością nie były przewidziane na sytuację chwilowego przelotu nad granicą, by ratować cię życie!

– Proszę cię – powiedziałem z całą perswazją, na jaką było mnie stać.
– Proszę... Przecież to... Ile? Kilkadziesiąt? Kilkaset metrów w głąb Chin. Nikt się nawet nie zorientuje.

– Oczywiście, że się zorientują... – Pilot błysnął bielą zębów, ale nie był to uśmiech, tylko grymas.

– John... – Wszedłem mu w słowo. – John Jo, posłuchaj mnie... Nie jesteś już pilotem wojskowym. Nic ci przecież nie grozi, jeśli odrobinę złamiesz ten zakaz.

– Może spytajmy o zgodę Borisa – wtrąciła przytomnie Julka.

– Spytajmy – odparł pilot.

Amerikanin, kiedy się z nim połączyliśmy, zareagował tak, jak to było do przewidzenia. Facet, który fika koziołki na ośmiu tysiącach, musi mieć ułańską fantazję.

– No pewnie, lećcie – usłyszałem w słuchawkach jego śmiech, bo pilot tak ustawił połączenie, żebyśmy wszyscy mogli brać udział w rozmowie.

– John Jo, masz chyba jaja?

Miałem ochotę wyściskać Bakera. Szalony dzieciak! Tacy zmieniają świat.

John Jo odmeldował się, po czym bez słowa nacisnął na wolant. Ruszyliśmy ostro do przodu, aż wbiło mnie w fotel.

Odetchnąłem z ulgą. Zdenerwowanie przeszło mi jak ręką odjął. Wcześniej musiałem czuć coś podświadomie: za gładko to wszystko szło. A przecież na ostatniej prostej przeciwności losu korzystają z okazji, żeby

jeszcze raz napluć nam w twarz. No to się potwierdziło. I to z grubej rury. Powodzenie naszej akcji ratunkowej stanęło pod znakiem zapytania. Ale znów się nie poddaliśmy.

To jest recepta ludzi sukcesu. Nie wolno się poddawać. Nigdy. Nawet gdy się czołgasz i zwycięstwo wydaje się niemożliwe.

John uniósł dłoń i pokazał mi kciuk w górę. Zaśmiałem się głośno, dając ujście napięciu. Z prędkością dwustu kilometrów na godzinę zmierzaliśmy ostatnią prostą do celu.

39. JULIA

Serce podskoczyło mi z radości, kiedy pośród morza bieli zobaczyłam pomarańczowy kształt, niewielką kopułę.

Namiot.

– Tam! – Dotknęłam ramienia Johna, a drugą ręką pokazałam kierunek. – Tam są.

Za chwilę. Już za moment podam pomocną dłoń Markowi i pozostałym. Nie sposób opisać cichej euforii, która mnie przepełniła.

– Nie, to nie oni. Jeszcze nie – odparł pilot, zerkając na wyświetlającą się na jednym z ekranów mapę. – Ktoś to zostawił. Ktoś inny.

– Zostawili namiot? – zdziwiłam się.

– Ale może już się z nimi połączymy? – zaproponował Kris, spoglądając na zegarek. – Niech wiedzą. Może nam zamachają.

W odpowiedzi John Jo pokazał kciuk w górę. Zawahałam się, bo przecież tak skrupulatnie oszczędzaliśmy baterię w ich telefonie satelitarnym. Wszystkie ważne informacje już im przekazaliśmy w wiadomościach tekstowych. Marek i Kaśka mieli udeptać w śniegu lądowisko, zajęło im to pewnie kilka godzin. Jego środek mieli oznaczyć czerwoną czapką Kaśki z logo sponsora. Wszystko pewnie było gotowe, instrukcje przekazane. Nie trzeba już było oszczędzać baterii. Może zresztą szybciej naprowadzą nas podczas rozmowy przez telefon, nie trzeba będzie ich wypatrywać. Teraz priorytetem było jak najmniejsze zużycie paliwa.

– No, kochani, zbierajta się! – zawołał wesoło Kris, kiedy Kaśka odebrała połączenie. – Już chyba przelatujemy nad wami. Widzicie nas? Czarna luksusowa limuzyna, z kręciołkiem na dachu...

– Chyba słyszymy... Coś już też widać, tak. Aż dwa helikoptery? Wszyscy słyszeliśmy rozmowę w słuchawkach hełmofonów.

– Jeden. To przygotujcie się. Jesteście gotowi?

– Widzę dwa – upierała się Kaśka. – Dwa czarne...

– Nie. Jeden. Kolor się zgadza. Kochanie, pewnie też masz coś z oczami... Widzisz podwojnie. Ale nic się nie martw. Już dolatujemy. Pilot zaraz będzie lądował. Czapka na miejscu? Wszystko dobrze. Kocham cię...

Kris urwał w pół zdania. Nagle i ja je zobaczyłam. Dwa czarne śmigłowce, w każdym razie ciemne, może ciemnozielone... Aż podskoczyłam ze strachu. To było takie surrealistyczne. Lodowe pustkowia i nagle dwie obce maszyny. Prędzej bym się spodziewała zobaczyć yeti.

Usłyszałam w słuchawkach ostry głos, przemawiający w nieznanym mi języku. Metaliczny, brzmiał jak komputerowy syntezator. John się zdenerwował, pstryknął jakiś przełącznik i nas odłączył. Nie słyszeliśmy dalszej części rozmowy, choć i tak niczego przecież byśmy nie zrozumieli.

– Kurwa mać... – jęknął Kris. – Myślisz, że to Chińczycy? To na pewno Chińczycy.

Miał rację. To musiały być chińskie helikoptery, innego wytłumaczenia nie było. Byliśmy naiwni, sądząc, że złamanie zakazu lotów ujdzie nam na sucho.

– Dostaniemy mandat – próbował żartować Kris, ale sytuacja była poważna.

Kilkadziesiąt sekund później dwa śmigłowce bojowe chińskiej armii przechwyciły nasz helikopter. Zaczęły lecieć równolegle, jeden po naszej prawej, drugi po lewej stronie. Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe.

– Proszę, powiedz im, że chodzi o akcję ratunkową. Chodzi o życie! – drżącym głosem zaklinałam Johna, stukając go w ramię.

– Zawracamy – odpowiedział stanowczo.

– Przecież nas za to nie zestrzela. Jesteśmy tak blisko... Może ja z nimi porozmawiam? Proszę!

40. KRIS

Pół godziny po przechwyceniu nas przez chińskie śmigłowce wylądowaliśmy z powrotem w Lukli. Wysiedliśmy, żeby rozprostować kości i poczekać, aż maszyna zostanie zatankowana i sprawdzona przed lotem powrotnym do Katmandu. Mechanik w drucianych okularach założył seledynową odblaskową kamizelkę i zaczął krzątać się przy helikopterze. Pilot odszedł kilkanaście kroków, żeby swobodnie rozmawiać przez komórkę. Po drugiej stronie pasa startowego, kilkadziesiąt metrów od nas, lądował właśnie inny helikopter.

Byłem załamany i chciało mi się wyć, ale nie mogłem się przecież rozklejać. Od razu zacząłem szukać wyjaśnień, nie zważając na cenę roamingu danych. Portale informacyjne donosiły na czerwono o zestrzeleniu dziś rano nad Cieśniną Tajwańską chińskiego samolotu wojskowego.

Przeglądaliśmy z Julką strony internetowe CNN i BBC, ale nie doczytaliśmy się żadnych konkretów. Same spekulacje i historyczne pytania, czy Chiny wykorzystają pretekst i rozpoczną inwazję na Tajwan.

Postanowiłem nagrać relację, żeby zająć czymś myśli. Zerkałem na Julkę. Uznałem, że nie będę zawracał jej głowy i prosił, żeby potrzywała mi komórkę. Pewnie była zdruzgotana jeszcze bardziej niż ja. Nadal nie wiedziałem, co musiała zrobić, żeby przekonać Bakera, by użyczył nam śmigłowca. Jedno nie ulegało wątpliwości – jej poświęcenie poszło na marne. Pech, który nas prześladował, jeszcze raz dał o sobie znać. Tak jakby złośliwe bóstwo zamieszkujące Everest uparło się, że nie odda nam trójki swoich ofiar, na które już ostrzy sobie zęby.

Do startu szykował się niewielki samolot linii Sita Air. Uznałem, że przy odrobinie szczęścia uda mi się wstrzelić z nagraniem w moment oderwania się kół od asfaltu – bądź też zwalenia się w przepaść, gdyby krótki pas startowy okazał się niewystarczający.

– Kochani, co mam wam powiedzieć... Jestem załamany i wkurzony – zacząłem nadawać na żywo, mówiąc do kamery w telefonie. – Nie udało się. Dramat! Przed chwilą omal nie zestrzeliły nas dwa wojskowe śmigłowce. Tak, to nie jest żart. Okazało się, że Chiny zamknęły przestrzeń powietrzną nad terytorium Tybetu.

Przerwałem, bo nie byłem w stanie przekrzyknąć huku silników startującego za moimi plecami samolotu. Na szczęście po kilku sekundach hałas zmalał. Obróciłem się minimalnie, żeby internauci widzieli w tle odlatującą maszynę.

– Sytuacja jest dynamiczna i nie wiemy jeszcze do końca, co się stało. Myśleliśmy, że chodzi o Tybet, ale najprawdopodobniej to zaostrzenie sytuacji jest wynikiem zestrzelenia chińskiego myśliwca nad Tajwanem. Sami zresztą wiecie, jeśli śledzicie sprawy międzynarodowe. Ale nie sądziłem, że coś takiego może nas tu osiągnąć. Jednak żyjemy w globalnej wiosce...

Szybko skończyłem, bo miałem poczucie, że zaczynam gadać jeszcze większe głupoty niż zazwyczaj. Poza tym kątem oka zobaczyłem, że macha do mnie nasz pilot.

Zszedłem po kilkunastu schodkach na usiane kamykami klepisko, na którym stał helikopter Bakera. Uderzył mnie kontrast między tym cudem techniki a bylejakością wszystkiego wokół. Najwyżej położone na świecie lotnisko znajduje się raptem na wysokości dwóch tysięcy ośmiuset sześćdziesięciu metrów nad poziomem morza. Gdzie tam jeszcze do ośmiu tysięcy. A jednak ludzka cywilizacja ledwie jest w stanie tu funkcjonować. Paliwo przechowuje się w dziesiątkach plastikowych kanistrów, takich samych jak te, z którymi mój dziadek chodził po wodę oligoceńską. Pas startowy, przy którym nagrywałem przed chwilą relację, odgradzony jest krzywymi słupkami. Między nimi nie ma nawet siatki, a jedynie dwie krzyżujące się nitki drutu kolczastego. W biurze, do którego poszliśmy za mechanikiem, bo Julka chciała skorzystać z toalety, znajdowała się też czajhana¹⁷ i coś na kształt kącika kuchennego. Jakaś leciwa Szerpijka lepiła na drewnianym blacie coś, co przypominało duże pierogi, a obok, na kuchence elektrycznej, stał brudny metalowy czajnik.

Koniec świata. W przenośni i dosłownie.

Chowając komórkę do kieszeni, podszedłem do helikoptera, którego wirnik już się powoli kręcił, i wgramoliłem się na swoje miejsce. John Jo siedział za sterami, kończył zakładając hełmofon. Julka i ja podążyliśmy za jego przykładem. Kiedy otworzyły się drzwi, byłem przekonany, że dosiada się do nas mechanik, który skończył już swoje obrzędy.

Ale nie!

Aż podskoczyłem z wrażenia.

– Co ty tu robisz? – warknąłem.

Do helikoptera wsiadł Damian Nawrocki, kierownik wyprawy, który powinien znajdować się w base campie u podnóża Everestu. Za nim podążał Szerpa. Właśnie rzucił na podłogę maszyny dwa sporych rozmiarów plecaki.

– Cześć – powiedział jak gdyby nigdy nic Damian. – Zabrałem się z Kanadyjczykami. Di Stefano złamał wczoraj nogę i musieli wezwać śmigło. Co za przychlast, skakał dla zabawy, no i się poślizgnął...

– Ale co? Jak to? – włączyła się Julka, równie zszokowana jak ja.

– Chyba zwariowałaś! – Zagotowałem się. – Zostawiłeś ich? Pojechała cię do reszty?!

– English, guys... – John Jo chciał wtrącić swoją ulubioną pretensję, ale nikt go nie słuchał.

– Jak ich zostawiłem? – spytał Damian tym swoim agresywnym, szczekliwym głosem. – Mieli przylecieć z wami. Co się właściwie stało?

Dobrze, że włączyła się Julka i wytłumaczyła mu, bo mnie od razu zacisnęły się i pięści, i szczęki. Ciężko oddychałem rozrzedzonym powietrzem, patrząc, jak Damian poprawia na nosie fajansiarskie okulary przeciwsłoneczne.

– Masz tam wracać – wysyczałem.

– Wracam z wami i z Katmandu załatwiam ewakuację śmigłem – odparł Damian, podając na powitanie dłoń pilotowi. – Tym razem porządnie.

– Nie rozumiesz, idioto, że helikopter odpada?!

Nie wytrzymałem i niepotrzebnie zacząłem podpierać się inwektywami. Obrażanie to zawsze atrybut ludzi słabych, którzy nie potrafią postawić na swoim charyzmą i siłą argumentów.

– Chiny zamknęły przestrzeń powietrzną. O mało nas nie zestrzelili. Helikopter odpada!

– Wiem. Coś wymyślę. To, że wy tego nie załatwiliście, nie znaczy, że ja tego nie zrobię.

– Wiesz, co chcesz załatwić? Ją chcesz załatwić! – wyrwało mi się.

Zapadła cisza. Oddychałem z trudem, kręciło mi się w głowie. Patrzyłem na szeroko otwarte oczy Julki. Nie rozumiała, co się ze mną

dzieje, może pomyślała, że zwariowałem, że mam niedotleniony mózg. Ale to ja miałem rację, a ona nie wiedziała wszystkiego.

W końcu coś we mnie pękło.

– Robisz wszystko, żeby ona nie przeżyła! – darłem się. – Od początku odwalasz krecią robotę! Ale jeśli coś jej się stanie, bekniesz za to! Rozumiesz?! Nie daruję ci! Jeśli coś jej się stanie, zabiję cię!

Damian słuchał niewzruszony, moszcząc się na siedzeniu. Wyglądała na to, że moja tyrada nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

41. JULIA

Do Katmandu wracaliśmy w ciszy. Kabinę helikoptera wypełniał jedynie huk i wibracje wirnika, ale nikt się nie odzywał. Byłam załamana i zszokowana. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że nie udało się ściągnąć Marka, Kaśki i Barta.

Było tak blisko.

Kolejna próba zakończyła się fiaskiem. Zamiast nadziei pojawiła się przerażająca otchłań beznadziei. Pustka w głowie. Nie mieliśmy żadnego sensownego planu. Co teraz? Opieka paliatywna?

I jeszcze ta rejterada Damiana. Jego i Norbu, który był sirdarem, czyli najbardziej doświadczonym z Szerpów, kierującym pozostałymi. Bez nich żadna wyprawa ratunkowa nie podejdzie w górę, żeby dostarczyć sprzęt i zapasy. Dobiło mnie to, zaczęłam poważniej myśleć o oskarżeniach rzuconych przez ojca Marka i podbitych przed chwilą przez Krisa.

Czy Damianowi zależy na ich śmierci?

Gdzieś w tyle głowy jeszcze kołatały się resztki nadziei. Ale może zmieniały się już w zaklinalanie rzeczywistości? Łudziłam się, że to zły sen, że radio zaraz zapika i John Jo odbierze komunikat o otwarciu przestrzeni powietrznej nad Tybetem. Albo że zrobili dla nas wyjątek, bo przecież chodzi o ratowanie ludzkiego życia.

Na razie wszystko się sypało. I jeszcze ta potworna kłótnia Krisa z Damianem. Do pewnego momentu słuchałam w osłupieniu, próbując zrozumieć, o co chodzi, a potem wraz z mechanikiem i Norbu musieliśmy

rozdzielać obu panów, którzy najzwyczajniej w świecie rzucili się na siebie. Zaczęli się bić, okładać się pięściami w trakcie lotu.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Pierwszy wystartował Kris. Odpiął pasy bezpieczeństwa i złapał Damiana za poły kombinezonu. Krzyczał i popychał go, jakby siłą chciał wyrzucić go z helikoptera. Kazał mu wracać, iść z powrotem w górę... Damian bronił się, odpychał Krisa, w końcu uderzył go pięścią w twarz. Nagle z rozdartego rękawa kombinezonu wystrzelił obłok gęsiego puchu. Nawiew powietrza rozniósł go po całej kabinie.

– Nie! – krzyknęłam. – Przestańcie!

– Uspokój się! – huknął Damian do Krisa, waląc na oślep.

Krisowi poleciała krew z nosa. Przez chwilę mrugał z niedowierzaniem. Wtedy włączył się pilot – werbalnie. Zagroził, że wróci do Lukli, wyląduje i obu tam wysadzi.

Szarpanina w ciasnej kabinie helikoptera była kolejną odsłoną surrealistycznego spektaklu, w którym przyszło mi brać udział. Sama też o mało nie dostałam łokciem w twarz, kiedy Kris brał zamach, by wymierzyć cios.

Skuliłam się w fotelu, odrętwiała, próbując zrozumieć słowa rzucane przez Krisa w emocjach. Był wzburzony i mówił chaotycznie. Oskarżył Damiana o to, że tak naprawdę nie chce, żeby Kaśka się uratowała. Bo kiedyś byli parą, ale ona z nim zerwała i wybrała Krisa. Dlatego Damian próbuje się na niej zemścić. Od początku źle zarządza akcją ratunkową, a teraz ewakuował się spod Everestu, zostawiając uwięzionych na przełęczy na pewną śmierć.

Zarzuty Krisa mnie zszokowały. Nigdy wcześniej o tym nie wspominał. Chciałam jak najszybciej porozmawiać z nim w cztery oczy i poznać więcej szczegółów. Na razie nie było na to szansy, bo podczas lotu do Katmandu obok mnie siedział Damian. Ale nie mogłam czekać. Wyjęłam komórkę i napisałam do Krisa na Messengerze. Choć teoretycznie telefony musieliśmy na czas lotu przestawić na tryb samolotowy, John Jo jeszcze przed startem z Katmandu powiedział, że nie musimy tego robić.

„O co chodzi? Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?” – napisałam.

Popatrzyłam na plecy Krisa, który siedział przede mną, trzymając przy nosie zakrwawioną chusteczkę. Od razu sięgnął po komórkę. Odruch

zawodowy influencera, a może jednak uzależnienie? Po chwili odczytałam jego odpowiedź.

„Nie chciałem cię dodatkowo straszyć. Ale takie są fakty”

„No dobrze, byli razem. Ale to, co powiedziałaś, to nie są fakty... To nie może być prawda!”

„Zrozum... Ja też nie chciałem w to wierzyć. Ale ten numer, który wykrcił dzisiaj, tylko to potwierdza!!”

„Ale może on nie wykrcił żadnego numeru? Może naprawdę uznał, że oni przylecą z nami. Jest wygodnicki. Nie zostawił ich przecież intencjonalnie...”

„Co?! Nie broń go. To psychopata!! On nie ma empatii. Spójrz na ten zimny, nazistowski ryj...”

„Przesadzasz”

„Nie przesadzam. On nas wszystkich traktuje jak pionki w swojej grze”

Czytałam kolejne wiadomości od Krisa, a w gardle rosta mi gula. Spojrzałam na Damiana, który cały czas wyglądał przez boczne okienko, niewzruszony. Nie znałam go dobrze, choć widywaliśmy się dość często z racji tego, że pracował z Markiem. Był uprzejmy, ale nieprzystępny. Nie można było odmówić mu charyzmy, która sprawiła, że był szefem start-upu, który kilka lat temu założył z moim chłopakiem i z nieżyjącym już Arkiem Sowińskim, a także przewodził wyprawie na Everest.

Wiedziałam, że Damian znał Kaśkę, dlatego została dokooptowana do chłopaków. Ale środowisko himalaistów jest na tyle niewielkie, że praktycznie wszyscy się znają. Nie przyszło mi do głowy, że kiedyś mogło łączyć ich coś więcej niż tylko znajomość ze szlaków.

Nie jestem psychologiem, ale intuicja podpowiadała mi, że tych dwoje mogło się ze sobą związać, pasowali do siebie. I wprawdzie mogliby zostać „power couple” polskiego himalaizmu, ale dwie tak silne i dominujące osobowości raczej nie były w stanie stworzyć trwałego związku.

Moja komórka znów zawibrowała. Zerknęłam na ekran.

„Pomyśl o tym. Sam wszedł na szczyt. Wykorzystał ich, żeby robili mu poręczówki, nosili zaopatrzenie. A potem miał ich wszystkich w duuupie!!” – pisał Kris.

Było w tym trochę racji. Damian stanął na wierzchołku Everestu w połowie maja, a towarzyszył mu Norbu. Potem obaj wrócili do bazy.

I Damian zaczął zarządzać pozostałą czwórką. Skorzystał z faktu, że szybciej się zaaklimatyzował, ale było w tym coś samolubnego.

„No dobrze, jest egoistą, egocentrykiem... – odpisałam. – Ale to nie znaczy jeszcze, że torpeduje akcję ratunkową. To przecież byłoby... Jak usiłowanie zabójstwa?”

Kris przeczytał moją wiadomość i od razu zaczął odpowiadać. Helikopterem szarpnęło, zapewne wlecieliśmy w jakiś prąd powietrza. Pilot wyrównał lot, a moja komórka znów zawibrowała.

Odczytałam odpowiedź Krisa i mnie zmroziło. W pierwszej chwili byłam pewna, że coś źle rozumiałam. Musiałam przeczytać ją jeszcze raz.

„Dokładnie. Usiłowanie zabójstwa. Skurwysyn zmienił strefę czasową w apce z prognozą pogody. Dzień przed ich atakiem szczytowym. Monsun uderzył szybciej, niż myśleli. On ich chciał zabić, rozumiesz? Wysłał ich na pewną śmierć”

42. KRIS

Wiedziałem, że oskarżenie rzucone pod adresem Damiana jest poważne. W dodatku pogarsza i tak już beznadziejną sytuację trójki uwięzionej na Evereście. Ale musiałem powiedzieć o tym Julce. Jej twarz, kiedy przeczytała moją wiadomość, momentalnie zbladła.

Pisaliśmy na Messengerze jeszcze przez kilka minut, aż do lądowania w Katmandu. Pilot nie wrócił do miejsca, z którego rano startowaliśmy. Osiadł przed jednym z hangarów na lotnisku Tribhuvan, bo maszynę czekał teraz poważniejszy przegląd. I tankowanie. Dopiero potem będzie mógł wrócić na trawnik przed willą Bakera.

Manipulację prognozą pogody odkryłem dopiero dziś rano, kiedy lecieliśmy z Katmandu do Lukli. Uczestnicy wyprawy mieli wykupiony dostęp do profesjonalnej amerykańskiej aplikacji. Przetwarzała dane z satelitów i radarów meteorologicznych, była bardzo dokładna i dawała wiarygodne odczyty. Jak zapowiadała deszcz, to zaczynał on padać najczęściej z dokładnością do kwadransa.

Znałem login i hasło. Wszedłem w ustawienia, bo chciałem zobaczyć, czy da się przestawić sposób wyświetlania z pięciodniowego na jakiś

dłuższy. Już wybiegałem myślami w przyszłość. Liczyłem, że jeśli Kaśka i Marek wrócą dziś z nami, odpoczną w hotelu dzień, dwa i nasze plany trekkingowe jeszcze da się ocalić.

Wiem, to by było trochę creepy¹⁸, bo Arek Sowiński nie żyje. Ale tak naprawdę był on dla mnie i Julki luźnym znajomym. Już i tak zmarnowaliśmy dwa tygodnie urlopu, kiblując w Katmandu. Dlaczego mielibyśmy być jeszcze bardziej poszkodowani?

To przecież nasza podróż poślubna i chciałem jednak coś mieć z tej całej wywalonej kasy, z faktu, że zaczynam robotę w nowej firmie i godziwego urlopu nie dostanę przez najbliższe dwa lata.

Zabijając czas podczas porannego lotu, wszedłem w ustawienia aplikacji i zacząłem przeglądać dostępne opcje. Wtedy zobaczyłem coś takiego jak „activity log”, czyli dziennik aktywności. Bardziej z ciekawości, niż cokolwiek podejrzewając, zacząłem sprawdzać, jakie zmiany były wprowadzane w aplikacji. I nagle zamarłem. Dzień przed atakiem szczytowym Kaśki i pozostałych ktoś zmienił pole „strefa czasowa” z „GMT+5:45” na „GMT+10:00”.

Co to oznaczało? Aplikacja zaczęła podawać odczyty według czasu w Sydney, a nie lokalnego. Czyli załamanie pogody, które nieuchronnie wiązało się z nadejściem monsunu, a od którego zaczął się cały dramat, było prognozowane cztery godziny i piętnaście minut później niż w rzeczywistości. Bo taka jest różnica czasu między Sydney a Katmandu.

Nie było możliwości, żeby sprawdzić, kto zmienił ustawienia w aplikacji pogodowej, bo dostęp do niej mieli wszyscy uczestnicy wyprawy. Login i hasło nie były tajemnicą.

Zrobił to ktoś, kto chciał w czwórce szturmującej szczyt wyrobić złudne poczucie, że mają jeszcze dobrych kilka godzin, nim uderzy w nich żywioł. Myśleli, że spokojnie zdążą wejść i zejść do obozu czwartego, a może nawet trzeciego. Tymczasem w ogóle nie powinni byli ruszać na szczyt, tylko jak najszybciej uciekać w dół.

Sabotaż. Sprowadzenie śmiertelnego niebezpieczeństwa na niczego niepodjrzewających wspinaczy. Załatwił ich prostym ruchem, jednym kliknięciem. To naprawdę było jak usuwanie zabójstwa!

Oczywistym kandydatem na czarny charakter był Damian. Bo przecież nie zrobił tego nikt z czwórki na Evereście ani nikt z ich bliskich.

Od razu wiedziałem, jaki miał motyw. Gnojek nigdy nie pogodził się z tym, że Kaśka go zostawiła, że związała się ze mną. Typ narcystyczny, odebrał to jako cios w swoje ego. Na naszym ślubie pojawił się z jakąś nową dziewczyną, ale widać było, że to tylko pokazówka. Już nawet nie pamiętam, jak ta dziunia miała na imię. Ośmieszyła go na oczach wszystkich, prosząc kelnera o „latte macziato”, potem upiła się i wybuchła co chwilę za głośnym śmiechem. Historia z patentem, którą sprzedał Julce ojciec Marka, też wydała mi się teraz prawdopodobna. Damian miał nie jeden, ale dwa motywy, żeby narazić naszych bliskich na śmierć.

Zemsta i chciwość – dwie największe ludzkie żądze.

O swoim odkryciu nie powiedziałem Julce od razu, bo chciałem, żebyśmy skupili się na akcji ratunkowej. Ale ładując się nam do helikoptera, Damian tylko potwierdził moje przypuszczenia.

Nóż mi się w kieszeni otwierał. Facet siedział cztery dni w base campie i nic nie zrobił, żeby sprowadzić ich na dół. Rzekomo spróbował podejść, ale musiał zawrócić ze względu na niebezpieczeństwo lawiny lub oberwania się seraków. Różnica wysokości między bazą a przełęczą Lho La, w okolicach której znajdowali się teraz Kaśka i chłopaki, to było niewiele ponad sześćset metrów, a w linii prostej – niecałe trzy kilometry.

Tak blisko!

Jakim trzeba być łajdakiem, żeby porzucić towarzyszy w potrzebie, uczestników kierowanej przez siebie wyprawy? Teraz wygodnie poleciał sobie do hotelu. Podczas gdy Szerpowie, kucharz i lekarz wyprawy będą musieli przez tydzień tłuc się na piechotę z base campu na lotnisko w Lukli.

Arogancja tego dupka nie przestawała mnie szokować. Jednak niepotrzebnie się na niego rzuciłem na pokładzie helikoptera. Postanowiłem, że nie będę działał pochopnie i konfrontację w sprawie apki pogodowej przeprowadzę na spokojnie i w porozumieniu z Julką.

– Proponuję... Zastanówmy się, co teraz zrobić – powiedział Damian, kiedy pożegnaliśmy się z pilotem i opuściliśmy teren lotniska Tribhuvan.

Czekała już na nas taksówka, jakiś dziwny hyundai w kolorze kości słoniowej. Musieliśmy pojechać na drugi koniec miasta, do rezydencji Bakera, w której zaparkowaliśmy wypożyczone subaru.

– Jakieś sugestie? – dopytywał Damian.

Zapadło głucho milczenie. Ja świadomie go ignorowałem. Poza tym – co mogliśmy mu odpowiedzieć? Pozostało nam czekać na cud. Na to, że pogoda się poprawi i uwięzieni na stoku sami będą w stanie zejść.

I kiedy wydawało się, że gorzej już być nie może, spadliśmy w kolejny krąg piekła.

Po paru minutach jazdy taksówką rozległ się dźwięk przychodzącej wiadomości. Damian, który siedział obok kierowcy, sięgnął po komórkę i zerknął na ekran.

– Bart nie żyje – powiedział suchym tonem.

43. JULIA

Przez moment nie liczyło się, że zużywam cenne procenty baterii w telefonie satelitarnym. Czułam, że w tak trudnym momencie muszę zamienić z Markiem choć kilka słów.

Żeby podtrzymać go na duchu. I siebie też.

Wymogłam zgodę na Krisie i Damianie, ale zadzwoniłabym, nawet gdyby zaprotestowali.

– Od rana było już bardzo źle – opowiadał słabym głosem Marek, kiedy się połączyliśmy i Kaśka przekazała mu telefon. – Oddychał, choć słabo. Ale...

Urwał. Być może chciał powiedzieć, że Barta trzymała przy życiu nadzieja na ewakuację helikopterem. A kiedy przysła, poddał się.

– Tak mi przykro – powiedziałam cienkim, nie swoim głosem. Coś ścisnęło mnie za gardło i nie chciało puścić. – Wymyślimy jakiś sposób na ten przelot. Załatwimy pozwolenie. To na pewno tylko chwilowe zawirowanie z tym Tajwanem...

Wiedziałam, że muszę coś powiedzieć. Coś optymistycznego. Choć sama nie wierzyłam we własne słowa. Nawet jeśli uda nam się z Chińczykami – czy Baker drugi raz użyczy nam swojego helikoptera? Był jak duże, kapryśne dziecko, które równie szybko zapala się do czegoś, jak i zmienia obiekt swoich zainteresowań. Czy będzie nas stać, żeby

znów mu zapłacić? Dwadzieścia tysięcy dolarów – tyle musieliśmy mu przelać za niecałe trzy godziny lotu.

Popatrzyłam na Krisa, który znaczącym gestem już stukał palcem w zegarek.

– Kochanie – mówił Marek, cicho, ale spokojnie. – Posłuchaj... Jeśli nie uda nam się... Jeśli nie wrócę...

– Proszę cię, nie mów tak – weszłam mu w słowo.

– Posłuchaj mnie... Obiecuj mi... Że zajmiesz się moim ojcem. Wiem, że to bardzo dużo. Że proszę o dużo... Ale musisz...

Marek urwał. Milczałam, bo czułam, że jeśli się odezwę, nie będę w stanie powstrzymać płaczu. Łzy już leciały mi po policzkach. Z największym trudem próbowałam się opanować.

– On ma tylko mnie. I... nie da sobie rady. Sam... – Kolejne słowa Marek wyduszał z siebie z trudem. – Jest, jak jest. Sama wiesz... A będzie jeszcze gorzej. Proszę cię, obiecuj mi...

– Ale nie mów tak. Dlaczego tak mówisz? – zaprotestowałam, choć od razu złapałam się na tym, że Marek zrozumie mnie opacznie. Chodziło mi o to, żebyśmy nie rozważali ponurego scenariusza, w którym on nie wraca. A wyszło tak, jakbym była niechętna jego prośbie.

– Proszę cię... Nie mam nikogo... innego... Wiem, że ojciec... Nie będzie ci łatwo...

– Nie o to chodzi – próbowałam się tłumaczyć.

– Kończę... – Marek wszedł mi w słowo. – Kaśka mnie pogania. Proszę cię o to jedno...

– Poczekaj – zaproponowałam, ale odpowiedziała mi już tylko głucha cisza. Połączenie zostało przerwane.

– Ich szanse tak naprawdę wzrosły – powiedział Damian, przecierając chusteczką szkła okularów przeciwsłonecznych. – Będą mogli zejść niżej.

Taka była jego reakcja na wieść o śmierci Barta. Biednego, odpowiedzialnego człowieka, który zaczął się wspinać tylko dlatego, by pilnować i chronić młodszego brata. Znałam tę historię z opowieści Marka. Z czasem Bart też połknął bakcylię himalaizmu, ale prawdopodobnie nigdy nie zacząłby przygody z górami, gdyby nie jego brat Arek. A teraz obaj nie żyją. Połowa uczestników ataku szczytowego już zginęła. Zaczęła zalewać mnie fala paniki, ale siedziałam bezsilna, przypięta pasem do fotela samochodowego. Nic nie mogłam zrobić.

Przecież nie wpłynę na światowe mocarstwo, żeby w obliczu konfliktu zbrojnego na wielką skalę zrobiło wyjątek i wpuściło jeden maleński helikopter.

Złapałam spojrzenie Krisa, który siedział obok taksówkarza, ale odwrócił się na moment i popatrzył na mnie znacząco. Wiedziałam, co chce mi przekazać.

Jeszcze ta piąta kolumna w naszych szeregach. Czy naprawdę Damian jest bezdusznym, pozbawionym empatii egoistą? A może to właśnie on postępuje słusznie? Skupia się na tych, którzy przeżyli i mają szansę się uratować, bo pragmatyczne myślenie jest konieczne, by ta szansa nie przepadła?

Targały mną sprzeczne emocje. Z jednej strony śmierć Barta była niewyobrażalnym ciosem. Obaj bracia Sowińscy nie żyją. Co musi czuć ich matka? Czy już wie? Co czują ich żony? Dwójka dzieci Barta? Jednak z drugiej strony bezduszne słowa Damiana tchnęły we mnie nową nadzieję. Rzeczywiście – ani Marek, ani Kaśka nie byli poważnie ranni, mogli spróbować zejść trochę niżej. Może nawet do samej bazy pod Everestem?

Zaraz jednak zaświeciła mi się czerwona lampka. Skoro przed chwilą kierownik wyprawy opisał Barta w kategoriach balastu, czy taki sam los nie spotka mojego chłopaka? Gdyby nie daj Boże coś mu się stało...

A przecież już mu się stało. Nic nie widzi, cierpi od wczoraj na ślepotę śnieżną. Kaśka może go prowadzić, ale przecież po omacku łatwo popełnić błąd, choćby się potknąć. Ona też musi zaryzykować.

Chciałam zapytać Krisa, na ile ocenia empatię swojej żony. Na pewno się obrazi albo uzna mnie za wariatkę, ale chciałam wysłać jej chociaż wiadomość tekstową z błaganiem, by dobrze opiekowała się Markiem. Żeby nie przyszło jej do głowy zostawić go w namiocie i schodzić samotnie. Że niby potem wróci, sprowadzi pomoc...

Wysokie góry, a zwłaszcza kryzysowe sytuacje podczas wspinaczki, pokazują, jak bardzo życie w praktyce różni się od tego w teorii. Ideały i szczytne cele są brutalnie weryfikowane. „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono”¹⁹. Jedni przechodzą wszelkie testy pięknie i chwalebnie, a inni – nie.

Taksówka mknęła ulicami Katmandu, a mi było coraz bardziej niedobrze. Może mnie mdliło, bo kierowca co chwila zmieniał pas,

starając się nie utknąć w korku. Chyba jednak mocniej wstrząsnęły mną i zachwiały wydarzenia dzisiejszego dnia. Tego było po prostu za dużo. Nieudany lot, oskarżenia rzucone przez Krisa pod adresem Damiana. A teraz jeszcze śmierć biednego Barta.

Dojechaliśmy do rezydencji Bakera. Amerykanina i jego kompanów nie było. Porozmawialiśmy chwilę z nepalskim ochroniarzem, którego kojarzyłam z wczorajszej imprezy, przesiedliśmy się do subaru i wróciliśmy do hotelu. Damian wziął pokój dla siebie. Teoretycznie Kris mógłby się przenieść do niego i zakończyć nasz niezbyt zręczny koedukacyjny układ, ale sama powiedziałam mu, żeby został. Jeszcze by się pozabijali.

W dodatku Kris się pochorował. W windzie zrobił się zielony na twarzy, a jak tylko otworzył drzwi pokoju, pobiegł do łazienki i zaczął straszliwie wymiotować. Najpewniej i na niego podziałał ostry styl jazdy taksówkarza. Albo z opóźnieniem dał o sobie znać lot helikopterem na znaczną wysokość. A może alkohol i narkotyki z wczorajszej imprezy u Bakera?

Damian, który widząc, co się dzieje, stanął w drzwiach łazienki, popatrzył z pogardą na klęczącego przy muszli klozetowej Krisa, któremu podtrzymywałam czoło.

– Idę do siebie. Będę działał – rzucił tym swoim metalicznie brzmiącym głosem.

– To znaczy? – spytałam.

– Z planem B.

– To znaczy? – wymamrotał jak echo Kris.

– Jak go wymyślę, to wam powiem – odparł i zatrasnął za sobą drzwi łazienki, a chwilę później naszego pokoju.

– Daj mi wódki – jęknął Kris.

– Jesteś pewien?

– Muszę zdezynfekować żołądek. To na pewno klątwa faraona...

Chciałam zażartować, że przecież nie jesteśmy w Egipcie, ale nie miałam siły.

Nasz hotel był na tyle tani, że za minibarek robiła pusta lodówka. Włączyliśmy ją pierwszego dnia i trzymaliśmy w niej jedzenie na kolację. Zaś do niewielkiego zamrażalnika włożyliśmy dwie butelki wódki.

Przywieźliśmy je z Polski z zamiarem wykorzystania jako suvenirów podczas trekkingu. Wyjęłam jedną z butelek i zaniiosłam do łazienki.

– Naprawdę myślisz, że Damian mógłby... – zaczęłam, ale nie byłam w stanie dokończyć zdania.

– Oczywiście, że tak – wycharczał Kris. – Ktoś to zrobił, ktoś przestawił apkę... Ktoś wysłał ich na śmierć!

Urwał, przymknął oczy i się skrzywił. Napiął się, wyskoczyła mu żyłka na skroni.

– Przecież ojciec Marka też cię przed nim przestrzegał – dodał Kris i znów zaczął wymiotować.

44. KRIS

Czułem się jak gówno. Nie tylko dlatego, że zwisałem nad hotelowym kibelem. Było mi niedobrze, bolała mnie głowa, bolał mnie brzuch, nawet w kolanach i łydkach mnie rwało.

Ale najgorsze z tego wszystkiego było poczucie, że nadal nie uratowałem żony. I nic nie wskazywało na to, żebym miał tego dokonać. Zbliżała się kolejna noc, a Kaśka tkwiła na stoku Everestu, w namiociku z trupem Barta i z oślepionym Markiem.

Julka kucnęła obok mnie i podsunęła mi oszronioną butelkę wódki.

– Czy ty w ogóle myślisz? – naskoczyłem na nią. – Nalej mi trochę... Tylko tak zdrowo...

Byłem niemiły. Znalazłem kogoś, na kim mogłem się wyżyć. Bogu ducha winną towarzyszkę niedoli. Powinienem jej współczuć. Jej chłopak był w gorszym stanie niż moja żona. Mimo to Julka była opanowana. W sumie to nigdy nie widziałem, żeby dała się wyprowadzić z równowagi. Może taki ma charakter, a może to dzięki tej książce o buddyźmie, którą tłumaczy.

– Długo mam czekać? – spytałem, a muszla klozetowa wzmocniła moje słowa niczym głośnik.

Po chwili skrzypnęły drzwi łazienki. Julka znów kucnęła obok mnie i podała mi szklanekę z alkoholem.

– Pomóc ci jakoś? – spytała.

- Nie – westchnąłem. – I sorry.
- Wszyscy jesteście w nerwach.

Wypiłem wódkę jednym haustem, po czym wydałem z siebie dziwny dźwięk, ni to westchnienie ulgi, ni bełkot obrzydzenia. Piekący alkohol spłynął mi gardłem i rozlał się ciepłem w żołądku.

- Kris... Musimy działać racjonalnie. Jesteś pewien, że to Damian zmienił to ustawienie? – odezwała się po chwili. Widać było, że ułożyła sobie to pytanie w głowie.

- Już pytałaś. Nie, nie jestem pewien. Ale kto inny? Tylko on.

- Może to była zwykła pomyłka. Ktoś przestawił niechcący, takie rzeczy się zdarzają.

- Nie, nie! Nie rozumiesz? To za bardzo pasuje, to nie był przypadek. Sydney? No proszę cię.

- Naprawdę uważasz, że on...

Julka urwała, a ja powoli podniosłem się z podłogi i złapałem za umywalkę. Popatrzyłem sobie samemu w przekrwione oczy i odkręciłem zimną wodę, żeby przepłukać usta.

Kontynuowaliśmy rozmowę już poza łazienką. Położyłem się na swoim łóżku. Stało bliżej okna, ale widok na szarą ścianę naprzeciwko mnie dołował, więc przytuliłem twarz do poduszki. Julka usiadła w fotelu z giętego bambusa, który cicho zatrzeszczał. Zaczęła dopytywać o relację Kaśki z Damianem. Zwlekałem z odpowiedzią, gapiąc się w sufit. Alkohol już przyjemnie rozmiękczał rzeczywistość. Poczulem nawet coś na kształt ulgi.

- Byli ze sobą trzy lata – powiedziałem w końcu. – I on nigdy się nie pogodził, że go zostawiła.

- I nadal się przyjaźnili? Może jednak mu przeszło?

- Damianowi? – Parsknąłem śmiechem. – Ten facet nie lubi przegrywać. Zawsze stawia na swoim. Przecież go znasz. Nie wierzę, że Marek nigdy ci o nim nie opowiadał. Że w tej ich spółce na początku był jeszcze jeden koleś, którego wysiadał. Nawet ja to wiem. Markowski. Wygryzł go.

Spojrzałem na nią. Julka zrobiła nieokreśloną minę. Chyba mi nie wierzyła.

- On zawsze musi być pierwszy. Nie rozumiesz? Przecież nawet teraz pierwszy wszedł na szczyt.

Westchnęła głęboko. Widać było, że bije się z myślami.

– Myślisz, że przesadzam? – spytałam.

W odpowiedzi pokręciła głową, ale bez przekonania.

– Sama przypomniawsz rozmowę z tym świrem, twoim prawie teściem – powiedziałam. – O patencie. Pomyśl o tym... Damian miał nie jeden, ale dwa powody, żeby Kaśka, Marek i Arek nie wrócili. Bart stał się ofiarą przy okazji. Dlatego musimy zrobić wszystko, żeby odsunąć go od akcji ratunkowej. Ja jestem przerażony. On im zagraża jak jebany lis w kurniku!

45. JULIA

Wysłałam z hotelu, bo czułam, że muszę się przejść. Za dużo czarnych myśli mnie obsiadło. Potrzebowałam przewietrzyć umysł, żeby nie zwariować. Krisowi powiedziałam, że na spokojnie porozmawiam z Jenną Wiklander. Zadzwonię do niej, zdam jej relację i poproszę o pomoc. Było to racjonalne działanie, bo leciwa pisarka miała ogromną wiedzę o Himalajach i skoro już raz nam pomogła z Bakerem, może podpowie nowy scenariusz akcji ratunkowej, w sytuacji kiedy przestrzeń powietrzna nad Chinami została zamknięta.

Kris został w pokoju hotelowym i miał, jak już poczuje się choć odrobinę lepiej, obdzwonić wszystkich w Polsce. Ja też chciałam jeszcze odezwać się do swoich rodziców i ojca Marka. Może też do siostry, żeby wyjaśnić, dlaczego zablokowałam jej numer.

Kiedy wysłałam z windy do hotelowego lobby, zawibrowała mi komórka. Powiadomienie z programu pocztowego. Damian przysłał nam mailem swój plan działania na pozostałą część dnia. Choć miał pokój piętro wyżej, zdecydował się na oficjalną formę komunikacji. Nie wiem w ogóle, po co sklecił te parę zdań. Może chciał nam pokazać, że się stara? Albo wolał mieć potem dowód, że robił wszystko, co w jego mocy. Na wypadek, gdybyśmy go oskarżyli o bezczynność. Pozorując działania, można udawać, że się coś robi, a tak naprawdę niczego nie załatwić.

Nie chciałam pograżać się w paranoi. Ale jeśli oprócz wszystkich przeciwności losu mamy do czynienia z sabotażystą? Jak z tego wybrnąć?

Działać za jego plecami? Damian napisał, że zadzwoni do agencji trekkingowej i omówi z nimi sytuację. Miał też skontaktować się z polskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych, żeby ustalić, do kogo mamy zwrócić się po zgodę na przelot helikoptera w chińskiej przestrzeni powietrznej. „W Nepalu nie ma ani polskiej ambasady, ani nawet konsulatu, więc uzyskanie pomocy dyplomatycznej nie będzie proste” – pisał.

Szykował już grunt pod porażkę?

*

– Tak mi przykro – powiedziała Jenna, kiedy kilka minut później zrelacjonowałam jej przez telefon nieudaną wyprawę helikopterem. – To niefortunny zbieg okoliczności, choć to nie pierwszy raz, kiedy Chińczycy odcinają dostęp do tych rejonów. No wiesz, Tybet... A teraz jeszcze doszła ta dramatyczna sytuacja z Tajwanem... Wszystko zmierza w bardzo złym kierunku. Nie sposób przewidzieć, jak to się dalej potoczy...

– Tak, czytam wiadomości.

Z komórką przy uchu szłam ulicą, przed siebie, bez celu. Pomyślałam, że z moją kiepską orientacją w przestrzeni na bank się zgubię. Wąskie i pokręcone uliczki stolicy Nepalu przypominały labirynt. Ale było mi wszystko jedno, zdałam się na intuicję. Mijałam kolejne sklepiki z wyrobami rękodzieła, z rozłożonymi kolorowymi śpiworami w witrynach, zakład fotograficzny z szyldem „Visa photo”, kantor wymiany walut i tak dalej.

– W Tybecie ciągle jeszcze obowiązuje zakaz wjazdu dla cudzoziemców, to z powodu pandemii. A wcześniej i tak często w lutym, marcu i kwietniu nie było tam wstępu, bo w marcu przypada rocznica powstania antychińskiego. Ostatnio w dwa tysiące dziewiętnastym, chociaż nie jestem pewna, czy był też wtedy zakaz lotów. Nie, na pewno nie... Choć w sumie nad Tybetem i tak lata bardzo niewiele samolotów. No, ale ta obecna sytuacja z Tajwanem naprawdę jest bez precedensu. Patrzę właśnie w CNN. Została zwołana nadzwyczajna sesja Rady Bezpieczeństwa...

Jenna miała typową dla pisarzy skłonność do snucia historii, wplatania w nią szczegółów. Szłam ulicą i słuchałam jej, przez grzeczność nie przerywając. Na szczęście zadzwoniłam z nepalskiej komórki, którą z Krisem kupiliśmy zaraz po przyjeździe, więc nie musiałam się martwić, jak bardzo dostanę po kieszeni.

– Czy może nam pani jakoś pomóc? – spytałam, kiedy skończyła. – Na pewno coś pani wymyśli.

Obok mnie przeszedł mężczyzna, Nepalczyk, prowadzący rower, do którego wzdłuż była przyцепiona złożona aluminiowa drabina.

Gdyby skombinować taką drabinę, ale długą na pół kilometra... Tylko tyle dzieliło w linii prostej ich namiot od bazy, z której uciekł dziś Damian, a do której w miarę bezproblemowo można było dotrzeć. Zaledwie pięćset metrów – myślałam z dławiającą mnie bezsilnością. Tyle co stąd do kolejnego skrzyżowania.

– Wasza sytuacja jest naprawdę nietypowa, muszę się zastanowić, bo pogoda znów wam nie będzie sprzyjać, obawiam się... – powiedziała po chwili namysłu Jenna. – Pomyślę. Ale opowiedz mi więcej o śmierci tego nieszczęśnika. Bart, tak? Sowiński? Czy on przypadkiem nie brał udziału we francuskiej wyprawie na Annapurnę w dwa tysiące osiemnastym?

Wyczułam w jej głosie niezdrowe zainteresowanie. No tak, potrzebowała soczystych szczegółów do swojej nowej książki. Przez chwilę zapomniałam o tym, że Jenna Wiklander ma swój interes w rozmowie ze mną. Niekoniecznie zbieżny z moim. Odpowiadając na jej pytania, nagle zaczęłam się zastanawiać, czy aby na pewno pisarka dobrze nam życzy.

A jeśli chodzi jej przede wszystkim o dramatyczną historię do opisanie w książce?

Chyba zaraziłam się paranoją od Krisa. On uważa, że Damian chce doprowadzić do śmierci Kaśki, a ja zaczynam wierzyć, że również Wiklander ma niecny motyw. Byłaby aż tak bezduszna, żeby wodzić nas na manowce?

Odrzuciłam tę absurdalną myśl, ale ona natrętnie wracała. Jeżeli Wiklander postanowiła zainwestować swój czas i wysiłek w napisanie książki i marzy się jej bestseller, to czy stać ją będzie na to, żeby zrezygnować? Gdyby Marek, Kaśka i Bart wrócili dziś helikopterem, nie

byłoby materiału na powieść. Historia ucięłaby się w połowie. Ot, lawina i uwięzieni wspinacze, których zabrało śmigło. Mało to spektakularne, bo zdarza się w Himalajach nagminnie.

Jednym słowem kapiszon.

Czytałam sporo książek o himalaistach. Te najgłośniejsze, jak choćby „Wszystko za Everest” Jona Krakauera, pochłaniałam z wypiekami na twarzy. Były pełne dramatyzmu i wręcz nieprawdopodobnych zwrotów akcji, zaskakiwały czytelnika aż do samego końca. Na ich podstawie kręcono filmy. Tymczasem książki Wiklander, choć cenione w środowisku wspinaczy, nigdy nie osiągnęły statusu bestsellerów.

Byłam skołowana. Pomyślałam, że nazytałam się i przetłumaczyłam zbyt wiele powieści sensacyjnych i thrillerów. Jenna nie jest demiurgiem szaleńcem. Kontakt do Bakera dała nam w dobrej wierze. Nie mogła wiedzieć już wczoraj, że nic z tego nie wyjdzie, bo Chiny zamkną przestrzeń powietrzną nad Tybetem.

Choć z drugiej strony... Czy aby na pewno Chińczycy trzymają w rejonie Everestu śmigłowce bojowe w gotowości? To nie jest i nigdy nie będzie pogranicze w ogniu. Nie ma tu żadnych obiektów militarnych, to jedno wielkie pustkowie.

Dwie chińskie maszyny pojawiły się dosłownie minutę po tym, jak przekroczyliśmy granicę. A jeśli ktoś ich uprzedził, że tego dnia będzie przeprowadzana ewakuacja wspinaczy?

Aż złapałam się za głowę, próbując zatrzymać galopadę myśli. Nic z tego. Na usta cisnęło mi się przerażające pytanie – czy Jenna Wiklander reżyseruje nas na potrzeby swojej książki?

46. KRIS

Nie pamiętam, kiedy ostatnio było mi tak dobrze. Błogo, z dala od trosk, fofolersów i hasztagów. Leżałem na plecach na dnie łódki, która unosiła się na ciepłych falach Morza Egejskiego. Miałem przymknięte oczy, ale czułem na twarzy pieczotę promieni słońca. Z każdą przetaczającą się falą łódka lekko się unosiła, potem opadała, nieuchronnie zbliżając się

do brzegu. Staraniem się nie myśleć o chwili, kiedy jej dziób zaryje w końcu w złocisty piasek i moja idylla dobiegnie końca.

Ktoś zawołał mnie z daleka. Kobieta. Przez chwilę myślałem, że to Kaśka, ale nie. Głos nie tak ostry ani stanowczy. Raczej taki grzeczny, który można zignorować. Chciałem przedłużyć uczucie błogości, choćby tylko o kilka chwil. Przez moment, cenniejszy niż nieskończoność, będę żył idealnie, w rytmie oddechów morza.

Gdybym tylko miał normalną, to znaczy zwyczajną, żonę... Całe moje życie byłoby cudowne i beztroskie. Lato non stop, przez okrągły rok. Santorini. O tak, Santorini_lifestyles. Biały domek z błękitnym dachem. Wrzucalibyśmy do mediów społecznościowych migawki z naszej idylli: zdjęcia z plaży, pod którymi roiłoby się od komentarzy chwalących moją wyrzeźbioną sylwetkę, filmiki z kuchni z instrukcjami, jak przyrządzić moussakę, baklavę i inne specjały greckiej kuchni. Prowadziłbym też kącik sommeliera, w którym zachwalałbym lokalne wina. Zero zmartwień, zero dramy. Nawet jeszcze lepszą nazwę wymyśliłem: summerlier_lifestyles²⁰.

Nagle jakiś cień przesłonił słońce. Nie otworzyłem oczu, ale przez zamknięte powieki wyczułem spadek jasności. Powrót do K2_lifestyles był nieuchronny.

– Kris! – Tym razem głos kobiety zabrzmiał głośno i wyraźnie. – Wszystko dobrze? Dlaczego nie odpowiadasz? Przestraszyłam się.

Otworzyłem oczy. Powoli wszystko wracało, choć wciąż jeszcze byłem przyjemnie rozluźniony wódką, której wydudliłem w sumie prawie pół butelki. I ciepłą kąpielą, bo leżałem w wannie, a nie w żadnym morzu.

Szara rzeczywistość porwała mnie z Santorini i cisnęła z powrotem do Katmandu. Byłem w hotelu, nade mną stała Julka.

– Weź no! – obruszyłem się. – Jestem goły.

Usiadłem w wannie, zasłaniając się tam, gdzie trzeba.

– Mogłeś się odezwać. Wołałam! Myślałam, że... – Przez chwilę szukała słowa. – Że zasłabłeś. Wstawaj, wyłaź!

– Dlaczego?

Julka wyszła z łazienki.

– Zrobię kawę – powiedziała już przez zamknięte drzwi. – Musisz wytrzeźwieć.

- Nie jestem pijany - odpowiedziałem, po czym mało się nie wywaliłem, wychodząc z wanny. W ostatniej chwili chwyciłem krawędź i tylko boleśnie uderzyłem się w łokieć. Syknąłem i zakląłem pod nosem. Kręciło mi się w głowie, ale przynajmniej nie odczuwałem już sensacji żołądkowych.

- Zaraz tu będzie Tina. I Lorenzo. Ubieraj się.

- Kto? - zdziwiłem się.

- Nie wiesz, gdzie jest Damian? - Julka zignorowała moje pytanie. - Nie odbiera. A jest nowy plan. Szybko!

- Kto przyjdzie? - Chwiejnym krokiem podszedłem do metalowego wieszaka, na którym wisiał ręcznik.

Nie bardzo wiedziałem, co się dzieje. Julka zachowywała się dziwnie, z nerwową energią - jak nie ona.

- Zadzwoiła do mnie Tina. Pamiętasz ją?

- Aaa, ta Hiszpanka, która na mnie leciała?

- Katalonka. Nieważne. To znaczy ja najpierw zadzwoniłam do Jenny Wiklander, ale pomyślałam... Czy my aby na pewno możemy jej ufać?

Nadal nie rozumiejąc, o czym mówi Julka, przepasałem się ręcznikiem i wyjrzałem z łazienki. Przestraszyłem się, że się naćpała, dlatego gada jak nakręcona i bez sensu. Widząc moją minę, wzięła głęboki wdech i już na spokojnie opowiedziała mi o swoich podejrzeniach co do pisarki.

- Fuck shit! Może masz rację. Ta starucha od początku mi się nie podobała - powiedziałem, odgarniając kosmyk włosów, z którego kapało mi do oka.

- W każdym razie, jak się rozłączyłam, to łączyłam tak bez celu... I wtedy nagle Tina napisała mi esemesa. Zobaczyła gdzieś w internecie informację o lawinie na Evereście, o uwięzionych Polakach. I skojarzyła ją z nami. I zapytała...

- Do ciebie się odezwała? - spytałem rozczarowany, wchodząc jej w słowo.

- O Jezu, Kris... Naprawdę? Może do ciebie też, ale spałeś.

- Dobra, do rzeczy. Mówiłaś, że jest jakiś nowy plan? I co ma do tego Tina?

- Ona go wymyśliła. Razem z Lorenzo. Plan jest taki, żeby dojść do naszych od drugiej strony. Tam, gdzie nie ma zagrożenia lawinowego. Dojechać tam naokoło, rozumiesz? Samochodami. I wspiać się

od chińskiej strony. I pomóc im zejść tamtędy. Ona twierdzi, że to bezpieczniejsze i szybsze zejście. No i nie ma zagrożenia lawinami. Czyli koronny argument Damiana odpada...

– Bez sensu – wszedłem jej w słowo. – Przecież druga strona Everestu jest tybetańska. Znaczą chińska. A Tybet jest zamknięty. Na cztery spusty. Hello? Czy ona wie o tym szitstormie²¹ na Tajwanie?

– Też jej to powiedziałam. Ale ona twierdzi, że zamknięta jest tylko przestrzeń powietrzna. A tam nie trzeba lecieć helikopterem. Do chińskiego base campu można podjechać samochodami. Jest droga do samego końca. A dalej w miarę bezpieczne podejście...

– No, ale jednak trzeba jakoś podjechać, a Chiny są zamknięte! Czego nie rozumiesz? – Podniosłem głos, bo miałem wrażenie, że kręcimy się w kółko. – Na piechotę też. Przecież wiesz!

Julka popatrzyła na mnie tymi swoimi szczerymi oczami.

– Nie możesz być tak od razu na nie – powiedziała cicho. – Musimy spróbować. Próbować do skutku. To, że nie udało nam się wlecieć, nie oznacza, że nie uda się wjechać autem. Moim zdaniem zamknięte niebo to kwestia ministerstwa obrony, a ziemia turystyki. I to się da załatwić.

Milczałem. Tylko głośno wypuściłem powietrze. Woda kapała mi z włosów na twarz. Mokra skóra, ręcznik zalatujący wybielaczem, tani hotelik na Thamelu – to wszystko było realne i namacalne. A to, co sprzedawała mi Julka, było zaklinaniem rzeczywistości. Pokręciłem głową.

– Sprawdziłam – upierała się. – I oni też to sprawdzili. To jest możliwe. To jest w przepisach dotyczących wydawania wiz. Możemy się na nie powołać.

– Co jest? – Nagle znów poczułem się słabo, aż musiałem przysiąść na bambusowym fotelu.

– Można się ubiegać o wjazd z przyczyn humanitarnych. Nawet w czasie COVID-u to obowiązywało. Sprawdziłam, tak dokładnie jest napisane w komunikacie dla podróżnych na stronach MSZ. Naszego MSZ. Że obecnie nie ma wjazdu, ale są wyjątki. W celu wykonywania niezbędnych działań handlowych, naukowych... Jakichś tam jeszcze. I właśnie w przypadku nadzwyczajnych okoliczności humanitarnych. No to się przecież kwalifikujemy...

– Ale na wjazd do Tybetu trzeba mieć pozwolenie, czyli permit. Nie załatwisz go w dwa dni. Nie pamiętasz? Sprawdzaliśmy to. To się da tylko w takim ustroju jak Tybetańskie Biuro Turystyki. Wiesz, gdzie jest ich najbliższa placówka? Bo nie tu!

– Czy ty mnie słyszysz? Zwrócimy się o pomoc do MSZ. Ważne, że jest jakiś precedens...

– Będzie tak samo jak z helikopterem, zobaczysz – wymamrotałem, ale już bez przekonania i bez zajądłości.

– Nie będzie! – powiedziała z pasją.

Popatrzyłem na nią i coś we mnie w końcu kliknęło. Może włączyła mi się naiwność, może tak bardzo chciałem złapać się nowej nadziei, jakiegokolwiek nadziei. Albo po prostu udzieliła mi się determinacja Julki.

Dzielna dziewczyna.

Miałem ochotę podejść i ją uściskać, ale obawiałem się, że spadnie mi ręcznik albo będę miał niechcianą erekcję.

47. JULIA

– Nie ma mowy. Kim oni w ogóle są, jak długo ich znacie? – spytał po polsku Damian, wygodnie rozsiadając się na kanapie i rozkraczając szeroko nogi, jakby chciał zagarnąć jak najwięcej przestrzeni i pokazać, że jest tu szefem.

Siedzieliśmy w piątkę w hotelowym barze, dość ciasnym i ciemnym pomieszczeniu, wykończonym czarnym drewnem egzotycznym. Świeciły się tylko półki z alkoholami na ścianie za kontuarem. Damian i Tina siedzieli na jednej kanapie, a Kris, Lorenzo i ja tłoczyliśmy się na drugiej. Pomiędzy nami był prostokątny podłużny stolik z intarsjami z jaśniejszego drewna.

– Mów po angielsku, to niegrzeczne – mruknął Kris.

– Ty pijany jesteś? – fuknął Damian.

Miałam wrażenie, że kierownik wyprawy robi wszystko, by storpedować moje wysiłki i wysadzić tę naradę w powietrze. Jakby rzeczywiście nie zależało mu na uratowaniu Kaśki. Albo reagował niechęcią, bo nie potrafił pogodzić się z tym, że sam niczego nie załatwił.

Dochodziła piętnasta. Niedługo minie trzecia doba od zejścia lawiny. Przez siedemdziesiąt dwie długie godziny wykończeni, ranni ludzie tkwią w ekstremalnych warunkach, w których nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby przebywać dłużej niż kwadrans.

– Guys – wtrąciła Tina, sięgając po szklanę z piwem bezalkoholowym. – Is there a problem?²²

Moje uznanie dla niej rośnie z każdą chwilą. Była jednocześnie charyzmatyczna i ciepła. Nie dała się zdominować Damianowi.

– Do you speak English, blond boy?²³ – spytała, rzucając mu protekcyjny spójrzanie spod długich rzęs.

Poskutkowało. Do końca spotkania Damian nie odezwał się już po polsku.

Plan Tyny i Lorenza zakładał podejście inną drogą, niejako od tyłu. Trzeba było dojechać samochodami terenowymi do granicy z Chinami, przekroczyć ją, a następnie odbyć naokoło podróż w okolice lodowca Rongbuk. Końcowym etapem miała być wspinaczka w kierunku przełęczy Lho La. Uczestnicy wyprawy ratunkowej dostarczyliby Markowi i Kaśce sprzęt, którego będą potrzebować, żeby zejść nieprzygotowaną wcześniej drogą na stronę chińską. Doniosą im też medykamenty i pomogą zejść na dół, zwłaszcza jeśli utrzymają się kłopoty ze wzrokiem Marka.

– Lorenzo i ja możemy to ogarnąć – podsumowała Tina.

– Dzięki, nie trzeba, ja się wspinam – odparł Damian, marszcząc czoło, jakby intensywnie nad czymś myślał. – I mój sirdar. Od strony chińskiej to łatwizna. A oni też może będą w stanie zejść jeszcze trochę niżej. Skoro Bart nie żyje, powinni dać radę.

– Nie mów o nim, jakby był przeszkodą, która się usunęła – wtrącił Kris.

Popatrzyłam na niego z wdzięcznością. Sama też, kolejny już raz, odnotowałam, że Damian zbyt lekko mówi o śmierci drugiego z braci Sowińskich, tak jakby to była tylko i wyłącznie sprzyjająca okoliczność.

– Myślę pragmatycznie. – Damian wzruszył ramionami. – Skoro mogą zejść niżej, niech zjedzą...

– Marek nie widzi – wtrąciłam.

– Do jutra może mu się polepszy. Ślepotą śnieżna na ogół odpuszcza. Poza tym Kaśka może go prowadzić. Powinni zejść niżej, bo moim zdaniem wciąż najlepszą opcją jest śmigło. Skupmy się na tym, żeby załatwić zgodę Chińczyków na przelot. Wasz plan – Damian zwrócił się do Tiny – to żadna nowa jakość. Tak samo trzeba załatwić wjazd do Chin. Nic nowego, a jedzie się pięć razy dłużej.

Chciałam się wtrącić, ale nie dał mi dojść do słowa.

– Wiem, wiem... Wy twierdzicie, że tak będzie łatwiej. Ale uwierzę, jak zobaczę te wizy i permity. Na razie nic nie mamy na stole.

– To przynajmniej rozważmy oba plany – powiedziałam. – Jeden na wypadek niepowodzenia drugiego.

Damian przez chwilę mierzył mnie wzrokiem. Jeśli myślał, że mnie onieśmieli, to się przeliczył. Nie wiem kiedy, ale przekroczyłam magiczną granicę. Grzeczna, potulna Julka została na drugim brzegu.

– Dobrze, dziękujemy za pomysł – mruknął w końcu. – Zajmijmy się planowaniem. Dwutorowo.

Tina i Lorenzo ponownie wyrazili gotowość do udziału w akcji ratunkowej. Co najważniejsze – znali tę okolicę. Rok przed zamknięciem Tybetu z powodu pandemii przez miesiąc wspinali się w okolicach chińskiej bazy pod Everestem. Mogli służyć swoim doświadczeniem. Jednak Damian uparł się, że nawet jeśli skorzysta z ich planu, weźmie z sobą Norbu, Szerpę, który przyleciał z nim z bazy pod Everestem.

– To chyba oczywiste. Znam go, jest sprawdzony i zaaklimatyzowany.

– Nie. Tina i Lorenzo pojedą z nami – wtrąciłam się, bo nie podobało mi się, że Damian tak się upiera.

– Jak to Tina i Lorenzo? – W odpowiedzi znów przeszył mnie zimnym spojrzeniem. – Jak to „z nami”?!

– Kris i ja też jedziemy.

– Zwariowałaś?

– Weź jej nie obrażaj! – wtrącił się po polsku Kris, ale powstrzymałam go zaraz gestem.

– Pojedziemy – powiedziałam, akcentując każdą sylabę. – Dojedziemy przynajmniej do miejsca, do którego mogą dojechać samochody.

– Ale po co? Why?²⁴

– Łaj? Sraj! – wciął się znów poirytowany Kris, ale szybko spacyfikowałam go spojrzeniem.

– Zrozum nas. – Staralam się przemówić do jego empatii, choć coraz wyraźniej czułam, że Damian jej nie ma. – To dla nas ważne. Najważniejsze. Pojedziemy. I tak trzeba wziąć więcej niż jeden samochód, żeby wszystko przewieźć. I tam na was poczekamy...

– Gdzie niby? – przerwał mi Damian.

– W chińskim base campie – odpowiedziała Tina. – Tam jest przecież hotel namiotowy.

– Zlikwidowali go. Przecież jak nie ma klientów, to się nie opłaca.

– No to w klasztorze Rongbuk. – Tina nie dała się zbić z pantałyku. – Jego Chińczycy nie zlikwidowali, choć na pewno by chcieli...

Spojrzałam na nią z wdzięcznością.

– Więc Kris i ja tam zostaniemy, a wy będziecie się dalej wspinać w czwórkę. To aż nadto wystarczy – powiedziałam.

– Co ty, nie ufasz mi? – prychnął Damian i obrzucił mnie protekcyjnym spojrzeniem.

To chyba była jakaś jego nowa strategia – zamiast miażdżyć mnie charyzmą, będzie próbował mnie ośmieszyć.

– Nie, nie ufam ci – odpowiedziałam spokojnie.

48. KRIS

W końcu! Nareszcie coś się działo, posuwało się do przodu. Poczulem przyptyw energii, który zlikwidował ból głowy i wykurzył ze mnie smerfa Marudę.

Cieszyło mnie, że Julka dokopała Damianowi, pobiła go. Wcześniej ustaliliśmy, że na razie nie złapiemy go za gardło w sprawie przestawienia aplikacji pogodowej, poczekamy z konfrontacją. Teraz nie było na to czasu. Trzeba się było skupić na tym, żeby sprowadzić Kaśkę i Marka na dół. Mieliśmy do Damiana ograniczone zaufanie i ustaliliśmy, że będziemy mu patrzeć na ręce, ale nie mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby odpalić teraz szitstorm.

Na koniec spotkania w hotelowym barze podzieliliśmy się obowiązkami. Hiszpanie zajęli się planowaniem wyprawy, przede wszystkim jej ostatnim etapem – wspinaczką od chińskiej strony

w kierunku Kaški i Marka. Musieli wybrać i przygotować sprzęt, a także zapasy: jedzenie, tlen, leki. Cała logistyka, do której ja jako laik podchodziłem jak pies do jeża. Na szczęście dopiero co skończyli się wspinać, więc uprząże mieli wyregulowane, raki dopasowane i realnie byli w stanie się ogarnąć w ciągu jednego wieczoru i nocy.

Julka wymusiła na Damianie, żeby dał im na to dwa tysiące dolarów z budżetu wyprawy. On sam pojechał do agencji turystycznej, żeby załatwić trzy samochody terenowe, a jednocześnie zaklepać helikopter, jeśli uda się załatwić pozwolenie na lot. Sondowaliśmy też Bakera, ale facet drugi raz nie chciał nam pomóc. Wymówił się tym, że ma zobowiązania wobec sponsorów i musi gdzieś lecieć, kręcić coś na żywo.

A niech leci, pajac, i się spierdoli, nogę chociaż złamie.

Teraz i tak, wraz z doniesieniami napływającymi z Tajwanu, wersja z helikopterem wydawała się z każdą minutą mniej prawdopodobna. Gdybym miał stawiać dolary przeciwko orzechom, mój wybór padłby na „plan hiszpański”, jak go zacząłem nazywać.

Czas naglił, było już po szesnastej. Pospieszaliśmy z Julką do chińskiej ambasady, żeby załatwiać zgody na wjazd samochodami albo – ewentualnie – przelot helikopterem. Mogliśmy iść piechotą, bo znajdowała się kwadrans od naszego hotelu, ale podjechaliśmy autem, bo nie sposób było przewidzieć, co i gdzie będziemy musieli załatwić później.

Do chińskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego należały dwa budynki przy tej samej ulicy. W pierwszej kolejności podeszliśmy do niewysokiego biurowca, który ledwo wystawał zza muru z jasnobrązowych cegieł. Mieściła się w nim sekcja konsularna.

Wydawało mi się, że skoro tyle osób jest zaangażowanych i działamy na pełnych obrotach, to sytuacja będzie zmierzać do szczęśliwego finału. Ale prawda była taka, że wszystko mogło rozbić się o brak zielonego światła od Chińczyków. Co jeśli zaraz wybuchnie wojna z Tajwanem? Może już wybuchła?

W porozumieniu z Damianem wysłaliśmy wiadomość na telefon satelitarny Kaški i Marka, relacjonując im w kilku zdaniach dwie wersje planu i próbując tchnąć w naszych górskich rozbitków optymizm.

Odpowiedzieli, że mają poniżej dziesięć procent baterii.

Zmartwiło mnie to. Nie wyobrażałem sobie, żebyśmy w kluczowym momencie stracili z nimi łączność. To była przerażająca perspektywa. Napisał im, żeby wyłączyli telefon satelitarny i włączyli go dopiero jutro rano, wtedy już powinniśmy być w drodze, dżipami albo helikopterem, i ostatecznie potwierdzimy im, który plan jest realizowany.

– Patrz! Nie ma kolejki – powiedziałem, kiedy podeszliśmy pod jasnoniebieskie metalowe drzwi sekcji konsularnej. – To chyba dobrze.

– Oby.

Zadzwoiłem domofonem. Po dłuższej chwili drzwi uchylił umundurowany strażnik. Popatrzył na nas zdziwiony. Nie znał angielskiego, więc nie szło się z nim dogadać, ale domyśliliśmy się po tym, jak kręcił głową, że dziś już nie przyjmuje się petentów. Pokazywał na zadaszoną drewnianą gablotę przy drzwiach. Zapewne pośród miliona kartek, które na niej wisiały, znajdowała się informacja o godzinach pracy placówki.

Wyciągnęliśmy paszporty, licząc, że łaskawszym okiem spojrzy na Europejczyków. Tak sugestywnie na niego napieraliśmy, że w końcu ustąpił. Kazał nam poczekać przed bramą, a sam wycofał się na teren ambasady.

W rezultacie kilkanaście minut później znaleźliśmy się z Julką w jakimś gabinecie, z krótkim międzylądowaniem w hallu, a potem w sekretariacie. Okazało się, że wydział konsularny jest już zamknięty, dlatego przed wejściem nie stała kolejka, ale najwyraźniej ktoś postanowił zrobić dla nas wyjątek.

Czyżby szczęście zaczęło się do nas w końcu uśmiechać? Może jeszcze nie pełną gębą, ale już przynajmniej się na nas nie boczyło?

– Myślisz, że powinniśmy mu powiedzieć, że rano nielegalnie do nich wlecieliśmy? – spytałem po polsku, jednocześnie szeroko uśmiechając się do siedzącego za biurkiem łysiejącego mężczyzny o okrągłej twarzy, który przeglądał nasze paszporty.

Gabinet był urządzony skromnie i bezpłciowo. Równie dobrze tak mogło wyglądać przedstawicielstwo przedsiębiorcy eksportującego kapustę pekińską: proste biurko, na podłodze gres w kolorze kawy z mlekiem. O powadze urzędu świadczył jedynie duży stojak z flagą w lewym kącie za plecami urzędnika i równie okazałych rozmiarów

chińska waza, ustawiona dla przeciwwagi kompozycji za jego prawym ramieniem.

– Oczywiście, że nie mówmy mu tego – szepnęła Julka. – Zwariowałaś?

– A co, jeśli nas szpiegowali? Chińczycy podobno szpiegują wszystkich, znaczy wszystkich swoich. Ale może nas już też?

– Kris, nie wygłupiaj się... Nie teraz.

Opowiedzieliśmy urzędnikowi całą historię i przedstawiliśmy obie wersje planu ratunkowego. Słuchając nas, nie przestawał się uśmiechać i potakiwać, więc byłem przekonany, że sprawa zmierza w dobrym kierunku.

– Wiemy, że wjazdy na teren Chin zostały wstrzymane... – mówiłem po angielsku.

– Na teren Chińskiej Republiki Ludowej. – Na wszelki wypadek poprawiła mnie Julka.

– Jaki jest dokładny cel wjazdu? – spytał urzędnik, odkładając na biurko nasze paszporty.

Na chwilę mnie zatkało. Tak jakby facet się zresetował i zapomniał, z czym się dobijamy. Zaraz jednak zrozumiałem, że to takie biurokratyczne międlenie tego samego w kółko. Ale też szansa, żeby go zmiękczyć. Już otworzyłem usta, ale Julka mnie ubiegła.

– Musimy pomóc naszym bliskim. Czwórka z nas to wspinacze...

– Natomiast my dwoje – wszedłem jej w słowo – planowaliśmy trekking. Dla mnie to podróż poślubna. Jedną z uwięzionych na zboczu Everestu osób jest moja żona, moja kochana żona czeka teraz na ratunek...

Świadomie grałem kartą emocjonalną. I wcale nie cynicznie. Głos naprawdę mi się załamał, kiedy mówiłem o Kaście.

Tonęliśmy. Chwytałbym się każdej brzytwy. Jeśli będzie trzeba, rozplączę się, pokażę mu zdjęcia ze ślubu.

Tylko czy na chińskiej biurokratycznej marionetce zrobi to jakiegokolwiek wrażenie?

49. JULIA

Z ambasady wyszliśmy kilka minut po siedemnastej. Patrzyłam z przejęciem, jak słońce powoli, acz nieubłaganie, zmierza w kierunku horyzontu. Nasycone smogiem powietrze nad Katmandu oblekła brudnożółta poświata. Za chwilę zacznie zapadać zmrok. Już wcześniej pogodziłam się z tym, że Marek i Kaśka jeszcze tę jedną, czwartą już, noc będą musieli walczyć o przetrwanie. Cały czas jednak liczyłam na to, że uda się coś załatwić, że będziemy mogli tchnąć w nich na te najgorsze godziny nową nadzieję. Dać im twardą obietnicę, że rano wystartuje helikopter. A jeśli wybrana zostanie opcja Katalończyków – że samochody terenowe wyruszą jeszcze przed świtem.

Niestety, moje nadzieje powoli stawały się marzeniami ściętej głowy.

Chiński urzędnik, który wydał się nam miły i uczynny, szybko zaczął uprawiać psychologię: on nie może podjąć takiej decyzji, muszą się odbyć konsultacje, sytuacja jest skomplikowana, od ręki taką zgodę mógłby załatwić tylko ambasador. Ale dziś już go nie ma.

– A gdzie jest, jak nie w ambasadzie? – obruszył się Kris, ale zaraz zadał sensowniejsze pytanie. – Czy nie można się z nim skontaktować?

– Prosimy... – wtrąciłam się, żeby przykryć choć trochę jego irytację.

W odpowiedzi urzędnik jedynie chłodno się uśmiechnął. Miało to chyba oznaczać, że nasza prośba jest niestosowna.

– Ale przecież jutro jest sobota. – Patrzyłam błagalnie na mężczyznę za biurkiem.

– Nie możemy czekać – wtórował mi Kris. – Nie ma opcji!

W Nepalu dniem wolnym od pracy, kiedy wszystkie urzędy są zamknięte, jest sobota. Jeśli wiz i zgód nie uda się załatwić dziś, akcja ratunkowa oddali się o kolejne dwie doby. Marek i Kaśka nie mieli jedzenia, nie mieli czym się ogrzać ani nawet nie mogli stopić śniegu, żeby zrobić sobie herbatę. Byli głodni, poturbowani lawiną, odwodnieni i wykończeni psychicznie. Ile jeszcze zdołają wytrzymać?

– Przykro mi. Na tę chwilę nic więcej nie mogę zrobić – powiedział urzędnik i podniósł się z biurka, kończąc rozmowę.

Kris jeszcze chwilę próbował, ale ostatecznie i on musiał się poddać. W milczeniu, z nosami spuszczoneymi na kwintę, wyszliśmy z budynku. Niemówiący po angielsku ochroniarz otworzył nam metalową bramę, po czym zatrzasnął ją za nami z hukiem.

– No nic, trzeba się podnieść i otrześć. Następny przystanek: musimy dorwać tego ambasadora – powiedział Kris, zмирzając szybkim krokiem w kierunku auta. – Nie wiem jak, nie wiem gdzie, ale musimy to zrobić jeszcze dziś. Skoro tylko on nam może dać tę zgodę, bez, kuźwa, konsultacji międzynarodowych.

– Masz rację. Dziś. Koniecznie dziś – powtarzałam jak mantrę. – Może dajmy znać Damianowi, on przecież miał się skontaktować z MSZ? Niech się jakoś włączy.

– To napisz mu esa i jedźmy do Niemców. A ja dzwonię do teściowej – odpowiedział, wybierając numer w komórce.

Zuzanna odebrała niemal natychmiast, ale Kris nie włączył trybu głośnomówiącego, więc nie słyszałam, co mu odpowiada. Na pewno często przerywała, kiedy relacjonował jej nasze dzisiejsze starania i przebieg rozmowy w ambasadzie. Irytował się, jego ruchy stały się nerwowe, a dłoń, w której trzymał kluczyki samochodowe, mocno się zacisnęła.

– Oczywiście, że działamy – mówił, wsiadając do auta. – Jedziemy teraz do niemieckiej ambasady, może tam coś się uda... Tak, mam, dobrze usłyszałaś. Do Szwabów. Dlaczego? Bo tu nie ma polskiej ambasady, więc oni obsługują też polskich obywateli... Ale, mam, posłuchaj, najważniejsza sprawa, skup się, to ważne. Trzeba uruchomić nasze MSZ...

Kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, rozmowa przετάczyła się na zamontowany w aucie zestaw głośnomówiący i od tej chwili słyszałam odpowiedzi jego teściowej.

– Poczekaj, uciekło mi, bo wsiadamy do samochodu – powiedział Kris.
– Możesz powtórzyć?

– Ale ja nadal nie rozumiem, dlaczego chcecie jechać naokoło? Gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie Honolulu?

– Co?!

– Przecież najszybciej będzie iść po nich po prostu w górę albo polecieć helikopterem, nawet dziecko to rozumie... Boże, Krzysiu...

– Mówiłem ci, mam, helikopter raczej odpada, ponoć nie da się tam dolecieć... Trzeba by ominąć przestrzeń powietrzną Chin. Wejść po nich się nie da, bo od strony nepalskiej jest lodospad Khumbu.

– No wiem przecież.

– No to wiesz też chyba, że to kompletnie odpada ze względu na warunki pogodowe. – Kris się coraz bardziej niecierpliwił. – Tam schodzi lawina za lawiną, nikt się nie podejmie sprowadzania ich tamtędy, to dla nich też byłoby śmiertelnie niebezpieczne.

– No dobrze, rozumiem, zatem Chiny. No niech będzie. Ale czym się różni załatwienie zgody na przelot i przejazd? Swoją drogą, Chińczycy są bezduszni. Od czasu Mao, który wyprał im duchowość i przy okazji mózgi... Uważajcie na nich, Jezus Maria...

– Będziemy rozważać obie opcje. – Kris przerwał teściowej w pół zdania, przymknął na moment oczy. Widać było, że już nie jest w stanie znieść jej tyrady. – Ale tak jak mówiłem, śmigłowiec jest mało prawdopodobny, bo to kwestia nie tylko ich MSZ, ale chyba wojska. Ministerstwo obrony zamknęło przestrzeń powietrzną. Tak naprawdę tylko Damian się upiera...

– No wiesz, Damian się zna – weszła mu z kolei w słowo Zuzanna. – W końcu studiował na Harvardzie, więc może jak się upiera, to trzeba go posłuchać...

Gdyby sytuacja nie była poważna, pewnie bym się zaśmiała. Zuzanna była dziwna, ale że w takiej sytuacji nie może się powstrzymać przed faworyzowaniem poprzedniego faceta swojej córki? Może tak reaguje na stres i strach o Kaškę?

Kontynuując rozmowę z Zuzanną, przedzieraliśmy się przez narastającą już popołudniową falę ruchu ulicznego. Bałam się, że dotrzemy na miejsce za późno, że niemiecka ambasada będzie zamknięta.

– Mamo, posłuchaj... – Kris silił się na grzeczny ton, choć wewnątrz chyba się gotował. – Jeśli pojedziemy drogą lądową, nie chcemy znów powtórki z rozrywki, że nas nie wpuszczą, rozumiesz? Sytuacja jest dynamiczna, w Tybecie były jakieś zamieszki, a na Tajwanie... Sama wiesz... Zwykły turysta tam już nie wjedzie, nie ma opcji. Musimy dostać specjalną zgodę od ambasadora... A jak zaczną się inwazja, to myśz z kulawą nogą się nie prześliznie. Czas naprawdę ucieka.

– Ale jaką zgodę?

Miałam wrażenie, że Zuzanna specjalnie udaje niezbyt rozgarniętą. Nie wiedziałam tylko, jaki cel jej przyświeca.

– Nie wiem. – Kris naprawdę starał się zachować spokój. – List żelazny? Glejt?

– O Boże! Krzysiu...

Otworzyłam oczy szeroko ze zdumienia, bo teściowa Krisa zachowywała się po prostu okropnie.

– List żelazny wydaje się przestępcom – mówiła protekcyjnym tonem. – A glejt? Nie żyjemy w średniowieczu...

Nie miałam siły wtrącić się do rozmowy. Czułam, że i tak nie byłabym bez szans w potyczce słownej z tą toksyczną kobietą. Byłam też w szoku – jak to możliwe, że złośliwość bierze w niej górę nad lękiem o życie dziecka! W takiej chwili ma głowę do tego, żeby wbijać zięciowi szpile? Chyba że to jakiś mechanizm obronny, dziwaczny sposób na radzenie sobie z traumą?

– Mamo, nie wiem, nie jestem dyplomata – wycedził przez zęby Kris, jednocześnie szarpiąc kierownicą, żeby uniknąć potrącenia rikszarza. – Ale na pewno coś takiego można załatwić, jest na to specjalny wyjątek. „Kwestie humanitarne”. Ale właśnie trzeba się skontaktować z MSZ. Oni mogą to zrobić najszybciej, swoimi kanałami. Tylko trzeba działać. Teraz, zaraz! Najlepiej, jakbyśmy mogli porozmawiać z ambasadorem. Osobiście. Bo on taką zgodę może wydać od ręki. Najkrótsza piłka, jak on nam to podpisze, rozumiesz? Musimy wyruszyć po nich jeszcze dziś w nocy, najpóźniej jutro rano. Przecież dla nich każda dodatkowa godzina na tej kurewskiej wysokości...!

Niespodziewany wybuch Krisa, urwane zdanie, przekleństwo – wszystko to podziałało na jego teściową otrzeźwiająco.

– Dobrze, Krzysiu, poczekaj... Zadzwońię do Szmigierskiej-Rodenberg. Widziałam się z nią nawet niedawno, na premierze tej okropnej opery Karwińskiego, o której potem wszyscy pisali, nawet „Washington Post”, chociaż mam wrażenie, że on sam ostatnio schodzi na psy... Albo to był „New York Times”? W każdym razie jej syn, zdaje się, pracuje w MSZ, o ile jeszcze go nie wywalili...

– Świetnie. Niech spróbują to załatwić swoimi kanałami. Albo chociaż niech ustalą dla nas adres jego rezydencji...

– Syna Szmigierskiej-Rodenberg? – zdziwiła się matka Kaśki.

– Nie, mamo, chińskiego ambasadora – odparł Kris, zachowując spokój ostatkiem sił. – W Katmandu – uściślił jeszcze na wszelki

wypadek.

50. KRIS

Niemiecka ambasada również znajdowała się blisko, niecałe półtora kilometra od chińskiej. Jednak dojazd i znalezienie miejsca do parkowania zajęły nam dobre piętnaście minut. Niestety, szczęście znów odwróciło się do nas dupą. Niczego konkretnego nie udało nam się załatwić. Nadzieja wyslizgiwała nam się z rąk.

W budynku z ładnym ogrodem, który wyglądał bardziej jak rezydencja ambasadora niż siedziba instytucji, czuło się już, jak piątkowe popołudnie zmienia się w weekend. Zdawało się, że czas tu zwolnił, zmroził go chłód klimatyzacji. Młody recepcjonista w białej koszuli, ściśniętej pod szyją krawatem, kilkakrotnie zasugerował, żebyśmy przyszli w niedzielę, czyli za dwa dni. Dopiero kiedy wyjaśniliśmy, o co chodzi, uśmiechnął się kwaśno i wybrał numer wewnętrzny. Nie znam niemieckiego, więc nie mam pojęcia, co mówił, ale kilka minut później przyszła do nas urzędniczka, również młoda – blondynka z dziwnie przyciętą grzywką. Co chwilę nerwowo zerknęła na komórkę, jakby oczekiwała potwierdzenia randki albo imprezy.

Powtórzyła tylko to, co i tak wiedzieliśmy. Zna przypadki wydawania przez Chińczyków wiz humanitarnych, ale procedury trwają, na pewno dłużej niż kilka godzin. Teoretycznie ambasador może wydać dyspozycję, żeby załatwić to od ręki. Tak naprawdę chodzi o wpisanie nas do oficjalnej bazy. Korzystają z niej straż graniczna i posterunki policji, rozsiane w Tybecie średnio co pięćdziesiąt kilometrów.

– Dobrze, a co możecie zrobić, żeby skontaktować nas z tym ambasadorem? – spytałem. – Skróćmy to wszystko, ta cała otoczka nas nie interesuje. Chcemy działać. Konkretnie.

– Ale to znaczy, że nie złożyliście podania o wizę w chińskiej ambasadzie? – spytała Niemka, znów zerkając na komórkę.

– Oczywiście, że złożyliśmy – wtrąciła się Julka. Nawet i ona, z tą swoją buddyjską niewzruszonością, zaczynała się irytować. – Ale nie możemy czekać. A na to się zanosi.

– Na pewno macie jakąś gorącą linię. Pewnie wasz ambasador zna tamtego z jakiejś imprezki dla dyplomatów. Albo zapraszają się na niedzielne obiady – próbowałem żartować. – Znaczą sobotnie.

– Zobaczmy, co da się zrobić, i odezwiemy się do państwa. – Uśmiech, którym okrasila swoje słowa, był tak nieszczerzy, że nie miałem złudzeń. – Proszę mi zostawić jakiś namiar na siebie.

Gadaliśmy z nią jeszcze chwilę, ale widać było, że znów utknęliśmy w martwym punkcie. I każda chwila dłużej z tą Helgą była zmarnowana.

Jak tylko zatrzasnęło się za nami metalowe ogrodzenie ambasady, zadzwoniliśmy do Damiana. Temat powtórnego lotu helikopterem zszedł na dalszy plan. W agencji turystycznej przekonali go, że zestrzelenie samolotu nad Tajwanem to potężna afera, która w najbliższych dniach będzie się tylko rozkręcać. Wersja z dziłkami też szybko może okazać się niemożliwa w realizacji, ale cię szansy jeszcze jest, choć z każdą chwilą bledszy.

Czułem, że żołądek mi się skręca z nerwów. Uciekający czas przyspieszył, a my byliśmy w lesie. Postanowiliśmy z Julką wrócić do hotelu i ustalić z Damianem, co dalej. Nie zamierzaliśmy odpuszczać, ale przynajmniej chwilowo nie mieliśmy żadnego sensownego pomysłu.

– Dzwoniła do mnie twoja teściowa – powiedział Damian, kiedy dwadzieścia minut później weszliśmy do hotelowej restauracji, w której rozchodziły się intensywne zapachy gotowanego ryżu i przypraw.

Znów ten kpiący uśmiezek. To, że Damian nie przejmował się specjalnie, czy Kaśka i Marek przeżyją, już mnie nie dziwiło. Ale facet miał chyba niezły ubaw.

– I? – spytałem.

– Nie ma dobrych wieści. Przez jakichś swoich znajomych w MSZ próbowała uzyskać kontakt do kogoś w chińskiej ambasadzie...

– No tak, poprosiliśmy ją o to.

– Ale nie ma szans, żeby to pozwolenie załatwić dzisiaj. Tam naprawdę już nikogo o tej porze nie ma, nie da się z nikim skontaktować, bo ambasador podobno gra w golfa.

– To kurewsko fatalnie – odpowiedziałem. – Bo przecież nie będzie lepiej, jutro jest sobota. Musimy coś zrobić.

– Ale co?

– Nie wiem, pojedźmy bez tego pozwolenia.

– Chyba żartujesz. To byłby szczyt naiwności. Zatrzymają nas na granicy.

Poczułem, że pięści same mi się zaciskają. Kolejna awantura z Damianem wisiała w powietrzu. Spojrzałem na Julkę – to był dobry moment, żeby interweniowała z tym swoim buddyjskim stoicyzmem i nawoływaniem do nieużywania przemocy. Dama Lama.

– Gra w golfa – rzuciła tylko, zamyślona.

Obaj z Damianem popatrzyliśmy na nią pytająco.

– Powiedzieli, że ambasador gra w golfa – powtórzyła, patrząc na nas znacząco.

Wiedziałem już, o co jej chodzi.

– No i co z tego? Nie żartuj. Przecież nie wiemy gdzie. – Damian wzruszył ramionami. Też się domyślił, co zaświtało jej w głowie.

Nie byłem przekonany do pomysłu Julki, ale natychmiast skorzystałem z okazji, żeby ustawić się w kontrze do Damiana.

– A ile, myślisz, jest pól golfowych w tym zaszranym mieście? – odpowiedziałem kpiąco. – Dwadzieścia?

51. JULIA

Szukanie chińskiego ambasadora na polu golfowym to był szalony plan. Sama się zdziwiłam, że coś takiego przyszło mi do głowy.

Jeszcze kilka dni temu bym na to nie wpadła, byłam zbyt poukładaną osobą. Poruszałam się w ramach zakreślonych przez tradycję, przepisy i tak dalej. To trochę przypadłość zawodowa tłumaczy, którzy nie powinni wychodzić poza obrys wyznaczony przez oryginał.

To Kris zaraził mnie ułańską fantazją. Gdyby nie on i jego brak oporów, który niejedną raz obserwowałam w ciągu tych już ponad dwóch tygodni spędzonych razem w Nepalu, nie odważyłabym się.

Nie znaczy to, że nagle porzuciłam swoje wartości i całkowicie przejęłam „K2_lifestyles”. W przypadku Krisa brak oporów często prowadził do kłopotów albo żenady, ale to dlatego, że swojej dezynwoltury nadużywał.

Damian wpatrywał się we mnie z niechęcią. W tym czasie Kris wbijał wzrok w komórkę.

– No proszę – powiedział, stukając palcem w ekran. – W okolicach Katmandu jest właściwie tylko jedno pole golfowe. Bingo, mamy to!

– Dajcie spokój, to jakaś dziecinna partyzantka – mruknął Damian. – Tak się niczego nie załatwi.

– Masz lepszy pomysł? – spytałam.

Nie miał. Nie dawał się przekonać, ale nie potrzebowaliśmy jego zgody ani pomocy. Ustaliliśmy, że Kris i ja pojedziemy szukać ambasadora, a on niech wraca do agencji trekkingowej, żeby nadzorować przygotowania do wyprawy terenówkami. W międzyczasie UHK przesłało nam najnowszą prognozę pogody. Przez najbliższe dwie doby przez Everest przetaczać się będzie burza śnieżna. Huraganowy wiatr i zachmurzenie sprawiają, że opcja lotu helikopterem stała się praktycznie nierealna. Podobnie jak podejście od strony lodowca Khumbu. Natomiast od strony chińskiej zbrocze było łagodniejsze i nie było zagrożenia lawinowego. Jedyna sensowna opcja, jak to często bywa w życiu, wyklarowała się sama.

– Z Bogiem – rzucił kpiąco Damian, kiedy zakomunikowaliśmy mu, że jedziemy szukać ambasadora.

✱

Royal Nepal Golf Club znajdował się tuż przy lotnisku Tribhuvan, nieopodal baraków, w których poprzedniego dnia szukaliśmy firm transportowych. Choć miał w nazwie przymiotnik „królewski”, budynek klubu był niepozorny i kiczowaty, a parkingu przed nim nawet nie wysypano żwirem – po prostu kilkadziesiąt metrów kwadratowych rozjechanego gruntu.

Ale serce zaczęło bić mi mocniej, bo stały na nim trzy czarne limuzyny.

– Dobra nasza – mruknął Kris. – Mają numery dyplomatyczne.

– Po czym to poznać? Bo rejestracje są niebieskie?

– To też, ale zobacz, między tymi ich robaczkami są nasze litery, znaczy łaćńskie, C i D, czyli „corps diplomatique”²⁵.

Kris zaparkował obok limuzyn. Prawie zarył przodem auta w ścianę obsypanych bujnym kwieciami krzewów.

– Okej – mruknął, zaciągając hamulec ręczny. – Tylko umawiamy się, że ja gadam.

Zgodziłam się, bo było oczywiste, że zrobi to lepiej ode mnie. Niestety, szybko się okazało, że nie będziemy w ogóle mieć okazji, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Dzień dobry, dziś wstęp tylko dla członków klubu – powitała nas młoda kobieta w białej koszulce polo i czarnych spodniach z szerokimi nogawkami. Miała mocny makijaż i starannie upięte włosy. Podeszła do nas, jak tylko wkroczyliśmy do przeszklonego westybulu i zatrzymaliśmy się przy niewielkim stoliku, nad którym do ściany przymocowana była drewniana tabliczka z napisem „visitors book” – księga gości. A wokół niej w złotych ramach wisiały czarno-białe zdjęcia dokumentujące historię klubu.

– Ale my nie chcemy grać – powiedział Kris, serwując jej swój najbardziej instagramowy uśmiech.

– To bez znaczenia. Przykro mi. Dziś jesteśmy nieczynni.

– Ale my jesteśmy z Europy.

Kris zagrał okropną kartą, którą nazwałabym kolonialnym szowinizmem. Na co dzień podobne zachowania ludzi z Zachodu mnie oburzają. Moim zdaniem to niedopuszczalne, jeśli ktoś próbuje korzystać z przewagi, wyższości, jaką daje bycie Europejczykiem czy Amerykaninem. Czasami nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy – bez protestu i bezrefleksyjnie pozwalamy się lepiej traktować.

Dziś jednak byłam gotowa przełknąć ten nasz kolonialny szowinizm, byle tylko zadziałał. Domyślaliśmy się, że klub został zamknięty ze względu na wizytę chińskiego ambasadora.

Jego zgniłe przywileje kontra nasze.

Niestety, status Europejczyka zdał się na nic. Pracownica klubu golfowego pozostała nieugięta, zupełnie obojętna na urok Krisa.

– Przykro mi, dziś wstęp tylko dla członków klubu – powtarzała, obdarzając nas uśmiechem, który miał zapewne złagodzić przykrą informację.

– Dobrze, w takim razie chcielibyśmy zapisać się do waszego klubu – powiedział Kris, splatając ręce na piersi.

Popatrzyłam na niego z zaskoczeniem. Dziewczyna się zaśmiała, ale zaraz znów przybrała pozę służbistki.

– Dzisiaj to, niestety, i tak nic nie da. Mamy specjalny event... Całe pole, przez całe popołudnie i wieczór, jest zarezerwowane.

– Tak, wiemy. Dla chińskiego ambasadora. – Kris posłał kobiecie pewne spojrzenie. – Chcemy tylko z nim porozmawiać.

Niestety, również strategia nastawiona na szczerość nie przyniosła rezultatu. Nawet kiedy wyłożyliśmy jej całą prawdę, kobieta pozostała niewzruszona.

– Bardzo mi przykro. Naprawdę mi przykro. Ale nie mogę państwu pomóc.

– Kim pani w ogóle jest?

– Pracuję tutaj.

Kris nie miał zamiaru się poddawać. Sięgnął po portfel i otworzył go ostentacyjnym ruchem. Poczulałam zalew zażenowania, obawiałam się nawet, że próba wręczenia łapówki skończy się awanturą, a w najlepszym wypadku wyrzuceniem nas z hukiem. Na szczęście młoda hostessa okazała nam pobłażanie. Pokręciła głową i posłała mu dumne spojrzenie.

Kris schował portfel do kieszeni. Ale znałam go już wystarczająco dobrze. Wiedziałam, że się nie podda i zaraz spróbuje innej taktyki. Zastanawiałam się, co jeszcze wymyśli.

52. KRIS

Odpicowana nepalska dziunia nie wzięła kasy. Trudno. Spróbowałem po prostu ją zignorować i ominąć. Przecież nie rzuci się na mnie i nie wbije mi w kark swoich czerwonych pazurów. Niestety, jak tylko otworzyłem przeszklone drzwi, na mojej drodze stanęło dwóch skośnookich ochroniarzy w czarnych garniturach i okularach przeciwsłonecznych.

Co się ten ambasador tak obstawił? – pomyślałem z irytacją. Pewnie przez te niepokoje polityczne w Tybecie i na Tajwanie. Całe państwo zostało postawione na nogi. I kogo będzie teraz obchodzić dwójka

Polaków dogorywająca na Evereście? Dziwiło mnie też, że w tak napiętej sytuacji ambasador ma czas grać w golfa. Może to jednak nie była czysta rozrywka, tylko jakieś negocjacje, kuluarowe załatwianie spraw na najwyższym szczeblu? Ciekawe, z kim się tu umówił, do kogo należały pozostałe limuzyny na parkingu.

Usiłowałem zagadać do ochroniarzy, ale udawali, że nie rozumieją. No to spróbowałem się wyszarpnąć. Też nic. Julka stała jak skamieniała. Znowu poszedłem w dyskusję, ale tylko odkrzykiwali coś po chińsku, wypychając mnie z budynku, coraz bardziej poirytowani.

Poddałem się, nie chciałem dostać paralizatorem po nerkach. Wyszliśmy, ale nie zamierałem odpuszczać. To był odwrót taktyczny.

Jak nie wpuszczają cię drzwiami, wejdź oknem.

Nie było opcji, żebym dał się zatrzymać. Po pierwsze – ambasador był naszą ostatnią szansą. Po drugie – zaperzyłem się.

Pomyślałem, że przecież tak wielka powierzchnia jak pole golfowe nie może być ogrodzona i strzeżona na całej długości. Wprawdzie nie było tu osiemnastu dołków, jak zazwyczaj, a jedynie dziewięć, ale to nadal multum okazji, żeby wejść w szkodę.

– Chodźmy naokoło – zakomenderowałem. – Gdzieś się prześlizgniemy.

Jakże się myliłem! Potykając się o wertepy, szliśmy wzdłuż wysokiej siatki rozwieszanej między zielonymi słupkami, zwieńczonej jeszcze girlandami z drutu kolczastego. Kiedy próbowałem oszacować, czy da się mimo wszystko sforsować ogrodzenie, od razu przybiegł ochroniarz. Z daleka już darł mordę.

Pewnie mieli kamery.

Spocony i zły starałem się, jak mogłem, nie poddawać frustracji. Wróciliśmy do budynku klubu. Obok znajdował się przeszklony pawilon, w którym urządzono bar. Tam mogliśmy poczekać na rozwój sytuacji. Może zobaczymy ambasadora, kiedy już raczy wbić piłeczkę do ostatniego dołka i będzie wracał do służbowej limuzyny?

Strategia niepewna, pochłaniająca cenny czas, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Damian co chwila przysyłał esemesy z ponagleniami, matka Kaśki dzwoniła dwa razy z jakimiś pierdołami: kto jeszcze jej się przypomniał z kręgu jej napuszonych znajomych, kto ma krewnego w ministerstwie i może pomoże.

Gówno pomoże! Nie znosiłem tego towarzystwa wzajemnej adoracji, z którego wywodziła się Zuzanna. Układzików i pozornych wpływów, a jak naprawdę trzeba było pomóc, jak na przykład wtedy, kiedy mąż ją zostawił z małymi dziećmi, nagle wszyscy odwracali oczy i udawali, że nie zauważają jej dramatu.

Usiedliśmy przed pawilonem, przy jednym z czterech stolików tworzących kawiarniany ogródek. Miałem wielką ochotę zamówić alkohol. Zerknąłem na Julkę, próbując ocenić, jak mocno będzie protestować. Patrzyła gdzieś w bok. Podążyłem za jej wzrokiem.

W przeszklonym pawilonie, zalanym żółtaworóżowym światłem przedwieczornego słońca, siedziało kilka kobiet.

– Ta w czerwonym to chyba żona ambasadora – powiedziała Julka.

– I psiapsiótki? – spytałem bez przekonania.

Zaraz jednak zorientowałem się, że Julka ma rację. Przeszklonych drzwi do pawilonu strzegł ochroniarz, odlany z tej samej formy, co ci dwaj, którzy zagrodzili mi drogę w klubie. Cztery z sześciu kobiet popijających drinki miały azjatyckie rysy twarzy. Wprawdzie Nepal też leży w Azji, ale byłem w stanie bez pudła stwierdzić, że to cudzoziemki. Dwie pozostałe kobiety wyglądały na Europejki – jedna była blondynką, szykowną, w średnim wieku, a ostatnia, też niemłoda, miała kasztanowe włosy. Na pewno nie były to zwykłe paniusie. Czuło się, że to elita, high-class, zapewne dopełnienie wpływowych mężów, grających właśnie w golfa z ambasadorem.

Julka bez słowa wstała od stolika i pewnym krokiem podeszła do wejścia do przeszklonego pawilonu. Ochroniarz się zawahał. Pewnie dlatego, że na jego drodze stanęła kobieta, w dodatku Europejka. Julka wykorzystała moment jego niepewności. Uśmiechając się do niego, otworzyła drzwi. Nim facet zdobył się na to, żeby fizycznie ją zatrzymać, złapać za ramię albo za nadgarstki, już była w środku.

Oczywiście ruszyłem za nią. Ochroniarz w końcu zatrzymał Julkę, chwycił ją za przedramię. Nie wyrывała się.

– Chcę tylko porozmawiać – tłumaczyła po angielsku. – Tylko chwila, proszę!

Kobiety sączące drinki zwróciły uwagę na zamieszanie. Wszystkie z ciekawością odwróciły głowy w kierunku drzwi. Teraz i ja rozpoznałem żonę ambasadora. Kiedy jechaliśmy do klubu, Julka szukała w internecie

jego zdjęć. Liczyliśmy, że będziemy biegać po polu golfowym, próbując go zidentyfikować. Musieliśmy wiedzieć, do którego faceta z kijami podbić. Na stronie ambasady znajdowała się galeria zdjęć z rozmaitych spotkań, koncertów, rautów i wszelkiej maści imprez, w których uczestniczył. Na kilku fotografiach ambasador występował w towarzystwie małżonki, pięćdziesięciolatki z charakterystycznym, pojedynczym pasmem siwych włosów.

I rzeczywiście to ona siedziała teraz w pawilonie, z niepokojem zwracając wzrok ku drzwiom.

– Nazywam się Julia Gradowska, jestem Polką. Mój narzeczony oraz żona mojego kolegi walczą teraz o życie, uwięzieni na stokach Everestu – mówiła Julka drżącym głosem. – Proszę nas wysłuchać. Proszę...

Ochroniarz szarpał Julkę, próbując wyciągnąć ją na zewnątrz. Ruszyłem jej na pomoc, ale nagle ktoś bezceremonialnie mnie odepchnął. To inny ochroniarz, który przyleciał zwabiony krzykami, torował sobie drogę, żeby dopaść intruzkę.

Wydawało się, że sprawa jest beznadziejna, że oboje z Julką zaraz zostaniemy wykopani w podskokach z Royal Nepal Golf Club. Jak nie gorzej. Ale wtedy, w ostatniej chwili, żona ambasadora powiedziała do dwóch ochroniarzy coś po chińsku, a oni natychmiast puścili Julkę.

– Dziękuję. Bardzo pani dziękuję – powiedziała Julka, poprawiając rękaw bluzki. – My tylko potrzebujemy zgody na wjazd na terytorium Chin...

– Skąd pani w ogóle wie... – zaczęła po angielsku żona ambasadora, ale urwała w połowie zdania.

Nerwowym gestem odsunęła od siebie szklankę z drinkiem, jakby się obawiała, że ktoś zrobi jej kompromitujące zdjęcie.

– Proszę mi wybaczyć. Ale tu chodzi o życie naszych bliskich. Musieliśmy znaleźć pani męża i poprosić osobiście – tłumaczyła Julka.

Żona ambasadora przez chwilę milczała, przygryzając dolną wargę. Kiedy uciekła wzrokiem w bok, wiedziałem, że nie jest dobrze.

– Ale ja nie mogę wam pomóc. Przykro mi. Nie wiem w ogóle, co wam przyszło do głowy. To jakaś pomyłka. Miłego dnia. Miłego dnia...

– Ale pani mąż. Chodzi o... To tak naprawdę prosta decyzja – mówiła Julka, próbując zachować spokój. – Chodzi o wizy i permity... Musimy

wyruszyć jeszcze dzisiaj. To naprawdę pilna sprawa. Sprawa życia i śmierci.

Żona ambasadora zaśmiała się. Nie złośliwie, nie była też rozbawiona. Był to raczej śmiech nerwowy, gest bezsilności – jakby w ten sposób chciała zakomunikować absurdalność naszej prośby.

Zapadła kłopotliwa cisza. Ambasadorowa wbiła wzrok w blat stolika. Było dla mnie oczywiste, że audycja jest skończona. Kobieta czekała grzecznie, aż sobie pójdziemy. Wiadomo było, że jeśli tego nie zrobimy, do akcji wejdą dwaj bodyguardzi.

Ale Julka nie zamierzała się poddawać. Zrobiła krok do przodu, by znaleźć się jak najbliżej żony ambasadora.

I uklękła.

Kobieta z siwym pasemkiem wbiła w nią przerażony wzrok, a wśród jej towarzyszek przebiegł szmer zdziwienia i dezaprobaty. Mnie ścisnęło się gardło.

– Bardzo panią proszę – mówiła Julka, klęcząc. – Tylko pani i pani mąż możecie nam pomóc. Zaklinam panią, bo nie mamy się już do kogo zwrócić. To nasza ostatnia szansa. Błagam. Niech mi pani pomoże uratować narzeczonego.

53. JULIA

– Marek, jak oczy? – spytałam, pełna nadziei, choć przecież wiedziałam, że nie jest dobrze.

– Lepiej – odpowiedział, ale w jego głosie wyczułam fałsz. – Jutro już będę widział, na pewno. Coś będę widział, będę w stanie iść...

Marek nie odebrałby sam połączenia. Najpierw Kris porozmawiał chwilę z Kaśką, potem ona włożyła telefon do ręki mojego chłopaka. Powiedzieli, że poziom baterii spadł im do pięciu procent. Powinniśmy oszczędzać ją na wypadek problemów jutro. Problemów i niespodziewanych sytuacji, które na pewno się pojawią, zawsze się pojawiają. Jednak uznaliśmy z Krisem, że musimy choć na minutę zadzwonić do naszych bliskich, podbudować ich morale.

Minuta. Z zegarkiem w ręku. I ani sekundy dłużej.

Zwłaszcza że czekała ich ciężka noc. Sądząc po prognozie pogody – bardzo ciężka. Znow huraganowy wiatr i burza śnieżna. W dodatku wcale nie było pewności, że będzie to ostatnia noc, jaką przyjdzie im spędzić w tak ekstremalnych warunkach.

Choć pojawiła się nadzieja. Jeszcze nic konkretnie nie udało się załatwić, ale w klubie golfowym wybłągałam u żony ambasadora obietnicę, że wstawi się u męża w naszej sprawie. Upokorzyłam się, ale miałam to gdzieś. Ukłękłabym przed samym diabłem, gdyby miało to przynieść skutek. Patrzyłam w oczy tej kobiety i dostrzegłam w nich zrozumienie. Potem rozmawiałyśmy jeszcze chwilę. Miałam nadzieję, że jej obietnica nie była rzucona na wiatr.

O której godzinie będziemy w stanie wyruszyć? Najlepiej gdybyśmy pojechali już teraz – wieczorem – ale na razie nie było odzewu z ambasady. Dzwoniliśmy, nikt nie odbierał, włączał się automatyczny komunikat.

A jeśli żona ambasadora rzuciła kilka słów bez pokrycia? Tylko po to, żeby mnie spławić? Wolałam o tym nie myśleć, ale czułam, że dla mnie nadchodząca noc też będzie straszna. Będę tkwić w niepewności, która rankiem może zamienić się w gorycz rozczarowania i rozpacz.

Dzielona na pół minuta była naszą ostatnią rozmową z Kaśką i Markiem. Ustaliliśmy, że od tej pory, by oszczędzać baterię, będziemy się kontaktować jedynie wiadomościami tekstowymi. Ze wzruszenia miałam ściśnięty żołądek i białą mgłę w głowie. Co powinnam mu powiedzieć? Tyle słów cisnęło mi się na usta, ale wszystkie wydały mi się błahe.

Co jeśli to jest naprawdę nasza ostatnia rozmowa?

– Będzie dobrze... – zaczęłam oklepanym tekstem, naraz coś we mnie pękło. – Kochanie, posłuchaj... Boję się... Nie wiem, czy powinniśmy w ogóle brać Damiana, czy możemy mu zaufać – dodałam pospiesznie.

To chyba podświadomość przejęła nade mną kontrolę. W sytuacji, kiedy zrobiłam wraz z Krisem wszystko, co trzeba, obawiałam się najślabszego ogniwa. Jeśli kierownik wyprawy naprawdę knuje przeciwko jej uczestnikom, jaki numer może wywinąć na ostatniej prostej?

– Dlaczego mu nie ufasz? – spytał Marek.

– Nie powiedzieliśmy wam tego, ale... On przestawił strefę czasową! W aplikacji z prognozą pogody – mówiłam pospiesznie, zdając sobie sprawę, że być może w bezsensowny sposób zużywam baterię. – Specjalnie wysłał was na załamanie pogody.

– Nie, na pewno nie.

– Tak! – upierałam się. – Ktoś przestawił tę strefę w ustawieniach. Sprawdziliśmy z Krisem, to nie mogło stać się przypadkiem...

– Wiem. Ale to nie Damian – odpowiedział Marek z zaskakującą pewnością w głosie.

– Jak to wiesz?

– Wiem. I wiem, że to nie on.

– To kto? Samo się nie przestawiło.

– Domyśl się. I kończmy już. Bateria... – rzucił, po czym wypowiedział jeszcze trzy słowa, które rozłożyły mnie na łopatki: – Kocham cię... bardzo.

– Ja ciebie też – odpowiedziałam, a łzy poleciały mi jak na zawołanie.

To Marek przerwał połączenie. Ja chyba nie byłabym w stanie. Chciałam jeszcze dłużej, w nieskończoność z nim rozmawiać. Ale musiałam uznać wyższość zdrowego rozsądku. Każda sekunda pracy baterii telefonu mogła być na wagę życia.

Oddałam telefon Krisowi. Ręka mi się trzęsła. Próbując opanować wzruszenie, czułam, że kiełkuje we mnie nowe źdźbło paniki.

Co Marek właściwie chciał mi przekazać?

„Domyśl się”. I nic więcej. Nie miał czasu się wysławić, wytłumaczyć? Nie, chyba nie chodziło o wyczerpującą się baterię. Marek wiedział, kto przestawił strefę czasową w aplikacji, ale nie mógł o tym mówić wprost.

Wniosek nasuwał się sam: to Kaśka zmanipulowała prognozę pogody. A teraz tkwiła razem z nim w namiocie. Dlatego nie mógł mówić otwartym tekstem.

Przeraziłam się. Mój chłopak, bezradny i bezbronny, bo cierpiący na ślepotę śnieżną, jest teraz na pastwie bezdusznej kobiety.

Trudno mi było w to uwierzyć, ale innego wyjaśnienia nie było. To nie Damian, to żona Krisa rzuciła ich wszystkich w szpony śmierci.

DZIEŃ PIĄTY – SOBOTA

54. KRIS

To był cud! Jechaliśmy w trzy auta do granicy nepalsko-chińskiej. Zapieprzaliśmy, ile fabryka dała. Droga była jeszcze przyzwoita, dwupasmowa, puściutka. A jednak zamiast się cieszyć i grać w płomyku nadziei, kiśnie w sobie złość i irytację.

Prowadziłem środkowego dżipa. W pierwszym jechał Damian z Norbu. Kawalkadę zamykała toyota hilux prowadzona przez Tinę, z Lorenzo w fotelu pasażera. Obok mnie siedziała Julka, ale właściwie nie odzywaliśmy się ani słowem. Atmosfera między nami popsuła się wczoraj wieczorem, zaraz po ostatniej rozmowie z Kaśką i Markiem.

To był dla mnie szok. Julka nagle wyskoczyła z debilną teorią, jakoby to moja żona zmieniła strefę czasową w aplikacji meteo i rzuciła całą czwórkę na pożarcie monsunowi. Może nie powinienem się złościć na Julkę, bo te rewelacje przekazał jej Marek, który był ślepy i pewnie majaczył. Ale dziewczyna miała swój rozum i powinna od razu uznać, że coś jest nie tak z jej chłopakiem, skoro snuje niedorzeczne teorie. Może tak objawiało się skrajne wycieńczenie albo niedotlenienie mózgu.

Nie chciało mi się dzwonić jeszcze raz na telefon satelitarny, żeby skonfrontować się z Kaśką. Już nawet nie dlatego, że szkoda mi było ostatnich procentów baterii. Choć to też ważne. Po prostu teoria Julki była taka, że o kant dupy potłuc. Nie zasługiwała nawet na to, by się nad nią pochylać.

– Dlaczego? Dlaczego w ogóle miałyby coś takiego zrobić? – spytałem wczoraj, od razu kiedy grobowym głosem powtórzyła mi wnioski z rozmowy z Markiem. – Pogięło cię?

– Zrozum... – odpowiedziała. – Nie chcę nikogo bezpodstawnie oskarżać...

– Ale właśnie to robisz!

– Po prostu myślę na głos. Myślałam, że znamy się już na tyle, że mogę się tą myślą z tobą podzielić...

– Teraz próbujesz mną manipulować.

Zamilkła. Pewnie, jak to ona, nie chciała się konfrontować, ale ja nie zamierzałem odpuścić. Nie mogłem pozwolić, by szkalowano moją żonę.

– Wytłumacz mi to. Słyszysz? Nie ma tak, że puszczasz śmierdziela i zaczynasz sobie gwizdać jak gdyby nigdy nic.

Posłała mi zmęczone spojrzenie. Milczała. W obronnym geście spłotła ręce na piersiach.

– Dobrze, w takim razie umówmy się, że to są podejrzenia Marka – powiedziała w końcu. – On sam doszedł do tego, że ktoś przestawił aplikację meteo. Wie, że nie był to Damian, i uważa, że zrobiła to Kaśka.

– Ale czy ty nie rozumiesz, że to się kupy nie trzyma? – Prychnąłem śmiechem. – Dlaczego sama sobie miałyby robić kuku?!

– To akurat chyba oczywiste – odpowiedziała bez zastanowienia.

– Nie dla mnie. Oświeć mnie, proszę.

Dłuższą chwilę musiałem przekonywać Julkę, żeby się wyeksplikowała. Chyba już przeczuwała, że będzie z tego niezła awanturka.

– Ona oczywiście nie chciała, żeby komukolwiek się coś stało – powiedziała w końcu, uciekając wzrokiem w stronę hotelowego okna. – Pragnęła tylko za wszelką cenę wejść na szczyt. I bała się, że Damian podejmie decyzję o odwrocie. I pozostali też uznają, że okno pogodowe jest za krótkie, że już nie mają realnych szans. A to była ostatnia okazja, by wejść. Na pewno Kaśka miała tego świadomość.

– Nie, to są brednie. Brednie!

– Być może. Ale jeśli jej bardzo zależało na tym, żeby wejść, mogło się jej włączyć widzenie tunelowe...

– Co? Co ty pieprzysz? Widzenie tunelowe? Psychologa teraz będziesz zgrywać?

– Możesz być niemiły, możesz mnie nawet obrażać, ale ja wiem, że to u ciebie jest mechanizm obronny. Żeby bronić się przed prawdą. Bo sam wiesz, że to może być prawda!

I tak się kłóciliśmy przez całą wieczór, bo jeszcze na wszystko nakładała się niepewność, czy dostaniemy pozwolenie na przekroczenie

granicy.

Pewnie Julka miała trochę racji, ale wczoraj, na świeżo, nie byłem w stanie jej tego przyznać. Byłem na maksa poirytowany, sfrustrowany, kolejny już przecież dzień drżałem z niepewności o Kaśkę. Koszmarny koktajl nieprzyjemnych emocji. W końcu poszedłem do minibarku, z którego wyjąłem napoczętą już butelkę wódki.

Niewiele pamiętam z dalszej części wieczoru. Kiedy poczułem, że ktoś szarpie mnie za ramię, był już ranek. Otworzyłem oczy, po czym natychmiast je zmrzyłem. Nade mną pochylała się Julka. Wypowiedziała dwa magiczne słowa.

– Mamy wizy.

Pozwolenie na wjazd do Chin było osobistą zasługą Julki, która klęczała przed ambasadorką, ale nawet jej za to nie podziękowałem. Skacowany zwlokłem się z łóżka, wziąłem szybki prysznic, bo wiedziałem, że czeka nas długa droga, pełna wyrzeczeń i spartańskich warunków. W tym czasie Julka zjechała do hotelowej restauracji i poprosiła o suchy prowiant.

We czwórkę, z Damianem i Norbu, podjechaliśmy wypożyczonym subaru do chińskiej ambasady, a potem do siedziby UHK, gdzie czekały już na nas trzy samochody terenowe. W międzyczasie dojechali Tina i Lorenzo. Kiedy ruszyliśmy, z ulgą skupiłem się na jeździe. Godzinę zajęło nam wydostanie się z Katmandu, manewrowanie w porannym korku. Potem jednak droga stała się monotonna, więc chcąc nie chcąc, wracałem myślami do słów Julki o Kaśce.

Moja żona to niezwykła dziewczyna. Nigdy żadna kobieta tak mi nie imponowała. Ale...

No właśnie. Czy było jakieś „ale”? Nagle wjechał mi w mózg ten nieznośny cytat, który niedawno rzuciła Julka. Powiedziała, że z Szymborskiej. Coś o tym, że tyle o sobie wiemy, ile nas sprawdzono. Choć ja i Kaśka byliśmy ze sobą już prawie cztery lata, nigdy nie doszło do tego, żebym musiał ją sprawdzić. Nie w sensie grzebania jej w komórce czy w laptopie, nie o to chodziło. Nie sprawdziłem jej, jak by zareagowała, gdybym to ja czegoś potrzebował. Pomocy, ratunku, ale choćby nawet uwagi, troski.

A przecież słyszałem podszepty złych języków, opowiadające o dziewczynie, którą Kaśka rzekomo zostawiła podczas nieudanej

wyprawy na Gaszerbrum, swój pierwszy ośmiotysięcznik. Miała na imię Alicja, zasłała w trakcie odwrotu. Nie przeżyła. To było pięć lat temu, rok przed naszym poznaniem. Kaśkę oskarżano potem o to, że w niewystarczającym stopniu pomogła towarzysze. Oczywiście nikt nie postawił jej formalnych zarzutów i moim zdaniem sprawa była czysta, bo moja żona sama ledwie uszła wtedy z życiem. Potem jeszcze obudziła się matka Alicji i zaczęła zarzucać Kasi, że zmusiła jej córkę do ataku szczytowego, choć ta rzekomo sygnalizowała złe samopoczucie...

Czy w szafie mojej żony krył się szkielet? Czy jednak nie?

Czasami się nad tym zastanawiałem, bo jak wpisało się Kaśkę w przeglądarkę, wychodziły różne opinie, ale oficjalny raport przygotowany przez komisję, w skład której wchodziłi himalaiści, odczytał ją z zarzutów. I tego przez te wszystkie lata się trzymałem.

Otrząsnąłem się z zamyślenia i spojrzałem na siedzącą obok mnie Julkę. Uznałem, że nie pora teraz roztrząsać historie z przeszłości ani wyskakiwać z oskarżeniami. Będzie jeszcze czas, by zrobić to na spokojnie. Za to warto zakończyć ciche dni między nami. Czekają nas trudne chwile i aby misja się powiodła, musieliśmy znów tworzyć zgrany zespół.

Przecież dowodzi nami facet, którego uważam za sabotażystę. A może to Damian omotał Marka i wrył mu w banię, że Kaśka majstrowała przy aplikacji pogodowej? Z Julką nie byliśmy przecież w stanie kontrolować ich rozmów. Może ten debil wydzwaniał do niego i dodatkowo jeszcze powodował wyczerpywanie baterii? Dobrze, że zarządziłem wczoraj, żeby wyłączyli telefon satelitarny.

– Tak? – spytała Julka, wyczuwając na sobie moje spojrzenie.

– Może mnie w końcu przeprosisz?

55. JULIA

Wiedziałam, że Kris na swój pokrętny sposób wyciąga do mnie rękę na zgodę. To on powinien przeprosić mnie, bo podczas naszej wczorajszej sprzeczki był arogancki i uraczył mnie kilkoma inwektywami. Niestety, niektórzy ludzie nie potrafią przyznać się do błędu. Coś ich blokuje, coś

siedzi im w głowach i sprawia, że słowo „przepraszam” nie przechodzi im przez usta.

„Trudno. Bądź mądrzejsza, ustąp” – jak zawsze prosiła mnie mama, kiedy kłóciłam się z siostrą. Nie jestem psychologiem, ale cechuje mnie spora doza wyrozumiałości, a także – mam nadzieję – empatii. Poza tym w swojej karierze tłumaczki przełożyłam kilka poradników, książek o terapii, o relacjach interpersonalnych. Co nieco zostało mi chyba w głowie.

– Masz rację – powiedziałam. – Nie powinnam oskarżać twojej żony. Nie mam dowodów. Poza tym prawie jej nie znam.

Kris pokiwał głową. Z doświadczenia wiem, że często, kiedy robię krok w tył, druga strona reaguje podobnie. Zacietrzewienie mija, irytacja ustępuje pola konstruktywnej rozmowie.

Prawda była taka, że jeszcze bardziej bałam się o Marka. Lęk o niego nie opuszczał mnie od czterech dni, ale podejrzenia dotyczące Kaśki mocno go zaogniły. Mój chłopak był na łasce i niełasce osoby, którą podejrzewałam o bezduszne dążenie do celu i brak empatii. Z powodu ślepoty śnieżnej nie widział, więc nie był w stanie schodzić samodzielnie. Był dla Kaśki kulą u nogi.

I co ona robi z tym fantem?

Umierając ze strachu, nie chciałam jeszcze dobijać się kłótnią z Krisem. Zwłaszcza że mieliśmy przed sobą perspektywę spędzenia wielu godzin w jednym samochodzie.

Jechaliśmy drogą, która nosi szumną nazwę „autostrada Araniko”, a wygląda jak zaniedbana dwupasmówka gdzieś w Bieszczadach. Nie było tu pobocza ani żadnych linii namalowanych na jezdni, a jedynie wstęga asfaltu pnąca się coraz wyżej. Z powodu licznych zakrętów nie dało się rozwinąć dużej prędkości. Choć do granicy mieliśmy niecałe sto kilometrów, nawigacja zapowiadała, że dotrzemy do niej dopiero za trzy godziny.

– Nie wiem, coś w tym może i jest... – odezwał się po chwili Kris, po czym urwał. I westchnął głęboko.

– W czym? – spytałam, choć domyślałam się, do czego zmierza.

Milczał. Nie poganiałam go, cierpliwie czekałam, aż sam będzie kontynuował.

– Kaśka to bardzo silna osobowość – powiedział w końcu. – Wiesz... Uparta, cholernie ambitna. Ale nie aż tak, żeby po trupach do celu... No ludzie! Na pewno świadomie nie narażaby nikogo na niebezpieczeństwo. Nie jest psychopatką...

– Nie powiedziałam, że jest. Czasami można po prostu... Nie wiem. Dać się zaślepić ambicji?

– Znowu zaczynasz z widzeniem tunelowym?

– Nie, nie feruję wyroków. Głośno myślę.

– Nie myśl tyle, bo cię zjedzą motyle.

– Zdawało mi się... Że znamy się już na tyle, że nie będzie ci to przeszkadzać.

– Nie przeszkadza.

– W jakimś sensie każdy wspinacz... himalaista... – Starłam się ostrożnie dobierać słowa, bo zdawałam sobie sprawę, że stąпам po cienkim lodzie. – Jest choć trochę egoistą. Bo przecież musi myśleć o sobie, swoim celu, przeżyciu. Inaczej żaden z nich niczego by nie zdobył.

– Dżizas, ale pierdolisz – zachnął się Kris. – Żadna ambicja nie zaślepia przecież aż tak, żeby samego siebie posyłać na śmierć. To sprzeczność. Wewnętrzna sprzeczność.

Nie przekonał mnie. Mogło być tak, że Kaśka oszacowała ryzyko i uznała, że jednak wszyscy zdążą zejść na bezpieczną wysokość, nim uderzy monsun. Albo miała syndrom Boga, była zadufana w sobie i przekonana, że jest niezniszczalna, akurat jej nic się nie stanie?

Kolejne refleksje snułam już tylko w myślach. Nie wypowiadałam ich na głos, bo bałam się, że znów zaczniemy się z Krisem kłócić.

W milczeniu wyglądałam przez okno samochodu. Właśnie przejeżdżaliśmy przez niewielką nepalską osadę. Nad naszymi głowami, po obu stronach drogi, były przeciągnięte sznurki z setkami modlitewnych flag – kwadratowych skrawków kolorowego materiału. Przypomniał mi się fragmentu tłumaczonej przeze mnie książki o buddyźmie. Według wierzeń każde zatrzepotanie chorągiewki pod wpływem wiatru zносиło bóstwom zapisaną na niej modlitwę.

Do przejścia granicznego dojechaliśmy wczesnym popołudniem. Minęliśmy nadgraniczne bazyry i ostatnią wioskę, potem nepalski punkt kontrolny. Wszystko szło gładko, aż za dobrze. Wystawione przez chińską

ambasadę specjalne pozwolenia miał ze sobą Damian. W paszportach każde z nas miało wbite wizy, ale liczyło się i tak to, co było w elektronicznym systemie. Opieczątowane dokumenty, które odebraliśmy rano, miały wartość jedynie symboliczną.

Czułam, że serce bije mi coraz szybciej, kiedy Damian odsunął pomalowaną niebieską farbą kratę i całą piątką weszliśmy do niewielkiego budynku tuż przy drodze, w którym mieściła się ostatnia przeszkoda – chiński posterunek graniczny. Tina obracała w dłoniach niezapalonego papierosa, Kris przechylił wysoko metalowy kubek termiczny i wysączył resztkę kawy zabranej z hotelu. Nerwowość udzielała się nam wszystkim.

Okazało się, że niepotrzebnie drżeliśmy ze strachu. Dziesięć minut później dokonaliśmy tego, co nie udało nam się wczoraj na pokładzie helikoptera.

Wjechaliśmy na teren Chin.

56. KRIS

Dopadli nas nocą.

Od południa pogarszała się pogoda, zrobiło się zimno, ale jeszcze padał deszcz, a nie śnieg. Ogrzewanie w aucie podkręciliśmy prawie na maksa. Jeszcze w Katmandu ustaliliśmy, że żaden nocleg nie wchodzi w grę, szkoda było czasu. Na szczęście w każdym z trzech samochodów jechała dwójka kierowców, mogliśmy się wymieniać.

Julka co jakiś czas proponowała, że siądzie za kółkiem, ale ja – mimo zmęczenia – nie byłbym w stanie się zdrzemnąć, więc odmawiałem. Nie chciałem też jej stresować, bo wiedziałem, że jest niezmiernym kierowcą. A droga stawała się coraz trudniejsza, miejscami nawet niebezpieczna. Zdarzyło się, że na jezdni leżały kamienie, które osunęły się ze stromych zboczy. Albo koła na zakręcie traciły przyczepność. Asfalt był już wspomnieniem, droga zmieniła się w gruntową. Nie było na niej wybojów, ale zdarzały się zakręty ze świeżo nawianym, luźnym piaskiem.

Mniej więcej o dwudziestej drugiej wjechaliśmy na wąski most nad jakąś rzeką. Zerknąłem na nawigację w telefonie przyczepionym na przedniej szybie, ale nie była opisana. Na drugim brzegu majaczył kształt niewielkiego budynku, oświetlony wiszącymi na dwóch słupach lampami.

– Zatrzymali się – powiedziała Julka, patrząc przed siebie.

Zwolniłem. Auto nieprzyjemnie zadudniło, przejeżdżając po łączeniach mostu. Jak tylko z niego zjechaliśmy, po prawej stronie minęliśmy sterty gruzu i kamieni, a dalej kilka betonowych płyt, ułożonych jedna na drugiej. Na tym podwyższeniu stał drobny mężczyzna w mundurze khaki, na nogach miał oficerki, które opinały mu łydki. Dawał nam znać, żebyśmy się zatrzymali.

– Ja pierdolę, posterunek na posterunku – mruknąłem, starając się zachować spokój.

– Może ta rzeka oddziela jakieś dwa obwody – odpowiedziała Julka. – Albo dwie prowincje.

– To samo mówiłaś ostatnio. Jebane państwo policyjne.

Mężczyzna w mundurze zeskoczył ze sterty płyt i podszedł szybkim krokiem do naszego samochodu, mimo że byliśmy drugim autem, które zatrzymał. Ale Damian pewnie za późno zauważył strażnika. Kierowany przez niego dżip stał kilkadziesiąt metrów przed nami. Samochód Tiny i Lorenza dopiero podjechał i zatrzymał się tuż za nami.

Nagle podskoczyłem ze strachu. Przez moment wydawało mi się, że umundurowany Chińczyk podnosi rękę, w której trzyma broń, ale była to tylko latarka.

– Co za pajac... – wyrwało mi się.

– Spokojnie. Nie denerwuj się.

Policjant, czy też strażnik, stanął przy dżipie od strony Julki. Zapewne oczekiwał, że tam siedzi kierowca. Zaświecił nam latarką prosto w oczy.

– Idiota – syknąłem.

– Cicho!

Kiedy się zorientował, że ma do czynienia z autem dostosowanym do ruchu lewostronnego, ruszył, żeby podejść z mojej strony. W międzyczasie opuściłem szybę. Facet miał kaprawe oczka i wątył zarost.

– Hello – zawołałem, przywołując na twarz uśmiech reklamiarza.

W odpowiedzi wygłosił wyuczoną formułkę, z której zrozumiałem jedno słowo – „hudziao”, czyli paszport. Sięgnąłem do schowka i podałem mu nasze dokumenty, tłumacząc przy tym, że dodatkowo pozwolenia ma kierowca w pierwszym pojeździe. Wątpię, żeby rozumiał po angielsku. Ale wziął ode mnie dokumenty i ruszył w stronę auta kierowanego przez Damiana.

– To pewnie tylko rutynowa kontrola – powiedziała z nadzieją w głosie Julka.

Myliła się.

57. JULKA

Kiedy kazali nam wejść do budynku, już wiedziałam, że nie jest dobrze. Wcześniej, od momentu przekroczenia granicy, patrole policyjne zatrzymywały nas już pięć razy. W Tybecie to norma. Za każdym razem kończyło się jedynie na wnikliwym przestudiowaniu naszych paszportów i pozwoleń. Skutkowało to opóźnieniem w podróży, ale zawsze puszczali nas dalej.

Teraz jednak policjant, który zabrał nam dokumenty, był opryskliwy. Nie mówił po angielsku – albo udawał, że nie mówi. Żadne z nas nie władało chińskim, więc komunikacja sprowadziła się do gwałtownych gestów i pohukiwania.

Posterunek mieścił się w budynku – a właściwie baraku – przykrytym dachem z blachy falistej. Jego okna były oklejone lustrzaną folią, nie można było zajrzeć do środka. Nad wejściem na metalowym kiju wisiała lampa, rzucająca światło o nienaturalnej, zimnej barwie.

Weszliśmy do pomieszczenia, które sprawiało wrażenie poczekalni, z podłogą wyłożoną białym gresem. Jak w prosektorium. Nieprzyjemne wrażenie potęgowało jeszcze to upiorne światło kiepskiej jakości energooszczędnych żarówek. Nasze twarze zyskiwały w nim zielonkawy, trupi odcień. Mężczyzna w mundurze otworzył drzwi i poprowadził nas korytarzem biegnącym wzdłuż baraku. Dotarliśmy do pomieszczenia na tyłach budynku. Na środku stało tandetne biurko, za którym siedział inny mężczyzna w mundurze, na oko czterdziestolatek. Zapewne wyższy

stopniem, bo prowadzący nas funkcjonariusz pokornym gestem podał mu nasze paszporty.

Drugi z Chińczyków mówił po angielsku, ale tak słabo i z tak silnym akcentem, że ciężko szło się porozumieć. Ale wszystko szybko stało się jasne. Widocznie uznał, że obraz wart jest tysiąca słów, bo sięgnął po jeden z permitów i podał go.

– Nie! – wyrwało mi się.

– O fuck – jęknął Kris.

Aż przysiadłam. Z szoku, ale i ze zmęczenia. Zrobiło mi się gorąco. Łapczywie łąpałam powietrze.

– Ktoś sprawdzał wiadomości? – spytał po polsku Damian. – Coś się znowu wydarzyło? Jakaś eskalacja?

– Sracja – wypalił Kris.

– Nie rozmawiajmy po polsku, bo tylko go bardziej zdenerwujemy – wtrąciłam.

– Bardziej? – prychnął Kris.

Wszyscy byliśmy załamani. Tina miała w telefonie słownik angielsko-mandaryński. Posiłkując się nim i wsłuchując się z największą uwagą w szczątkową angielszczyznę policjanta, próbowaliśmy zrozumieć, co się dzieje.

Okazało się, że sytuacja na Tajwanie od wczoraj się nie pogorszyła. Nadal była napięta, ale nic nowego się nie wydarzyło. Kasandryczni analitycy nadal wieszczili inwazję, a ci nastawieni optymistycznie wierzyli, że incydent z zestrzelonym samolotem rozejdzie się po kościach.

Naszym problemem byli Tina i Lorenzo. To ich permity podał Chińczyk.

Oddał paszporty Damianowi, Krisowi, Norbu i mnie, a pozostałej dwójce pogroził palcem. Nie jak surowa nauczycielka – krzyżąc, dźgał powietrze w ich kierunku.

– O co mu chodzi? Co wyście zrobili? – spytał podniesionym głosem Kris.

– Nic – broniła się Tina. – Absolutnie nic.

– Ale z jakiegoś powodu się was czepiają – wtrąciłam się.

Nie odpowiedzieli, ale wydawało mi się, że wymienili krótkie porozumiewawcze spojrzenie.

– O co chodzi? – spytał Damian, zwracając się do Tiny. – Wytłumacz się, do cholery! Przecież widzę, że wiecie, dlaczego się czepiają.

Ja również miałam wrażenie, że Tina i Lorenzo nie są zaskoczeni wybuchem policjanta. Na pewno nie aż tak bardzo jak my.

– Niczego nie zrobiliśmy – odpowiedziała Tina. – Przecież dali nam wizę.

Chińczyk splótł ręce na piersi i z widocznym zadowoleniem obserwował narastające spięcie między Europejczykami.

Dopiero po chwili miałam przebłysk. Zaczęłam przypominać sobie, co wiem na temat Katalonii. Że kilka lat temu były tam jakieś zamieszki, jakieś unieważnione referendum w sprawie ogłoszenia niepodległości i oderwania się od Hiszpanii. Skojarzenie z sytuacją podbitego przez Chińczyków Tybetu narzucało się samo.

Zapytałam o to Tinę. Czy możliwe, że znaleźli się na celowniku Chińczyków, bo wspierali niepodległość Tybetu? Nie odpowiedziała, ale wyraz zaskoczenia, jaki przemknął przez jej twarz, potwierdził, że coś jest na rzeczy.

– Bawi cię to? – spytał niespodziewanie ostro Damian. Pewnie grymas na twarzy Tiny wziął za uśmiech. – Postanowiłaś narazić życie ich bliskich? Po to, żeby przemyścić jakieś wywrotowe materiały? Parę zdjęć Dalajlamy?

Ja też słyszałam o tym, że w Tybecie za posiadanie zdjęcia duchowego przywódcy można było trafić do więzienia.

– Jesteś nienormalny – odpowiedziała Tina, próbując zachować spokój, choć było widać, że przychodzi jej to z największym trudem. – Niczego nie przemycam. Tak, działałam w Barcelonie w fundacji na rzecz wspierania niepodległości Tybetu. Takie sprawy są mi bliskie. Jestem Katalonką!

– Dlaczego nam tego nie powiedziałaś? – wyrwało mi się.

– Nie sądziłam, że to ważne! Przecież dali mi wizę! – Tina zakłęta pod nosem, po czym zwróciła się do Chińczyka. – Jak byliśmy tu ostatnio, też nie było problemu. Niczego nie przemycamy. Przeszukajcie mnie. Zrób mi pieprzoną rewizję. Możesz przetrząsnąć cały bagaż, odkręcić wszystkie śrubki w dżipach. Byle szybko!

– Kurwa mać! – zaklął po polsku Kris, po czym schował twarz w dłoniach, jakby chciał ukryć łzy.

Chińczyk w milczeniu przysłuchiwał się naszej sprzeczce, a kiedy zwróciliśmy się znów do niego i zaczęliśmy nieporadnie prosić, stanowczo pokręcił głową.

– Deportation – rzucił tylko jedno słowo.

Dotknęliśmy dna bezsilności.

58. KRIS

Wyszliśmy z posterunku na chłód nocy, ale gorące emocje nie opadły. Wręcz przeciwnie. Byłem tak wściekły, że musiałem wyrzucić to z siebie. Choć i tak Chińczycy, jakby chcieli, toby mogli wszystko podsłuchać, nagrać i przeanalizować. Ale już nic nie było w stanie pogorszyć naszej sytuacji.

– Fuck you! Po co się w ogóle pchałaś z tą pomocą?! – darłem się na cały regulator. Chciałem dodać coś jeszcze o niedźwiedziej przysłudze, ale nie wiedziałem, jak to będzie po angielsku.

– Uspokój się. Naprawdę nie rozumiesz, dlaczego chciałam wam pomóc? – odcięła się Tina.

Zmieniła się. Z ciepłej i zadziornej Hiszpanki stała się wściekłą suką. Damian się wymiksował. Odchodząc do samochodu, rzucił, że spróbuje jeszcze coś zdziałać, zadzwoni z telefonu satelitarnego do MSZ. Co było kompletnie bez sensu, bo w Polsce zaczynała się właśnie noc z soboty na niedzielę.

– Jak wy w ogóle możecie spać, wiedząc, jak bardzo Chiny krzywdzą Tybetańczyków? Samospalenie tego chłopaka was nie rusza? Kim wy w ogóle jesteście? Julia?!

Dobrą chwilę zajęło mi, nim zrozumiałem, że Tina nawiązuje do incydentu, o którym czytaliśmy kilka dni temu. W Lhasie młody mnich dokonał aktu samospalenia.

– Jemu nie wrócisz już życia, Tybetańczyków nie wyzwolisz. A Kaśce i Markowi musimy pomóc, teraz skupiamy się na tym – mówiła Julka.

– Stąd się właśnie biorą wszystkie światowe tragedie – mądrzyła się Tina. – Że ludzie myślą tylko o czubku swojego nosa.

– Światowe tragedie zaczynają się od tego, że przestaje się postrzegać jednostki jako ludzi – zripostowała Julka.

Tina cmoknęła z dezaprobatą i dalej już tylko warczała pod nosem coś po hiszpańsku. Albo katalońsku. Jeden chuj.

Szczyście w nieszczęściu – deportacją objęto tylko Tinę i Lorenza. Zostawiliśmy ich na posterunku i dalej ruszyliśmy w czwórkę na trzy samochody. Auto Katalończyków poprowadził Norbu.

Szkoda nam było czasu na naradę, więc rozmawialiśmy podczas jazdy, łącznie się przez radiotelefon. Damian zabrał zestaw, którego miał zamiar używać podczas wspinaczki, ale nie było przeszkód, by używać go i teraz, łączyć się między dwoma jadącymi samochodami. Mieliśmy ze sobą ładowarkę do akumulatorów i przenośne panele słoneczne, nie było więc ryzyka, że zużyjemy baterie.

– A nie mówiłem? – triumfował Damian. – Trzeba było wziąć moich Szerpów.

Rozmawialiśmy po polsku, bo Norbu nie brał udziału w naradzie.

– Skupmy się na tym, co możemy w tej sytuacji zrobić – odpowiedziała Julka. – Nie zawrócimy przecież teraz do Katmandu po „twoich” Szerpów.

– Zgadza się. W tej sytuacji musimy improwizować. Ale poradzimy sobie we dwóch.

– Nie, nie ma mowy! – wtrąciłem się do rozmowy, nie odrywając oczu od tylnych świateł dżipa prowadzonego przez Damiana. – Nie pójdziecie we dwóch. Noł fakin łej!²⁶ Ja też pójdę.

– Nie rozśmieszaj mnie. – Głos Damiana, już na co dzień zimny i pozbawiony emocji, teraz zabrzmiał jeszcze bardziej metalicznie.

– Jestem zaaklimatyzowany. Idę.

– Nie jesteś.

– Do tej wysokości, na której teraz są, jestem. Aklimatyzowaliśmy się od dwóch tygodni.

– Człowieku, przecież ty się nie wspinasz.

– Jak nie. Byłem na kursie. I wspinałem się trochę z Kašką, dobrze o tym wiesz.

– Na skałkach – prychnął Damian.

– Absolutnie wystarczy. Od chińskiej strony nie jest to trudne technicznie. W ogóle nie jest na tym odcinku do nich, poczytaj sobie.

– Nie rozśmieszaj mnie.

– Damian, ale dlaczego tak się upierasz? – wtrąciła się Julka, spoglądając kontrolnie w moją stronę. Pewnie chciała się upewnić, czy nie wybuchnę złością.

Prawda była taka, że byłem oazą spokoju. Przyzwyczailem się już do protekcyjnego traktowania ze strony Damiana. Poza tym byłem zmęczony. I podczas kłótni z Tiną dałem ujście skumulowanej złej energii.

– Damian, słyszysz? – spytałem, bo cisza w radiotelefonie się przedłużała. – Julka o coś pyta.

– Słyszę. Idziemy we dwóch – odparł po chwili. – Z Norbu. Ty i tak nie masz pary.

– Może ktoś jeszcze zastaniemy w chińskim base campie. W takiej sytuacji nie odmówią. Na pewno nam kogoś dadzą, nie puszczą nas samych.

– Kogo niby zastaniemy? Przecież nikogo od dwóch lat nie wpuszczają.

– Może Chińczyków zastaniemy – odparłem, nagle znów poirytowany. – Oni chyba mogą się u siebie wspinać.

– Dobra, pogadamy później – skwitował Damian.

Upewniłem się, że radiotelefon jest wyłączony. Zerknąłem na Julkę. Po jej minie wiedziałem, że domyśliła się, o co mi chodzi.

– Nie ufasz mu? – Bardziej stwierdziła, niż spytała.

– Przecież ty też mu nie ufasz. Za grosz.

– Nie wiem. Teraz już sama nie wiem, co myśleć, bo jeśli to nie on przestawił tę strefę czasową...

– Daj spokój! – przerwałem jej. – I nie zaczynaj znowu. Nie ma opcji, żeby poszedł sam. Wiesz, co potem się okaże? Że ich nie znalazł? Że zgubił linę? Nie wiem... Że nie mógł iść, bo stanął mu na drodze yeti... Pójdę i będę mu patrzył na ręce. Dlaczego on tak bardzo się wzbrania? Coś jest na rzeczy, nie czujesz tego? Kurwa mać!

Julka ukryła twarz w dłoniach. Płakała cicho. Nie sądziłem, że zareaguje tak emocjonalnie, ale pewnie była wykończona nocnym incydentem z Hiszpanami, jazdą, która trwała już kilkanaście godzin, i tą cholerną, wiszącą nad nami niepewnością.

Ja też byłem już na skraju wytrzymałości. Ale wiedziałem jedno. Nie zostawię Kaśki w wątpliwych rękach Damiana. Choćbyśmy się mieli pozabijać.

DZIEŃ SZÓSTY – NIEDZIELA

59. JULIA

O siódmej rano ostatni raz skontaktowaliśmy się z Markiem i Kaśką. Nie było mowy o rozmowie telefonicznej. W wiadomości tekstowej napisali, że został im jeden procent baterii, i spytali, co mają robić.

Ostatni procent, ostatnia szansa.

By odpowiedzieć, musieliśmy się zatrzymać, bo nasz telefon satelitarny miał przy sobie Damian. Padał śnieg z deszczem, oblepiała nas wilgotna mgła, choć niezbyt gęsta. Gruntowa droga pozbawiona była pobocza, ale szansa, że nadjedzie jakieś auto – praktycznie zerowa. Znaleźliśmy się na środku buroszarego pustkowia. Himalaje braliśmy na słowo honoru, nie było ich widać na horyzoncie. Ale pierwszy raz tak dobitnie do mnie dotarło, że nie rozciągają się one tylko w górę, ale również w szerz. Strzeliste granie ośmiotysięczników poprzedzone są dziesiątkami kilometrów kwadratowych przedgórza, które wygląda jak inna, niegościnna planeta.

– Jest szansa, że dotrzecie do nich jeszcze dziś? – zapytałam po angielsku, bo w rozmowie uczestniczył również Norbu.

I to on stanowczo pokręcił głową.

– Do base campu dojedziemy najwcześniej po południu – powiedział Kris. – A kto wie, ile razy jeszcze nas zatrzymają?

– Dobra, odpowiem im, żeby ruszyli o świcie i schodzili, trzymając się prawej moreny... – zawyrokował Damian.

– W miarę możliwości – dodałam.

– W miarę możliwości schodzili czy w miarę możliwości trzymali się moreny? – niecierpliwiał się Kris.

– Będą wiedzieli, co mają robić. – Damian zaczął wpisywać wiadomość.

Patrzyłam na jego skostniałe palce i nagle zawładnęła mną tak silna emocja, że z trudem powstrzymałam atak mdłości. Być może swoje dołożyła wysokość, bo znajdowaliśmy się już ponad cztery tysiące metrów nad poziomem morza. Ale obezwładniła mnie myśl, że ta wiadomość może być ostatnią okazją, żeby powiedzieć coś Markowi.

Co powinnam mu przekazać, co zawrzeć w krótkim esemesie? Wszelkie wariacje na temat „kocham cię” brzmiały pusto, banalnie. Na dodatek mogły zasiać atmosferę paniki, jakiegoś niepotrzebnego poczucia, że się żegnamy.

Wreszcie wspólnie ustaliliśmy, żeby dopisać na końcu: „Trzymajcie się, już niedługo się widzimy”.

Damian wysłał wiadomość, ale nie doczekaliśmy się odpowiedzi. Nie wiedzieliśmy nawet, czy Marek i Kaśka zdołali ją odczytać. Być może bateria w telefonie satelitarnym właśnie wydała ostatnie tchnienie.

Plan ratunku, choć i tak opracowany na szybko, powoli zaczynał zmieniać się w improwizację. Straciliśmy połowę ekipy ratunkowej, i to tę ważniejszą, której mogliśmy ufać. Przepadła możliwość kontaktu z naszymi bliskimi.

Bardzo mnie to niepokoiło.

60. KRIS

Wczesnym popołudniem dojechaliśmy do buddyjskiego klasztoru Rongbuk, na wysokości pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza. Tym samym znaleźliśmy się niecałe trzy kilometry od chińskiej bazy pod Everestem, z której startują himalaiści wybierający drogę północno-wschodnią ścianą.

Padał śnieg, a porywy wiatru szarpały modlitewnymi flagami, przyczepionymi do szpicu czortenu²⁷, z którego w paru miejscach złuszczyła się biała farba czy też tynk, odsłaniając jasnobrązowe kamienie użyte do jego budowy.

Nie spieszyliśmy się. Choć serce rwało mi się do przodu, rozum podpowiadał, że teraz nie ma sensu ruszać w górę. Nie byliśmy w stanie dotrzeć do Kaśki i Marka przed nocą. Wspinaczka po zmroku to czyste

szaleństwo, gotowy przepis na samobójstwo. Poza tym pogoda była fatalna. Na szczęście rano miała się poprawić, przynajmniej na to wskazywała prognoza. Tym razem ustawiona na właściwą strefę czasową.

Postanowiliśmy zanocować w klasztorze. Oczywiście nie w części sakralnej, w której mieszkali i modlili się mnisi, ale w pokojach gościnnych. Klasztor nie był pojedynczym budynkiem, tylko kompleksem zabudowań, niewielką osadą, przyklejoną do wzgórza.

Było mi zimno i czułem się słabo, bolała mnie głowa. Rongbuk jest jednym z najwyższych położonych na świecie klasztorów. Na tej wysokości powietrze zawiera o połowę mniej tlenu. Przez to organizm jest dużo bardziej podatny na wychłodzenie. Postanowiłem nie stać bezczynnie. Podeszedłem do Damiana, żeby poprosić go o telefon satelitarny.

Rozmawiał właśnie z młodym mnichem, ubranym w tradycyjną czerwoną szatę, na którą miał dodatkowo założoną „cywilną” kurtkę w podobnym kolorze. Chłopak wyglądał na osiemnaście-dwadzieścia lat. Był zarówno podekscytowany naszą obecnością, jak i speszony. Uśmiechał się szeroko, ale unikał kontaktu wzrokowego. Nieprzyzwyczajony do obecności obcych ludzi. Wcześniej, gdy tylko zbliżyliśmy się do zabudowań, z pomieszczeń klasztornych wyszło trzech mnichów, zwabionych naszym widokiem. Dwaj starsi trzymali się w pewnej odległości, jakby nie wypadało im rozmawiać bezpośrednio z nami. Albo nie znali angielskiego. Ten chłopak służył za łącznika i tłumacza.

– Daj mi telefon satelitarny – zwróciłem się do Damiana, kiedy młody mnich odszedł w stronę pozostałej dwójki.

– Po co?

Jeśli chodzi o kłótnie, zwarcia, Damian miał wręcz niewyczerpane źródło energii. Może właśnie z konfliktu czerpał siły?

– Chcę nagrać relację.

– Ty i to twoje parcie na szkło...

– Nie chodzi o moje parcie na szkło.

Nie kontynuowałem, bo młody mnich wrócił i oznajmił, że przeor udzieli nam teraz błogosławieństwa. Zawiesiłem więc na chwilę sprzeczkę z Damianem. Przywołałem Julkę i Norbu i w czwórkę podeszliśmy do najstarszego mnicha.

Trudno było mi ocenić, ile ma lat. Jego twarz była porwana głębokimi zmarszczkami, na pewno przebywanie na tak dużej wysokości i wystawianie jej na silne promieniowanie ultrafioletowe przyspieszało proces starzenia skóry. Ale oczy mnicha były pełne energii, przenikliwe, a jednocześnie przepełnione spokojem. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie.

Stary lama zawiązał każdemu z nas na nadgarstku cienki biały sznureczek, mamrocząc jednocześnie jakieś modlitwy. Kiedy podziękowaliśmy, uśmiechnął się, a następnie całą trójką odwrócili się i ruszyli z powrotem do klasztornego budynku.

– Daj mi ten telefon – zwróciłem się ponownie do Damiana. – Muszę nagrać relację. Zależy mi na ludziach, którzy mnie obserwują. Nie wiemy, czy nie trzeba będzie znowu prosić ich o kasę. Wpłacili konkretne pieniądze na zbiórkę na helikopter...

– Dorośnij! – Damian przerwał mi w pół zdania, a ja poczułem, jak rozrzedzona krew gotuje mi się w żyłach.

Na ogół nie unikam konfrontacji. Nie boję się ich, ale tym razem utrzymałem nerwy na wodzy. Może zadziałało na mnie błogosławieństwo starego lamy. Lub też wysokość pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza, która coraz mocniej dawała się we znaki. Czułem, jakby przejechał po mnie walec. To nieprawda, że byłem zaaklimatyzowany. Niby od dwóch tygodni przygotowywaliśmy się z Julką do trekkingu, ale obawiałem się, że na nic się to nie zdało.

Oblał mnie zimny pot. Bałem się, czy będę w stanie iść wyżej. A to mnie martwiło, bo w kluczowym momencie może nie będzie nikogo, kto by patrzył Damianowi na ręce.

Obiecałem sobie, że porozmawiam na osobności z Norbu. Popatrzyłem na Julkę. Ona też odczuwała skutki wysokości. Wyglądała na ekstremalnie zmęczoną, jakby się miała zaraz przewrócić.

Zabraliśmy ze sobą tlen, ale pomyślałem, że jeszcze za wcześnie na doping. Nie chciałem zużywać ograniczonych zapasów, żeby w kluczowym momencie ich nie zabrakło.

– Daj mu ten telefon. Proszę – powiedziała Julka jeszcze cichszym niż zazwyczaj głosem.

Damian odwrócił się do niej powoli, ale już czułem, że ona go pokona, tak jak dama w talii kart przebija waleta.

– Kochani, znajdujemy się w klasztorze Rongbuk... – Pięć minut później mówiłem do kamerki w telefonie, który trzymała Julka. – To już ostatnia prosta. Przepraszam, jeśli ta wypowiedź będzie chaotyczna, ale tak znacząca wysokość miesza mi trochę w głowie...

Urwałem, żeby zaczerpnąć powietrza. Było mi coraz zimniej, zwłaszcza w głowę, bo przed nagraniem ściągnąłem znieawidzoną czerwoną czapkę z logo Shronnu. Skoro sponsor sobie tego nie życzył, nie miałem zamiaru go więcej reklamować. Z chęcią puściłbym w eter parę kąśliwych słów pod jego adresem albo nawet podeptałbym tę czerwoną szmatę, ale wolałem nie ryzykować, bo nie pamiętałem dokładnie zapisów umowy. Pewnie skończyłoby się procesem.

A najśmieszniejsze było to, że za moimi plecami, na niewysokim murku, siedziało dwóch mnichów, ale nie tych, z którymi rozmawialiśmy przed chwilą, i obaj na ogolonych głowach mieli czerwone czapki.

– Klasztor oczywiście buddyjski... – mówiłem. – Tu życie biegnie w innym, duchowym tempie. Stoję na dziedzińcu, żeby choć trochę osłonić się od wiatru i chłodu... Będziemy tu nocować, wyruszymy przed świtem. I jutro powinniśmy już ich sprowadzić bezpiecznie. Trzymajcie kciuki... Julka! – krzyknąłem nagle, wychodząc z roli.

Julka się przewróciła. Na szczęście nie uderzyła głową o ziemię, bardziej się osunęła. Wypuszczona z rąk komórka upadła ekranem w dół, więc kamerka na tylnej ścianie telefonu nadal wszystko nagrywała.

Potem wiele osób w komentarzach wypisywało, że cała sytuacja została ukartowana. Po to, by filmik stał się wiralem i krążył po sieci, rozdymając nam zasięgi i fejm. W polemiki z hejterami nawet nie wchodziłem, ale trzęsąc się z zimna w klasztornej celi, do późna w nocy odpisywałem na komentarze, bo i tak byłem zbyt zdenerwowany, by zasnąć. Dobrze, że w tym całym zamieszaniu nie oddałem telefonu Damianowi.

61. JULIA

Kris podbiegł do mnie. Myślałam, że w pierwszej kolejności zatroszczy się o upuszczony przeze mnie telefon. Ale nie, mile mnie zaskoczył,

bo niewiele się namyślając, podniósł mnie z ziemi.

– Nic ci nie jest? Ty rzeczywiście jesteś lekka jak piórko. Powinnaś mieć zniżkę na samolot.

– Nic mi nie jest. Zakręciło mi się w głowie.

– Na pewno?

– W tych warunkach... To chyba normalne? – wystękałam, przytrzymując się Krisa. Przed oczami zatańczyły mi mroczki, znów na moment przymknęłam powieki. – Już mi przeszło. Już dobrze...

Nie była to prawda. Od kilku godzin czułam się słabo, właściwie coraz gorzej. Pocieszałam się, że kiepskie samopoczucie jest normalną reakcją organizmu na coraz bardziej rozrzedzone powietrze. Gdzieś w tyle głowy tlił się jednak strach. Bałam się, że dostanę choroby wysokościowej, co zagrozi wyprawie ratunkowej, a na pewno ją spowolni. Kiedy dotarliśmy do klasztoru Rongbuk, na wszelki wypadek wygrzebałam z apteczki diuramid²⁸ i połknęłam dwie tabletki. Lepiej się nie poczułam, ale przynajmniej na jakiś czas mnie to uspokoiło.

Teraz jednak przewróciłam się, nagrywając Krisa, więc strach się wzmógł. Tyle czytałam i słyszałam o przypadkach choroby wysokościowej wśród wspinaczy. Mogła ona doprowadzić do obrzęku mózgu albo obrzęku płuc, a to wielokrotnie kończyło się śmiercią. Przez resztę dnia unikałam wysiłku, a o dziesiątej wieczorem połknęłam kolejną dawkę leku. Staralam się, żeby Kris, z którym wciąż dzieliłam pokój, tego nie zauważył. Na szczęście był zbyt przejęty odpisywaniem na setki komentarzy i wiadomości od internautów. Egzotyczny nocleg wywołał wzmożenie aktywności fanów K2_lifestyles.

W przyklasztornym domu gościnnym znajdowało się dziesięć pokoi. Oprócz nas nie było żadnych innych turystów. Opłata nie była wygórowana – w przeliczeniu wychodziło poniżej stu złotych za dobę, więc każdy z nas mógł spać osobno, ale zdecydowaliśmy się wynająć dwa pokoje. W jednym nocował Damian i Norbu, w drugim Kris i ja. W każdym z pokoi były dwa osobne łóżka. Toaleta – tak naprawdę latryna – znajdowała się na zewnątrz.

Czułam się źle, krańcowo wyczerpana, rozbita – jak podczas najgorszej grypy – ale nie byłam w stanie zasnąć. W głowie kołatały się myśli, dudniły emocje. Momentami wydawało mi się, że jestem na granicy snu, po czym orientowałam się, że osaczają mnie zwidy, które powołuje

do życia mój niedotleniony mózg. Słyszałam, że ktoś przyszedł, czeka przed naszym pokojem, potem roiło mi się, że jest już dzień albo że zaraz zostaniemy wyproszeni z terenu klasztoru przez chińskich mundurowych.

Wybiła północ. Potem pierwsza w nocy. Kilka minut przed drugą do naszego pokoju zapukał Damian.

– Ruszamy – rzucił w progu, po czym zwrócił się do mnie: – Julia, może ty zostać?

– Nie – wychrypiałam, bo zaschło mi w gardle.

– Ale przecież się nie wspinasz. Więc po co będziesz się pchać dalej? Poczekaj tutaj.

– Dojadę... Chociaż do base campu... – wydyszałam.

– Co to zmieni?

– Proszę.

Czułam się tak źle, że nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że Marek i Kaśka przebywają w dużo gorszych warunkach, i to już tak długo! Wiem, że byli zaaklimatyzowani, ale do tego zimna nie można się przyzwyczaić. Ani do nieprzyjemnego wrażenia, jakie daje oddychanie rozrzedzonym powietrzem. Jak narkoman – marzyłam o tym, żeby nałożyć na twarz maskę i sztachnąć się tlenem. Ale bałam się, że potem nie starczy go dla mnie albo innych, bardziej potrzebujących.

Kiedy wyszliśmy z budynku, zobaczyłam Everest. Stałam jak wryta i kontemplowałam jego majestat ze zgrozą, ale jednocześnie ulgą. To, że był widoczny w całej okazałości, oznaczało poprawę warunków atmosferycznych. Wiatr zdołał przegonić chmury. Otworzyło się okno pogodowe. Nasza ostatnia szansa.

Z radością powitałam gwiazdy. Miliardy gwiazd nad naszymi głowami. Dotyk Kosmosu. Bezchmurne niebo oznaczało wyjątkowo niską temperaturę. Nie było widać księżyca, chyba był nów, ale zbocza gór lśniły śniegiem i lodem. Poczułam głęboką jedność z Wszechświatem, do którego głębi mogłam zajrzeć jak nigdy wcześniej.

Zacęłam się trząść. Z ekscytacji, ale i z zimna. Dokuczał mi ziąb, mimo że okutałam się we wszystkie ciepłe ubrania, jakie ze sobą zabrałam. Norbu odmówił krótką buddyjską modlitwę.

May I become at all times, both now and forever

A protector of those without protection

A guide for those who have lost their way

A ship for those with oceans to cross...²⁹

Wsiadłam do dżipa i ruszyliśmy, podążając za pierwszym samochodem, kierowanym przez Damiana. Kiedy na jasnym tle mignęły mi ciemne sylwetki namiotów, byłam przekonana, że już dotarliśmy do base campu. Nie przestawało mnie zdumiewać, że Chińczycy wybudowali drogę, którą można dojechać z Lhasy, stolicy Tybetu, do samego obozu, z którego startują wspinacze. Po stronie nepalskiej, aby dotrzeć do bazy pod Everestem, trzeba przez wiele dni wędrować pieszo doliną Khumbu.

Jednak obozowisko, które mijaliśmy, to nie był base camp, ale tak zwany hotel namiotowy, położony ledwie sto metrów wyżej niż klasztor Rongbuk. Wyglądał na wymarły, nie było tu żywej duszy.

W końcu dojechaliśmy do chińskiego obozu pod Everestem, na wysokości pięciu tysięcy stu osiemdziesięciu metrów. Tu samochody musiały się zatrzymać. Kiedy Damian, Kris i kierowca byli zajęci wyładowywaniem sprzętu, ukradkiem łyknęłam kolejne dwie tabletki diuramidu i popiłam je lodowatą wodą z plastikowej butelki.

Poprosiłam Damiana, żebyśmy jeszcze raz spróbowali napisać wiadomość do Marka i Kaśki. Łudziłam się, że może wczoraj nie odpowiedzieli, bo wyłączyli telefon satelitarny, chcąc oszczędzać baterię. I nasza wiadomość przepadła gdzieś w eterze. Ale dziś rano znów może włączyli telefon i teraz uda nam się z nimi skontaktować.

– Dobrze, napiszę, że wyruszamy właśnie z base campu – odparł Damian, bez słowa protestu ściągając rękawice.

Nie wiedziałam, czy mogę mu ufać. Specjalnie stanęłam tuż obok, żeby zaglądać mu przez ramię i upewnić się, że wpisze to, co zapowiedział, a na końcu wybierze opcję „wyślij”.

Czekaliśmy długą minutę, ale telefon milczał.

– Nie odebrali – skwitował Damian i schował urządzenie do plecaka.

Poczułam ukłucie strachu. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że telefon Marka i Kaśki jest już rozładowany, że nie ma i nie będzie z nimi kontaktu, że trzeba będzie ich odnaleźć po omacku.

DZIEŃ SIÓDMY – PONIEDZIAŁEK

62. KRIS

Znów czułem się jak gówno. Jakby cały alkohol, który wypilem przez dwa tygodnie pobytu w Katmandu, wrócił gigantycznym kacem. Ale nie zamierzałem się poddawać. Przełącz, do której musieliśmy dotrzeć, żeby uratować Kaškę i Marka, była ledwie osiemset metrów wyżej. Wiedziałem, że w górach takie obliczenia bywają złudne i zgubne, ale czułem, że tę wysokość jeszcze wytrzymam. A podejście nie było wcale takie trudne. Najwyżej będę się szprycował tlenem i może dodatkowo czymś mniej legalnym.

Boże, gdybyśmy od razu wpadli na to, żeby pojechać naokoło... Cała ta dwudniowa szarpanina z helikopterem wydała mi się teraz idiotyczną stratą czasu. Jeszcze raz potwierdziło się, że w życiu nie należy iść na skróty.

Wkrótce stanąłem przed dramatycznym wyborem. Z jednej strony chciałem dopilnować Damiana, nie ufałem mu za grosz. Ale z Julką było coraz gorzej. Spytałem ją o to – zapewniała, że czuje się dobrze. Tylko że wyglądała jak zombi. Błada, pusty wzrok, chwilami problemy z nawiązaniem kontaktu.

Przeraziłem się i próbowałem przypomnieć sobie objawy choroby wysokościowej.

Myślałem, czy nie zmusić Norbu, żeby to on został i zaopiekował się Julką. Awantura byłaby kosmiczna, ale czy nie był to ten decydujący moment, kiedy trzeba położyć wszystko na jedną szalę?

Uruchomiła mi się we łbie taka gonitwa myśli, że musiałem zamknąć oczy. Żałowałem, że nie ma we mnie spokoju i opanowania, które potrafi odpalić sobie Julka. Nie potrafiłem medytować, ale z wiru w mojej głowie zaczęło się w końcu coś wyłaniać.

Prawda była taka, że Szerpa był o niebo lepszym wspinaczem ode mnie. A po rozmowie z nim miałem pewność, że nie zaprzedał duszy diabłu. Nawet jeśli Damian ma złe intencje, Norbu zrobi wszystko, żeby sprowadzić Kaškę na dół.

Usiadłem w kucki. Lodowate kamienie mroziły mi tyłek. Patrząc na Everest, podjąłem pewnie najtrudniejszą decyzję w moim życiu – postanowiłem, że zostanę z Julką.

Przekazałem swoją decyzję pozostałym. Oczywiście, nie powiedziałem, że martwię się o jej stan zdrowia. Damian popatrzył na mnie z wyższością. Na pewno pomyślał, że wymiękam. Dałem mu tę satysfakcję. Może i była w tym jakaś odrobina prawdy. Kurs wspinaczkowy na skałkach pod Częstochową. Nieudane wejście na Mont Blanc... Byłbym idiotą, pchając się nawet na głupie sześć tysięcy metrów.

Nigdy wcześniej nie byłem dalej od zrozumienia, po kiego grzyba Kaška ładuje się jak ćma w płomień na te wszystkie zasrane góry. Ból, dyskomfort, wpędzenie swojego ciała w objawy fizjologiczne jak podczas najgorszej choroby. Niemycie się, niemożność kulturalnego wysrania się przez miesiąc z hakiem. Udręka. Jezu, i po co?! To było gorsze niż samookaleczanie się.

Kilka minut po ósmej rano Damian i Norbu zaczęli wspinać się lodowcem Rongbuk. Julka i ja schroniliśmy się w namiocie. Niemal zmusiłem ją, żeby się położyła. Była blada jak ściana, miała płytki, świszczący oddech, a jej twarz wydawała mi się napuchnięta. Założyłem jej maskę z tlenem i chyba trochę jej się polepszyło.

Pozostało nam tylko czekać.

Mijały godziny. Nie od dziś wiem, że czekanie jest najgorszą rzeczą wymyśloną przez człowieka i nigdy nie należy mu się poddawać. Zamiast siedzieć na tyłku, trzeba zmusić się, żeby robić coś innego. Cokolwiek. Ale co można robić na lodowym pustkowiu, w rozrzedzonym powietrzu, z nerwami napiętymi do granic możliwości i z chorą, słabnącą kobietą?

Julka cały czas korzystała z tlenu. Zapewniała mnie na zmianę, że czuje się lepiej albo już całkiem dobrze, ale widziałem, że to nieprawda. Po południu zapadła w niespokojny sen. Kiedy się obudziła,

w pierwszej kolejności zapytała, czy już wrócili. Potem powiedziała, że chce wstać i wyjść z namiotu.

Podtrzymałem ją, drobiliśmy kroki.

– Za chwilę będzie już wieczór – powiedziała zmęczonym głosem. – Dlaczego ich nie ma?

– Mogą nie dać rady zejść dziś, przecież wiesz. Musimy się na to przygotować.

– Dlaczego się z nami nie łączą?

– Są jeszcze za daleko.

Prawdą było, że radiotelefony, które zabraliśmy, nie miały mocnych nadajników. Służyły do łączności między bazą a wspinaczami, ale po stronie nepalskiej. Base camp chiński znajdował się ponad sześć kilometrów w linii prostej od szczytu Everestu. Może za daleko, żeby łąpać połączenie? Tak sobie to tłumaczyłem, ale było też inne, bardziej prawdopodobne i znacznie mniej optymistyczne wytłumaczenie ciszy w eterze – Damian i Norbu nie mieli nam do przekazania dobrych wieści.

– Wracamy. Dawaj... – zakomenderowałem, bo już czułem, jak z każdą minutą spada temperatura. Prognoza pogody nie napawała optymizmem. Miał wrócić huraganowy wiatr, do tego opady śniegu.

– Są – powiedziała nagle Julka. – Chyba idą.

Natychmiast zadarłem głowę do góry. Rzeczywiście. W górnym odcinku lodowca, u podnóżu szczytu o nazwie Changtse, gdzie znajdował się obóz trzeci, poruszał się ciemny punkcik. Jeszcze daleko, bardzo daleko od nas. Nie byłem pewien, czy to nie jest złudzenie, czy nie wpatrujemy się w skalny odłamek, który sprawia wrażenie ruchomego, bo przewijają się przed nim strzępy chmury.

Trzęsącymi się rękami Julka podniosła do oczu lornetkę i skierowała ją w stronę lodowca. Patrzyłem na nią jak zahipnotyzowany, próbując odczytać coś z mowy jej ciała.

Ale Julka ani drgnęła. Każdy mięsień miała napięty do granic możliwości. Nagle jej sine wargi wydały dziwny dźwięk, coś jakby głośne westchnienie połączone ze szlochem.

– Jest ich troje. Tylko troje.

63. JULIA

Od tygodnia śmierć była blisko nas, przyczajona podążała krok za nami. Teraz wyraźnie wyczuwałam jej obecność. Niewidoczną dla oka, ale dojmującą. Ani zimną, ani ciepłą, po prostu przerażająco pustą.

Przez lornetkę widziałam wyraźnie, że schodzą tylko trzy sylwetki. Wszystko było jasne. Ktoś z naszych bliskich nie żyje. Paniczny lęk chwycił mnie za gardło i zaczął dusić. Z czwórki, która wspięła się na Everest, przeżyła tylko jedna osoba. Albo Kaśka, albo mój Marek.

Albo-albo. Upiorna alternatywa, której Kris i ja musimy stawić czoło. Dla jednego z nas oznacza niebo, dla drugiego piekło.

Kiedy dojdą, wszystko się wyjaśni, lecz nim to się stanie, już potwór śmierci spadł na nas i przygniół do wyziębionej ziemi.

– Nie... – załkałam, a młot, który od wielu godzin rytmicznie uderzał mnie w skronie, powodując potworny ból głowy, pięciokrotnie zwiększył swą moc.

– Spokojnie... Nie myśl tak! Może sprowadzą jedną osobę i wrócą po drugą – wyszeptał Kris, ale w jego głosie nie było krzty przekonania.

– Nie! – krzyknęłam, znów przytykając lornetkę do oczu. Z rozpędu uderzyłam się okularem, ale nawet nie westchnęłam z bólu. W panice szukałam czwartej sylwetki.

Marek czy Kaśka? Kaśka czy Marek? Nie wierzyłam w naciągane tłumaczenia. Musiało wydarzyć się coś strasznego. Gdyby nawet Kaśka albo Marek nie byli w stanie schodzić samodzielnie, Damian i Norbu by ich sprowadzali. Jeśli nie byli w stanie tego zrobić, to znaczy, że nie ma już nadziei na ratunek. Dlatego nie odezwali się przez radiotelefon, nawet kiedy już znaleźli się w zasięgu.

– Zadzwoń do nich! – zawołałam.

Kris posłusznie próbował wywołać ich radiotelefonem, ale milczeli jak zakłęci.

Nadal widziałam tylko ciemne sylwetki na tle oblepionej śniegiem grani. Po chwili niczego już nie widziałam, bo okular lornetki zalewały moje łyzy.

– Co widzisz? Mów! – krzyczał Kris.

Wiedziałam, że powinnam pozwolić mu popatrzeć choć przez chwilę. On też umierał z niepewności. Ale nagle stałam się największą egoistką na świecie. Ścisnęłam lornetkę tak mocno, że żadna siła nie byłaby w stanie mi jej wyrwać.

Trójka wspinaczy zniknęła mi z pola widzenia, przesłonił ich skalny załom. Sekundy rozciągały się w minuty, a minuty w lata. Wreszcie pojawili się znowu. Byłam w stanie odróżnić drobną sylwetkę Norbu, który szedł na przodzie w czarnym kombinezonie. Damian, wysoki, w błękitnej puchówce, szedł na końcu. A między nimi...

– Nie... – Zaczęłam płakać.

To była Kaśka. Poznałam ją po charakterystycznej, czerwonej czapce sponsora. Takiej samej, jaką nosił Kris, dopóki nie wkurzył się na producenta lodówek.

To była Kaśka. „Szoń swoją żywność”. A więc stało się. Mojego Marka nie było. Już go nie było.

Poczułam, że osuwam się w ciemność. Lornetka wypadła mi z rąk.

64. KRIS

Julka zasłabła, osunęła się na śnieg. Chciałem przejąć od niej lornetkę, ale nie mogłem jej przecież tak zostawić. Rzuciłem się, żeby ją ocucić. To na pewno był tylko stres, silne wzburzenie, a nie gwałtowne zaostrenie objawów choroby wysokościowej. Ale w górach niczego nie można być pewnym. Nie mogłem ryzykować.

Sprawdziłem jej maskę, a następnie butlę z tlenem i reduktor. Jednocześnie próbowałem ją cucić.

– Julka... Julka! – powtarzałem.

Na szczęście było to raczej omdlenie niż utrata przytomności. Julka zaczerpnęła dwa głębokie oddechy, po czym niezadarnym ruchem zsunęła z twarzy maskę. Jej usta były sine.

– Marek nie żyje – wyszlochała. – Nie żyje!

– Skąd wiesz? – Próbowałem ją idiotycznie pocieszać, choć domyśliłem się, co zobaczyła.

Julka płakała przeraźliwie, walcząc jednocześnie o każdy oddech. Jej twarz wykrzywił grymas rozpacz. Porwałem z ziemi lornetkę. Jeden z obiektywów był pęknięty, mimo to przyłożyłem ją do oczu i próbowałem wyostrzyć obraz.

Zobaczyłem wyraźnie trzy sylwetki. Szły w naszą stronę, rzucały długie cienie. Wszystkie były pochylone ku ziemi, jakby przygniecione. Zapewne zmęczeniem, choć może i porażką. Nie udało się uratować wszystkich. Nieśli brzemię śmierci.

I wtedy zobaczyłem wściekle czerwoną plamkę na głowie postaci idącej w środku. To była znienawidzona przeze mnie czapka sponsora – firmy Shronn, producenta lodówek i zamrażarek.

– „Szoń swoją żywność” – wyszeptałem bezgłośnie, żeby nie dobijać Julki.

Targały mną sprzeczne emocje. Przede wszystkim niewyobrażalna radość, że udało mi się uratować Kaškę. Mijało siedem dni od zejścia lawiny. Sto sześćdziesiąt osiem godzin, a każda naznaczona cierpieniem niepewności.

Boże, co za ulga!

To jedna strona. A z drugiej – udzielała mi się rozpacz Julki. Dla niej Everest stał się przekleństwem. Ogrom jej poświęcenia – zmarnowany. Nienawistny biały grobowiec, w którym na wieki spocznie Marek i całe jej szczęście.

Pochyliłem się nad płaczącą Julką, która nie była w stanie stać, kucała niezdarne, właściwie półsiedząc na lewej nodze.

– Może jeszcze... – zacząłem, ale urwałem, sam zniesmaczony miałością myśli, które snuły się w mojej głowie.

W odruchu reklamiarza chciałem wciskać jej kit, ale nie było sensu jej mamić. Nie było szansy, że Marek żyje. Żadnej szansy. Nie zostawiliby go, by sprowadzić Kaškę i ruszyć po niego z powrotem. Nie zrobiliby tego. Nawet gdyby nie był w stanie iść samodzielnie, trójka sprawnych wspinaczy jakoś ściągnęłaby go na dół. Poza tym odezwałiby się, żeby nas uruchomić, próbować ogarnąć kolejny plan ratunkowy.

Milczenie w drodze powrotnej oznaczało jedno.

Zorientowałem się, że Julka już nie płacze, ale rozpaczliwie walczy o każdy oddech.

– Załóż tlen! – powiedziałem, ale nie czekałem, aż sama to zrobi.

Sięgnąłem po maskę. Ściągnąłem rękawiczkę i niezdarnie otarłem jej zapłakaną, zasmarkaną twarz. Dopiero potem założyłem jej maskę. Ale wycieńczenie i emocje okazały się zbyt silne.

Oczy wyróciły się jej białkami, głowa poleciała do tyłu, a kark zrobił się sztywny.

Tym razem nie było to omdlenie. Julka straciła przytomność.

65. JULIA

Powoli rozwarłam powieki. Wpatrywały się we mnie znajome oczy. Ciemne i mądre, zwierciadło mojej ulubionej duszy.

– Jednak żyjesz... – powiedziałam.

– Dlaczego miałbym nie żyć? – odparł Marek.

Pomyślałam, że to sen, skoro mój chłopak nie zginął i ma się dobrze. To może być tylko sen. Straszny, ale jednocześnie taki przyjemny...

– Co się stało? – spytałam.

– Zaszłyłem się w buddyjskim klasztorze... Wybacz mi. Ale potrzebowałem chwili... Trochę dłuższej chwili namysłu.

– Nad czym?

– Medytacji nad życiem – wyjaśnił. – Przepraszam, że cię przestraszyłem. Nie pomyślałem...

Ucieszyłam się. To wyjaśniało, dlaczego Damian i Norbu zeszli bez niego. Wszystko się teraz zgadzało. Mogłam odetchnąć z ulgą.

Ale przecież...

Wiedziałam, że to nieprawda. Najgłębsza warstwa rozsądku, która jest w stanie przeniknąć sen, próbowała przemówić do mnie i przywołać mnie do porządku.

– Dlaczego nie zszedłeś z nimi? – spytałam podejrzliwym tonem.

Marek wyglądał jak młody Budda. Skupiony i łagodnie uśmiechnięty, jego szczere spojrzenie uspokajało mnie i sprawiało, że pragnęłam zapomnieć o bożym świecie.

– To proste. Chciałem być sam. Wytoczyłem nową drogę...

– Nową drogę zejścia? Z Everestu?

– To też. Ale przede wszystkim nową drogę dla siebie. Przepraszam cię... Chciałem zostać „bohaterem umysłu oświecenia”, ale się nie udało.

Marek użył określenia z tłumaczonej przeze mnie książki. Dosłownego przełożenia terminu bodhisattwa, które nie podobało mi się, ale nie umiałam znaleźć lepszego odpowiednika.

– Nie szkodzi – powiedziałam cicho. – To nie jest istotne.

Próbowałam zrozumieć, o co mu chodzi. Wprawdzie w różnych tradycjach buddyjskich odmiennie pojmuje się pojęcie bodhisattwy, ale mnie najbliższa była definicja, wedle której jest to byt mogący już osiągnąć nirwanę, ale powstrzymujący się przed tym, by pomagać innym. Tak jakby nie chciał wysforować się do przodu, tylko pilnował, żeby wszyscy stali się gotowi, by razem osiągnąć ostateczny cel.

– I na czym polega ta... nowa droga? – spytałam.

– Żyjemy po to, żeby przygotować się na śmierć.

– Ale ja jeszcze nie jestem gotowa!

– To zacznij. Myśl o Wszechświecie, zadawaj pytania „dlaczego”, zastanawiaj się nad tym, dlaczego cisza...

– Nie – oponowałam.

– To jedyne wyjście. Proszę...

– Dobrze, spróbuję – wyszeptałam w końcu. – Może jeszcze zdążę.

To była piękna, harmonijna i spokojna wizja.

Tyle że nieprawdziwa.

Wiedziałam, że kiedyś będę musiała się obudzić.

✱

Otworzyłam oczy. Nie znajdowałam się w namiocie u podnóża Everestu. Siedziałam na krześle, na podwyższeniu. Przed sobą miałam wpatrzone we mnie twarze dziesiątek ludzi.

– Dlaczego Marek musiał zginąć? – spytał po angielsku ktoś obok mnie.

Odwrociłam się i spojrzałam na Jennę Wiklander. Stara pisarka miała na sobie długą spódnicę ze srebrzystej tkaniny i pomarańczowy puchowy bezrękawnik, który przypominał kamizelkę odblaskową. Na jej szyi wisiał tybetański amulet dzi – wyglądał trochę jak gąsienica motyla.

– No właśnie, dlaczego? – powtórzyłam. – Dlaczego?

– Mnie pytasz? – Zdziwiła się. – Ja tylko spisałam twoją historię.

– Nie. Nie ma czegoś takiego jak „tylko spisałam”. Spisując historię, zawsze się w nią ingeruje.

– No proszę, wkraczamy na terytorium rozważań z pogranicza filozofii i teorii literatury – zaśmiała się Wiklander.

– Kto doniósł Chińczykom o przelocie helikoptera?! – spytałam ostrym tonem. – Zacznijmy od tego.

Zapadła martwa cisza. Rozejrzałam się, chcąc rozgryźć nową rzeczywistość. Przysnęłam? Zdarzyła mi się chwilowa utrata przytomności?

Bez trudu zorientowałam się, co tu robię. Byłam tłumaczką podczas spotkania autorskiego Jenny Wiklander. Odbywało się ono w dużej księgarni. Obie siedziałyśmy na niewielkim podwyższeniu. Od zaciekawionych twarzy czytelników oddzielała nas stojąca na stoliku na drewnianych sztalugach książka. Widziałam tył jej okładki. Zdominowało ją zdjęcie portretowe Jenny Wiklander, a tłem był widok Everestu. Wróciły wspomnienia, biały klin wbił mi się w serce.

– Nie dałam rady go ocalić – wyszeptalam, po czym... Jakby szklanka pękła mi w gardle. Nie byłam w stanie powiedzieć nic więcej.

– Nie mogłaś go ocalić – powiedział ktoś spośród czytelników. – Nie możesz się za to winić.

Zmrużyłam zażawione oczy. Rozpoznałam głos Krisa, próbowałam go wypatrzyć. W końcu go zobaczyłam, siedział na samym końcu. Obok niego siedziała Kaśka. Była w zaawansowanej ciąży.

– Jak przekonałaś Bakera, żeby użyzył nam helikoptera? – spytał Kris obrażonym tonem. – Dlaczego w książce zostało to pominięte?

Poziom absurdu przekroczył dopuszczalny stan. To nadal był sen. Młócka bezsensownych scen i obrazów, którym umysł próbuje nadać jakąś ramę.

Chciałam się już obudzić.

Nawet jeśli rzeczywistość miała dla mnie w prezencie wszystko, co najgorsze.

Kolejny raz otworzyłam oczy. Znów byłam w pomarańczowym namiocie u podnóża Everestu. Nade mną pochylał się Marek. Uśmiechał się od ucha do ucha, choć twarz miał bladą, wymizerowaną, jego ciemne oczy były zapadnięte, zaczerwienione i pełne bólu. Nie wyglądał jak młody Budda, tylko jak wycieńczony człowiek.

– To ty? – spytałam cicho.

– To ja.

– Ale jak...

– Dziękuję ci, kochanie.

Zacisnęłam powieki i pokręciłam głową. Byłam ogłupiała. Znowu jakiś cholerny sen. Chciałam się obudzić. Już nie miałam siły na ucieczkę w marzenia senne.

– Julia – mówił Marek. – Nic ci nie jest? Zaraz cię stąd zabieramy...

– Ty nie żyjesz – jęczałam, zaciskając powieki. – Nie żyjesz. Nie żyjesz!

– Żyję.

– Nie – zaczęłam płakać.

– Otwórz oczy.

Zrobiłam, o co prosił. Młot walący mi w skronie przeszedł w tryb ciągły.

– Ale jak? – wyszeptałam. – Szło was tylko troje. Ciebie nie było. Była tylko Kaśka.

I wtedy wreszcie zrozumiałam, że to nie sen, to dzieje się naprawdę. Twarz Marka spoważniała.

– To Kaśka nie żyje. Zmyliło cię, bo... Wziąłem jej czapkę.

66. KRIS

Kiedy Julka zemdlała, porwałem ją ze śniegu i ostrożnie przeniosłem do namiotu. Dźwigałem ją z największym trudem. I mnie rozrzedzone powietrze dawało się we znaki.

W panice przetrzepałem apteczkę. Znalazłem „deks”, czyli deksametazon³⁰. Nie miałem pojęcia, jaka powinna być dawka i czy wystarczy, że podam go domięśniowo, ale wkłucie się w żyłę

przekraczało moje możliwości. Ściągnąłem Julce spodnie i dziabnąłem ją w zimne, blade udo. Nawet nie pisnęła.

Po kilkunastu minutach doszła do siebie, był z nią kontakt, ale oddychała płytko i nic nie mówiła. Choć protestowała, wmusiłem w nią tabletkę relanium. Po kilkunastu minutach zapadła w niespokojny sen. Ostrożnie zapakowałem ją do śpiwora, upewniłem się, że maska tlenowa działa. I zabrałem się za gotowanie wody na herbatę.

Czekałem, aż moja żona zejdzie z lodowca Rongbuk. Odliczałem minuty do spotkania z Kašką i zamknięcia naszej już ponadmiesięcznej rozłęki. Zastanawiałem się, jak pocieszyć Julkę, kiedy już dojdzie do siebie. Byłem dziwnie spokojny. W lekkiej euforii, ale stabilnej. Zaparzyłem herbatę, sprawdziłem stan Julki, zerknąłem na zegarek, wyszedłem przed namiot, ale schodzącej trójki nie było teraz widać.

Pomyślałem, że dam im herbatę i jak najszybciej trzeba będzie stąd zjeżdżać, żeby u Julki ustąpiły objawy choroby wysokościowej. I tak nic już nas tu nie trzymało. Akcja ratunkowa dobiegła końca.

Byłem na tyle spokojny, że kiedy wróciłem do namiotu, sięgnąłem po komórkę i zacząłem pisać post.

„Kaška uratowana”..

Patrzyłem na migający na ekranie kursor. Nie chciałem pisać o Marku, ale głupio było go pominąć. Nie wiedziałem jeszcze, co się dokładnie stało, wolałem nie przesądzać, ale dociekliwi internauci na pewno od razu by to wychwycili i jak zwykle mieliby używanie.

„Kaška uratowana. Za chwilę podam Wam więcej szczegółów. Ale przede wszystkim chciałbym Wam podziękować. Za dobre słowa, dobrą energię, a także za wsparcie finansowe, którego nam nie poskąpiliście. Alleluja i do przodu!”

Wysłałem post w świat, korzystając z łącza internetowego w telefonie satelitarnym.

Z oczu poleciały mi łzy wzruszenia. W głowie huczało mi tylko jedno słowo: Kasia, Kasia, Kasia.

Nie potrafię opisać szoku, wstrząsu, który przeżyłem, kiedy schodząca trójka w końcu weszła do namiotu. Pierwszy był Damian, za nim Norbu, a jako trzeci stanął przede mną Marek.

Fuck shit, Marek!

Miał na głowie czerwoną czapkę z logo sponsora.

W jednej chwili zrozumiałem, co się stało.

– Kaśka... – wyjąkałem tylko jedno słowo.

– Przykro mi – powiedział Marek.

– Ty skurwysynu! – Rzuciłem się na niego z wściekłością. – Ty skurwysynu!

Damian z pomocą Norbu próbowali mnie odciągnąć od chłopaka Julki. Marek, z miną winowajcy, ściągnął z głowy czapkę.

– Wziąłem ją, bo... – urwał.

Potem dopiero wyjaśnił mi, że Kaśka zginęła w kolejnej lawinie, która ich ściągała, kiedy rano ruszyli w dół. Telefon satelitarny był rozładowany, nie wiedzieli, czy nasza pomoc jednak nadejdzie, więc zaczęli schodzić.

Nic mu się nie stało, ale jej nie zdołał odkopać na czas. Wziął czapkę, którą lawina zdarła z głowy Kaśki, bo stracił swoją i nie mógł jej odnaleźć. Chciał też, żebym miał po żonie ostatnią pamiątkę...

Ale wtedy w namiocie jeszcze tego nie wiedziałem. W jednej chwili strącony z nieba do piekła nie byłem w stanie się z tym pogodzić.

– Idę po nią. – Poderwałem się, próbując się nie rozplakać.

– To nie ma sensu, uwierz mi...

– Kris, usiądź. Dam ci coś... – wtrącił Damian, sięgając po apteczkę.

– Zajmijcie się lepiej Julką – wycharczałem, po czym wybiegłem z namiotu.

EPILOG. JULIA

Od wydarzeń na Evereście minęło już pół roku, ale pisanie o nich przychodzi mi z trudem. Emocje wracają. Obsiadają mnie, szarpią niczym sępy ciało zmarłego podczas tradycyjnego tybetańskiego pochówku – pogrzebu powietrznego, który widzieliśmy u podnóża lodowca Rongbuk, kiedy wyruszyliśmy w drogę powrotną do Nepalu. Nie podchodziliśmy bliżej, nie wolno tego robić ze względu na szacunek dla sacrum, ale Norbu wyjaśnił nam, co to za dziwne zbiegowisko padlinożerców.

Każdego dnia budzę się przed świtem. Nie zapalam świateł, po omacku pstrykam ekspres i już z kubkiem kawy w dłoniach siadam przy biurku. Otwieram laptopa. Przez okno widzę blok po drugiej stronie ulicy, na niektórych balkonach migoczą już łańcuchy świątecznych lampek, w kilku mieszkaniach stoją udekorowane choinki. Pojutrze Wigilia.

Mam niewiele czasu na pisanie, około godziny. Potem kąpiel, druga kawa i szybkie wejście w szarą rzeczywistość, w której muszę zajmować się prawdziwą pracą i zarabianiem pieniędzy.

Biały ekran laptopa kłuje w oczy. Żeby nie nabawić się ślepoty śnieżnej, staram się szybko zaczerpnąć go słowami.

Nie, bez sensu. Po co ten poetycki język? Lepiej pisać bez patosu, zwyczajnie. Ale czy suche fakty nie będą bez smaku – jak liofilizowane jedzenie, które zabiera się na wyprawę wysokogórskie?

Nie spodziewałam się, że o własnych przeżyciach będzie pisało się tak ciężko. Na co dzień przekładam na język polski słowa innych ludzi. Jako tłumacz jestem cieniem, co pozwala mi utrzymać przyjemny dystans. Natomiast historia, która przydarzyła się nam na najwyższej górze świata, przeorała mnie na wskroś. Troje młodych ludzi zginęło. W Himalajach to chleb powszedni, ale ja nie potrafię się otrząsnąć. Arek, Bart i Kaśka, która na własną zgubę zmieniła ustawienia aplikacji pogodowej. Nie

zamierzała odpuścić Everestu, nie chciała pogodzić się z porażką i przyplącała to życiu.

Mój towarzysz tamtych dramatycznych wydarzeń, Kris, chodzi na terapię. To minimum wsparcia, jakim powinno się go otoczyć. Jest w żałobie, stracił żonę. Jego terapeuta poradził mu, żeby opisał tamte siedem dni. Wyrzucenie z siebie wszystkiego, przelanie na papier może pomóc udręczonej duszy, uwolnić ją choć od ułamka ciężaru. Kris poprosił mnie, żebym dołączyła do jego niecodziennej formy terapii i tak co rano oboje znów wyruszamy ze stolicy Nepalu z misją ratunkową. Nakłaniamy Damiana, żeby ruszył w górę z bazy, próbujemy zdobyć helikopter, w końcu ruszamy do Chin.

Może tybetańskie sępy pożywią się i w końcu odlecą, pozostawiając białe kości, które znikną w śniegu?

Pogoda za oknem nie napawa optymizmem. Niż nad Polską sprawia, że przedświąteczne dni są wypełnione półmrokiem, jakbyśmy byli za kołem polarnym i trwała wieczna noc. Słońce wygląda jak księżyc, kiedy zawisa nisko nad horyzontem, można na nie patrzeć bez obawy, że uszkodzi wzrok, bo jego tarcza ledwo przebija się przez grubą całun chmur.

A jednak jestem niezmiennie szczęśliwa, wręcz rozanielona, jakbym spędzała beztroskie dni nie w grudniowej Polsce, ale zalanej słońcem Toskanii. Wszystko zmienia ten moment, kiedy słyszę, jak Marek się budzi w sypialni za ścianą. I wiem, że za chwilę stanie za mną, pochyli się i pocałuje mnie w czubek głowy.

Na ten moment czekam każdego dnia. Już się nie boję.

A może właściwsze byłoby stwierdzenie: na razie się nie boję. Zdaję sobie sprawę, że Marek prędzej czy później wróci do wspinania. Potrzebuje odskoczni, tej niesamowitej mieszanki adrenaliny i wielkiej ciszy, którą dają góry. Ja tak nie mam, ale nie będę przykładać swojej miary do niego. Gdybym próbowała wymusić siłą zmianę jego natury, nie skończyłoby się to dobrze. Ani dla niego, ani dla mnie. Byłby jak dziki tygrys zamknięty w klatce. Staram się go zrozumieć.

Kris i ja nie zdobyliśmy Everestu, ale pokonaliśmy go. Chcę, żeby moja opowieść, choć tragiczna, napawała optymizmem. Ten karkołomny cel przyświeca mi za każdym razem, kiedy siadam za biurkiem i zaczynam stukać w klawisze starego laptopa. Nie wiem, czy potrafię moją historię

przełać na papier, ale zostało mi wiele dni, z których każdy ma godzinę przed świtem. Codziennie będę wstawać przed wschodem słońca, parzyć sobie kawę i pisać ku pokrzepieniu. Bo robienie czegoś do skutku, wbrew zmęczeniu, lenistwu i przeciwnościom losu, to jedyne, co potrafię.

EPILOG. KRIS

Zlikwidowałem konta K2_lifestyles na Instagramie, Facebooku, TikToku, Twitterze. WSZĘDZIE. Prowadzenie ich przestało mieć dla mnie sens. I nie tylko dlatego, że dwójka w nazwie zamieniła się w jedynkę. Po powrocie z Himalajów pisało do mnie mnóstwo osób z kondolencjami i wyrazami wsparcia. Objawiło się też więcej niż zwykle świrów i wszelkiej maści psychopatów, lubujących się w anonimowym dręczeniu innych.

Wypisywali bzdurne komentarze o tym, że do Kaśki wróciła karma, że została ukarana, bo kiedyś zostawiła na pewną śmierć Alicję, towarzysza złączonego liną wspinaczkową. Albo domagali się zwrotu pieniędzy rzekomo wpłaconych na przelot helikoptera. Pisało też do mnie sporo kobiet, które zauzięły się, by mnie pocieszać po śmierci żony.

Pewnego wieczoru przelała się czara goryczy. Usiadłem z laptopem na kolanach i komórką w rękę – i kasowałem wszystko jak leci.

Nie usunąłem tylko tatuażu „K2 lifestyles”, który biegnie wzdłuż mojego lewego ramienia. Drugi, identyczny tatuaż znajduje się obecnie gdzieś na Evereście i zdobi bryłę lodu o ludzkim kształcie.

Przybyła mi za to blizna na prawym łuku brwiowym, bo kiedy w amoku wybiegłem z namiotu, żeby iść w górę, by ratować Kaśkę, spierdzieliłem się ze skały. Krew lała się ze mnie jak z zarzynanej świni. Damian i Marek znaleźli mnie i wmusili we mnie relanium, po którym na szczęście odpłynąłem.

Potem przechodziłem pewnie wszystkie etapy żałoby, ale pamiętam tylko początkowe wyparcie. Nie byłem w stanie uwierzyć, że TO się stało, stało się tak łatwo. Pstryk i jej nie ma. Nigdy nie zobaczyłem ciała, musiałem uwierzyć Markowi na słowo, że Kaśkę porwała lawina. Pokonała ją ostatnia pułapka zastawiona przez Everest.

Nie było sensu szukać ciała. Została mi pieprzona czerwona czapka z logo sponsora.

Ruszyliśmy z powrotem. Obrazy przemazywały mi się przed oczami. Znów kolejne posterunki, potem granica chińsko-nepalska, Katmandu, cztery dni później byliśmy już w Polsce. Silne emocje spłynęły po mnie gwałtownie i szybko jak górski potok. Potem zaczął się stupor, z rozlanym gdzieś na dnie duszy bólem. Nie wiem, co gorsze. Nie płakałem, nie rozpacziałem, ale godzinami siedziałem w domu, a potem w pracy, gapiąc się w okno albo ekran komputera.

Na szczęście w nowej agencji reklamowej, w której zacząłem pracę, mam wyrozumiałą szefową. Nie wywaliła mnie mimo trwającej parę miesięcy zerowej produktywności. Julka i Marek też troszczyli się o mnie. W końcu zrozumiałem, że muszę zacząć życie od nowa, bo to, które prowadziłem, szybko zmieniało się w wegetację.

Postanowiłem więcej czasu spędzać świadomie. Staranniej wybieram to, co oglądam i czytam. Na siłowni zacząłem słuchać audiobooków. W pierwszej kolejności wziąłem na tapet książkę o buddyźmie, którą przetłumaczyła Julka.

Ciekawa.

Dzięki niej zacząłem medytować i wprowadziłem do swojego życia sporo zdrowych nawyków. To dobrze.

Więcej piję. To źle. Zaczynam wieczorami, żeby zasnąć, bo samotne wejście w ciemną noc mnie przeraża. Dzień w dzień butelka wina. Jak nie zbankrutuję, bo nie gustuję w sikaczach. Przynajmniej tyle, że zdaję sobie z tego sprawę, nie idę w zaprzeczanie. Wręcz przeciwnie – postanowiłem poszukać pomocy i poszedłem na terapię.

Trochę żałuję, że uciekłem z mediów społecznościowych. Relacje z sesji z moim terapeutą, doktorem Teodorem, byłyby murowanym hitem. Facet jest w moim wieku, ma nerwicę natręctw i chyba większe problemy z sobą niż ja. Ale bardzo się stara, to chyba najważniejsze.

Tak naprawdę pomocy u specjalisty powinna szukać moja teściowa. Delikatnie jej to zasugerowałem, ale jak to zwykle bywa w takich sytuacjach – skutek był odwrotny do zamierzonego. Matka Kaśki, co skądinąd rozumiała, żyje teraz wyłącznie śmiercią swojego dziecka. Kupiła sobie kanarkowożółty puchowy kombinezon i organizuje wyprawę na Everest, by odnaleźć i pochować ciało Kaśki. Zbiera

pieniądze, szuka ochotników i kursuje po mediach, które mają użycie, bo Zuzanna wypowiada się barwnie i emocjonalnie.

Po ostatniej sesji z doktorem Teodorem, kiedy znów zaczęły powracać wydarzenia z Nepalu i Tybetu, zadzwoniłem do Julki. Jak tylko przemknąłem z gabinetu do auta, uciekając przed zimnym grudniowym powietrzem, wybrałem jej numer.

– Cześć, co tam? – odebrała, kiedy skręciłem we Francuską.

Gabinet mojego terapeuty mieści się na Saskiej Kępie, więc do siebie, do Wilanowa, powinienem jechać mostem Siekierkowskim, ale intuicja ciągnęła mnie do centrum.

– Słuchaj, mam pytanie... Pamiętasz, kiedy kiblowaliśmy pod tym klubem, czekając na Bakera...

– Neverest?

– Tak, tak się chyba nazywał... Powiedziałaś, że wiesz, dlaczego oni się wspinają. Pamiętasz?

– Nie wiem, czy wiem... Tak na pewno nie powiedziałam.

– Powiedziałaś – upierałem się. – Pamiętam.

– Może coś bardziej w stylu, że ich rozumiem... Trochę bardziej rozumiem, dlaczego to robią.

Byliśmy – jesteśmy – na takim etapie przyjaźni, że nie musimy zaczynać rozmowy od small talku. Często od razu przechodzimy do ciężkich albo skomplikowanych tematów.

– No i...? – powiedziałem wyczekująco. – Dajesz.

– Po prostu... Wydaje mi się, że ludzie nie zrozumieli tej słynnej odpowiedzi: „bo są”.

Wiedziałem oczywiście, do czego Julka pije. To chyba najstynniejszy cytat dotyczący gór. Tak odpowiedział dziennikarzom, zapytany o sens ich zdobywania, George Mallory, który zresztą zabił się jakiś czas później, próbując jako pierwszy wejść na Everest. Konkretnie powiedział to właśnie o najwyższej górze świata: „Because it's there”, ale wiadomo, o co chodzi.

– No, ale co tam jest do zrozumienia? – spytałem.

– Wszyscy właśnie myślą, że to taka z lekka arogancka riposta himalaisty i że to właśnie niby pokazuje bezsens wspinaczki, bo nie da się podać racjonalnego argumentu...

– Tak... Ja też tak to odbieram.

– Ale dużo o tym myślałam i jednak uważam, że nie. Że w tym jest głębsza myśl. On pokazał, że... – Julka urwała na chwilę, jakby szukała właściwych słów. – Wiesz co... Bo tak naprawdę, jak lepiej o tym pomyśleć... To wszystko w życiu jest bez sensu. Żadna logika nie wytrzymuje próby czasu. Co w życiu ma sens? Harujesz, poświęcasz się dla swoich dzieci, ale potem one dorostają i stajesz się dla nich tylko coraz bardziej kłopotliwym bagażem. Potem one powtarzają cały cykl, ale po trzech, czterech pokoleniach nikt cię już nie pamięta. Po co to wszystko było? Albo kochasz kogoś, a potem zawsze na końcu ten ktoś umiera. Albo ty umierasz. Albo miłość umiera i się rozchodzie.

– Jakie to optymistyczne.

– Bo sens jest złudzeniem, na krótką chwilę. Finalnie wszystko, w równej mierze, to absurd, wspinanie się na ośmiotysięczniki jest tak samo absurdalne jak najwznioślejsze ideały. Dlatego himalaistom nie potrzeba dodatkowej motywacji. Po prostu to robią.

– Ale jak piszesz książki albo je potem tłumaczysz – wtrąciłem, w swoim mniemaniu celnie – to one zostają już na zawsze.

– Nieprawda. Książki też przemijają, jedne szybciej, drugie wolniej. One również umierają, nawet jak na siłę wpisze się je na listę lektur. Coraz mniej ludzi je czyta. Na dłuższą metę to też jest bez sensu.

– No dobra. – Lekko się zniecierpliwiałem, wrzuciłem kierunkowskaz i zmieniłem pas, żeby wyprzedzić wlokącą się przede mną toyotę. – Przyjmijmy, że wiem, o co ci chodzi. Ale nadal nie rozumiem tej analogii z górami. Dalej uważam, że to nałóg, straszny nałóg, nic więcej.

Wjechałem na most Łazienkowski i rozpędziłem swoje bmw do nieprzepisowej prędkości. Potrzebowałem choć przez chwilę poczuć wolność i adrenalinę. Zimowa aura nie rozpieszczała. Widoczne w oddali wieżowce w centrum ginęły w chmurach.

– A ja uważam – mówiła Julka – że skoro wszystko, co robimy, przy głębszym namyśle jest pozbawione sensu, to dlaczego nie robić czegoś, co tego sensu nie ma... w sposób ostentacyjny. To jakaś manifestacja, że przejrzelśmy całą tę... konstrukcję, tę rzeczywistość, którą mamy, tę beznadzieję egzystencji. Że nie możemy uwolnić się z zamkniętego kręgu robienia rzeczy bezsensownych, ale przynajmniej... To jest taki krzyk rozpaczy.

– No nie wiem...

– A ja teraz już wierzę w sens robienia rzeczy bez sensu. To namiastka wolności.

– Teraz gadasz trochę jak nawiedzona.

– Wiem. I to wcale nie znaczy, że będę się teraz wspinać. Po prostu czuję, że jest coś głębokiego w robieniu rzeczy „pod prąd”.

– Takich jak ratowanie beznadziejnych przypadków?

– To też. Ogólnie altruizm. Koniecznie bezinteresowny. Albo jak usypywanie mandali. Taki wysiłek, tyle godzin pracy, taki piękny efekt, a potem jest niszczone i ślad po nim nie zostaje.

Zapadło milczenie. Niekრępujące. Jak to między dobrymi przyjaciółmi.

– Hej, pogadajmy jeszcze... – poprosiłem. – Trochę mnie zaciekawiłaś.

– Z przyjemnością.

– A Marek nie będzie zazdrosny?

– Nie będzie. Wszystko ma obliczone.

Zaśmiałem się. Tak naprawdę jakiś czas temu zacząłem podejrzewać, że Julka i ja... Pasowalibyśmy do siebie. Mimo że na początku wydawało mi się to absurdalne. Te siedem dni w Nepalu i Tybecie nas przeformatowało. Mnie na pewno. I zgrało. Ale ona jest szczęśliwa z Markiem, więc postanowiłem zachować te przemyślenia dla siebie. Jej przyjaźń była dla mnie zbyt cenna.

– To chodź. Czekam na ciebie na Zbawixie – nęciłem.

– Warszawka! – prychnęła w odpowiedzi.

– No chodź... Przecież wierzysz w robienie rzeczy bez sensu. A nawet wbrew sobie. Pod prąd? Dobrze zrozumiałem?

– Powiedzmy. – Zaśmiała się. – Może być za godzinę?

– Luz. A dasz mi do przeczytania swoje bazgroły?

Mimowolnie się uśmiechnąłem, bo rachityczne grudniowe słońce na chwilę zwyciężyło chmury i posłało mi skośny promień.

– Jeszcze nie... – powiedziała ostrożnie Julka. – Jeszcze szlifuję. A ty? Pisziesz ucziwie?

– Oczywiście. Codziennie. Nie mogę zawieść doktora Teodora.

– I na jakim jesteś etapie?

– Chyba właśnie skończyłem. Mam już wszystko.

POSŁOWIE

Coraz rzadziej zdarza mi się odczuwać silne emocje podczas lektury. A jednak pewien fragment książki Bartka Dobrocha i Przemysława Wilczyńskiego „Broad Peak. Niebo i piekło” mnie poruszył. Był to opis akcji ratunkowej, którą w 1989 roku przeprowadził na Evereście Artur Hajzer po największej tragedii w historii polskiego himalaizmu.

Jako scenarzysta od razu wyczułem, że to świetny materiał na film, szansa na opowieść o prawdziwym herosie i o zwycięstwie, a nie przynębiające studium porażki. Jako realista wiedziałem, że nikt nie wyłożyłby pieniędzy, żeby sfinansować produkcję, która musiałaby się rozgrywać w egzotycznych plenerach Katmandu, i to jeszcze w kostiumie historycznym z końca XX wieku. Wybrałem więc powieść, ale ponieważ nie specjalizuję się w literaturze faktu, jedynie zainspirowałem się wydarzeniami z 1989 roku i stworzyłem własnych bohaterów oraz ich historię.

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy pomagali mi w trakcie pisania. Wojtkowi, który przeczytał powieść jako pierwszy. Krystynie Mathiak – za jak zwykle wnikliwie i konstruktywne uwagi. Joli Niedźwieckiej i Justynie Toczyskiej – za długie i inspirujące rozmowy. Bardzo dziękuję przemiłej pani Joannie Dzieciółowskiej, która przeczytała „Everest” w rękopisie i dopilnowała, by zgadzały się realia dotyczące wspinaczki. Pierwszą wersję powieści przeczytała też Olga Kłyst, której również dziękuję za poświęcony czas i cenne uwagi.

Przy okazji każdej nowej powieści, nie chcąc się powtarzać, wspominam jedynie osoby, które dopisują na swoją listę wdzięczności. Za każdym razem zaskakuje mnie, ile nowych, sympatycznych twarzy pojawiło się w moim życiu. Dziękuję Monice Galliot-Salińskiej, Błażejowi Przygodzkiemu, Anecie, Arturowi, Natalii i Michałowi Staniaszkom, Agnieszce i Krzysiu Pinterom, Beacie, Tomkowi i Michałowi Olejniczakom, Julii Nowackiej, Marii i Irinie Kozyr.

Ostatnie trzy akapity chciałbym poświęcić istotom absolutnie najbardziej wyjątkowym, którym dedykowałem swoją powieść.

Gdy pisałem „Everest”, umarły moje ukochane psy. Jaś, który pierwsze jedenaście lat swojego życia spędził jako Jaśmin w schronisku. Wszyscy psiarze uważają swoich czworonożnych członków rodziny za najwspanialszych, ale ja wiem, że mam rację. Kiedy Jasio żył, byłem spokojny, że gdyby Ziemię zaatakowali kosmici i trzeba byłoby dać im jeden powód, dla którego mieliby nas nie zniszczyć, tym powodem byłby właśnie Jaś.

Tydzień po Jasiu umarła Sabina. Ona również była adoptowana, zabrana ze schroniska – za późno, choć jednocześnie nie za późno. Wrażliwa i skrzywdzona, dużo przeszła w życiu i przez to z pokorą graniczącą z rezygnacją znosiła wszystko, co przynosił los. Odeszła w cieniu Jasia, jakby w ten sposób chciała sprawić jak najmniej kłopotu.

Jasiu, Sabinko – i ja Was też, bardzo...

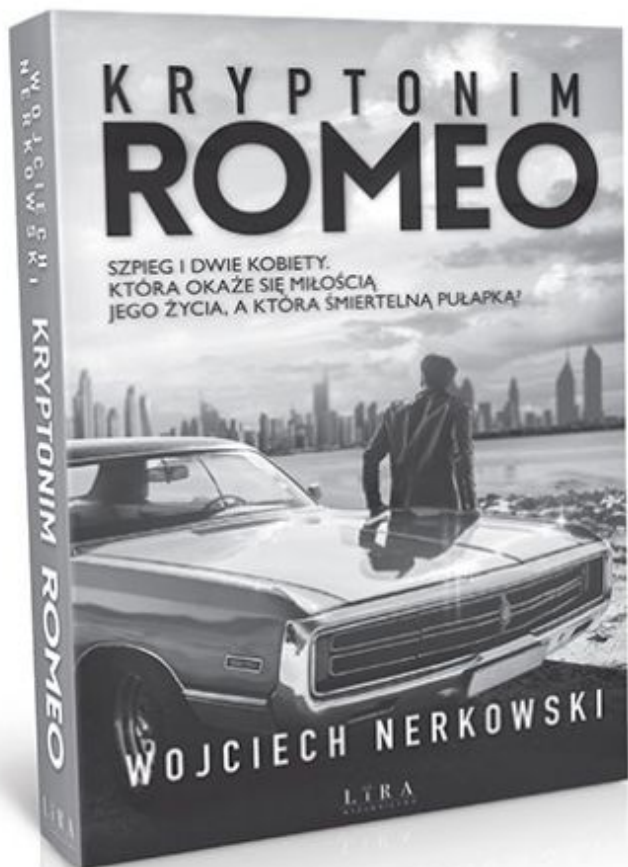
Przypisy

- 1 Last-minute (ang.) – w ostatniej chwili.
- 2 At the eleventh hour (ang.) – w ostatniej chwili (idiom).
- 3 Their ass... (ang.) – dosł. Tyłek im się palił, ale zrobili to.
- 4 Właśc. game changer (ang.) – coś, co zmienia okoliczności danej sytuacji i wpływa na zmianę postępowania.
- 5 Namaste (hindi) – dosł. pokłon tobie; podczas wypowiedzania słów pozdrowienia wykonuje się półukłon z rękoma złożonymi na wysokości serca, palce wskazujące skierowane są ku górze.
- 6 Do you need... (ang.) – Potrzebujecie ewakuacji helikopterem?
- 7 Poker face (ang.) – pokerowa twarz.
- 8 His friend (ang.) – jego przyjaciel/przyjaciółka.
- 9 Can I... (ang.) – W czym mogę pomóc?
- 10 The Maserati guy (ang.) – facet z maserati.
- 11 Hi! How... (ang.) – Cześć! Jak się masz?
- 12 Who the hell... (ang.) – Kim, do cholery, jesteście?
- 13 Substancja psychoaktywna, znana też pod nazwą „ecstasy”
- 14 Rihanna, „Diamonds” (fragment w wolnym tłumaczeniu).
- 15 You all right? (ang.) – Wszystko w porządku?
- 16 English, guys! (ang.) – Po angielsku, ludzie!
- 17 Herbaciarnia.
- 18 Creepy (ang.) – dziwne.
- 19 Wisława Szymborska, „Minuta ciszy po Ludwice Wawrzyńskiej”
- 20 Gra słów wynikająca z połączenia: „sommelier” (specjalista w dziedzinie win) i „summer” (ang.) – lato.
- 21 Właśc. shitstorm (ang.) – gównoburza.
- 22 Is there a problem? (ang.) – Czy jest jakiś problem?
- 23 Do you speak... (ang.) – Mówisz po angielsku, blondasku?
- 24 Why? (ang.) – Dlaczego?
- 25 Corps diplomatique (fr.) – korpus dyplomatyczny.
- 26 Właśc. No fuckin’ way! (ang.) – Nie ma, kurwa, mowy!
- 27 Tybetańska nazwa stupy, buddyjskiej budowli sakralnej.
- 28 Lek stosowany m.in. w leczeniu choroby wysokościowej.

29 May I become... (ang.) – Obym w każdym czasie, teraz i zawsze, był/obrońcą tych, którzy nie mogą się bronić/przewodnikiem tych, którzy zgubili drogę/statkiem dla tych, którzy muszą przepłynąć ocean...

30 Lek przeciwzapalny zmniejszający obrzęk.

JUŻ W KSIĘGARNIACH

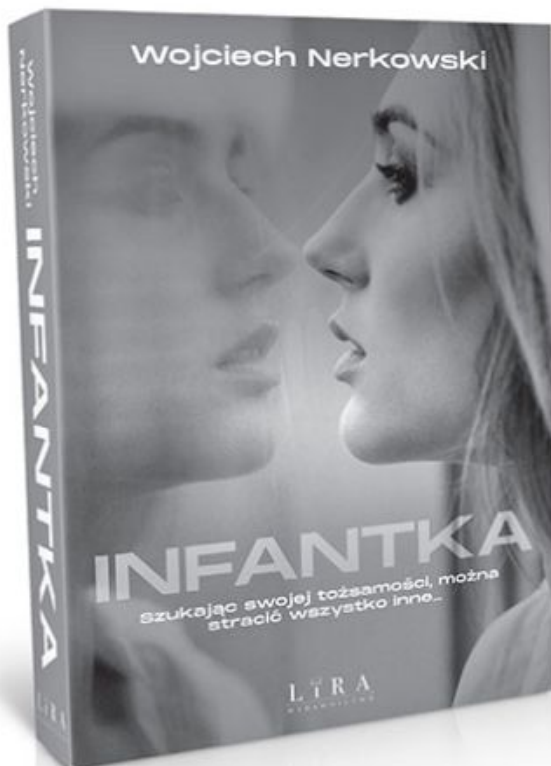


Szpieg i dwie kobiety. Która okaże się miłością jego życia, a która śmiertelną pułapką? Książka Wojciecha Nerkowskiego to pełna akcji powieść szpiegowska, a zarazem wciągający thriller o zdradzie i namiętnościach!

www.wydawnictwolira.pl

L  R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Hania, która wychowywała się w domu dziecka, podejrzewa, że może być nieślubną córką potomka szlacheckiego rodu. Jednak spadkobiercy zrobią wszystko, by uniemożliwić Hani odkrycie tajemnic z przeszłości. Jaką cenę przychodzi zapłacić za możliwość poznania prawdy? Polecamy thriller Wojciecha Nerkowskiego!

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

Na Evereście dochodzi do załamania pogody.

W lawinie ginie uczestnik polskiej wyprawy, a trójka jego towarzyszy zostaje uwięziona pod szczytem. Bliscy wspinaczy rozpoczynają walkę o ich życie. Zorganizowanie akcji ratunkowej spada na barki Julii i Krisa, którzy przebywają w Katmandu. Różni ich wszystko: ona to spokojna i zrównoważona tłumaczka literatury, on – hałaśliwy i impulsywny influencer. Muszą połączyć siły i zmierzyć się z monumentalnym wyzwaniem. Przeciwności losu piętrzą się, a szanse na szczęśliwe zakończenie maleją z każdą minutą. Himalaiści są ranni, lawina zabrała cały ich sprzęt. Pogoda uniemożliwia akcję ratunkową. Zresztą nikt się nie kwapi, żeby ruszyć z pomocą. Rozpoczyna się wyścig z czasem. I z nieznanym przeciwnikiem, bo wydaje się, że komuś zależy na tym, by bliscy Julii i Krisa nie przeżyli...

W tej wciągającej powieści czytelnik zobaczy himalaizm z innej perspektywy. Dramat wspinaczy oglądamy oczami tych, którzy zostali w dolinach. To oni muszą zrobić wszystko, a nawet więcej, by pokonać Everest. Ich historia trzyma w napięciu od pierwszej do ostatniej strony. Pozytywnie inspiruje, opowiada o odwadze, nadziei, o prawdziwej przyjaźni, a przede wszystkim o sile miłości.



WOJCIECH NERKOWSKI

– scenarzysta filmowy i telewizyjny, współtwórca najpopularniejszych polskich seriali. Pisarz, autor m.in. trylogii komediowo-kryminalnej „Spisek scenarzystów”, powieści sensacyjnych, m.in. „Okrutnie piękny”, „Kryptonim Romeo”, „Infantka”, a także tłumacz literatury angielskiej i amerykańskiej. Wykładowca scenariopisarstwa w StoryLab.

Jego nałogi sponsoruje litera „k”:
kino, książki, kawa.

www.wydawnictwolira.pl

Patronat medialny:

ISBN: 978-83-67388-41-2

LIRA
WYDAWNICTWO

PORTAL
KRYMINALNY

KSIAZKA
ZAMIAST
KAWIARKA



9 788367 388412

cena: 44,99 zł
(w tym 5% VAT)